

PIOTR GUZY

STAN
WYJĄTKOWY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

768.730 (A)

 427.582

STAN WYJĄTKOWY

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 159

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

PIOTR GUZY

STAN
WYJĄTKOWY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1968

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Krótki żywot bohatera pozytywnego, 1966

© Copyright pour la langue polonaise by
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1968

CZEŚĆ PIERWSZA

1 listopada 1947

Prędzej! uciekajmy stąd, żeby jak tu przyjdą, Kazio! Helena! gdzie oni się wszyscy znowu podzieli? Leon! Jurek! chodźcie już, Leon! gdzie Leon? Stefan, zobacz, gdzie on? o Boże, no już, już, zabierajmy się stąd, żeby jak tu przyjdą, jak zaczną walić do drzwi, znowu dzień, jeszcze jedną noc, chwała Bogu, się przeżyło, światło przez firany, czas leci, tak dzień po dniu, przeszło pięćdziesiąt lat, starość teraz, ciągle zmęczona, za wcześnie się budzę, dopiero w grobie chyba sobie odpocznę, chociaż nie powinnam narzekać, żyję przecież, tamtych już nie ma, pozabijali, chłodne ranki teraz, zima wkrótce, przyszli, zabili wszystkich, śniegi spadną, przed wojną to zawsze gdzieś, do Krynicy, do Zakopanego, sankami do hotelu, mróz szczypał w policzki, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną bielą, aż bolało, Stefan przyciskał mnie mocno do siebie, na twarzy czułam jego oddech, mieszaninę tytoniu i koniaku, a z Pawłem Fiodorowiczem wtedy w Kijowie, rzeczywiście, akurat rozruchy na ulicy, kozacy na koniach, nahajkami ludzi po głowach, Paweł Fiodorowicz zaśmiał się uspokajająco, oddech mu pachniał mieszaniną tytoniu, koniaku i czarnej kawy, dlatego to mi się przypomniało, Nie trzeba się bać, powiedział, nam nic nie zrobią, ale gdybym nie była na czas szarpnęła się do tyłu, kamień we mnie by trafił, o mało z siedzenia nie spadłam, Dlaczego weszłaś do pokoju bez pukania? wyraźnie ci zabroniłam, tatuś musi teraz dużo odpoczywać i nie wolno mu przeszkadzać, przez długi czas nie wiedziałam od czego te sine pręgi na plecach, dopiero później, kiedy Łaszczuka przywieźli na furmance z cyrkułu, o własnych siłach nie potrafił jednego kroku zrobić, tak go zbili, to ten policmajster Wodejko,

jakieś papiery, mówił, przy nim znaleźli, pobiegłam tam, leżałam na łóżku, Tekla maczała ręcznik w ciepłej wodzie, przemywała mi plecy, zauważyła jak weszłam, odwróciła ku mnie głowę i coś w jej spojrzeniu było takiego, że bez słowa zrozumiałam, że muszę odejść, ich sprawy, według nich nie miałam nawet prawa okazywać im współczucia, to było dla nich obelgą, potem mówili, że oni nas nienawidzili, czy ja wiem? bo dziś gdy wspomnę, ci co jeszcze żyją? człowiek nigdy nie godzi się z myślą, że przyszłość może być gorsza niż teraźniejszość, a co z nimi zrobił Stalin? no tak, ale to dopiero miało nadejść, potem ciągle te plecy, przez całe lata, zapadałam w sen z gmatwaniną sinych szram, nabrzmiałości brzydkich, pod powiekami, gdy wreszcie się zdobyłam na odwagę zapytać go o te blizny, odpowiedział, Mnie bili? kto bił? gdzie? kiedy? Tatuś wie, Rosjanie, gdy tatuś, gdy tatusia wzięli na zesłanie, Jesteś za młoda, żeby te sprawy pojąć, jak podrośniesz, o wszystkim ci opowiem i wytłumaczę, rodzicom zawsze się wydaje, że dzieci należy chronić przed prawdą, zbyt okrutna dla nich, światło przez firany, znowu dzień, sen nie przynosi mi już prawie żadnego odpoczynku, za dużo się nażyłam, duchy moich umarłych nie opuszczają mnie nigdy, trwam w świecie umarłych i w świecie żywych, ani tu, ani tam całkowicie, rozerwana, skłócona z sobą, bez przerwy grzebię w pamięci jak w kupie rozrzuconych klocków, z których chciałoby się sklecić logiczną całość, lecz wszystko się ciągle na nowo rozsypuje, beznadziejny mózół, wkrótce umrę, ale śmierć też niczego nie załatwia, wszystkiemu tylko kładzie nagły kres, a jak można stąd odejść zostawiając za sobą tyle nie rozwiązanych spraw, nie zagonionych krzywd, nie odpokutowanych grzechów? to łóżko, za duże dla mnie jednej, Stefan, on tu powinien leżeć obok mnie, dlaczego go tu nie ma? *Pani tam nie powinna jeszcze wracać, te wszystkie trupy, krew na podłogach, niech pani poczeka, aż wszystkich poznoszą do jednego pokoju, poprzykrywają czymś,* za wszystko trzeba płacić, pewnie, ale za co oni zapłacili taką cenę? on powinien leżeć tu przy mnie, nie tam w grobie, gdzie już proch z niego, nic, grzać mnie swoim ciepłem, żebym na karku czuła jego oddech, żeby jego dłoń obejmowała moją teraz już zwiędłą pierś, *nie chciał tych piersi, wstrętnam mu była, stara, zniszczona,* mróz szczypał w policzki, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną bielą aż bolało, przyciągnął mnie do siebie, rozchylił kołnierz futra, pocałował, oboje wiedzieliśmy, że jak tylko przekroczymy próg hotelowego pokoju, jak tylko zostaniemy sam na sam, potem jechaliśmy windą, Stefan trzymał mnie za łokieć, milczeliśmy nie patrząc na siebie, kilka kroków korytarzem, drzwi, pokój, szerokie łóżko zarzucone czerwoną kapą, służący postawił walizki,

wyszedł, Stefan, cały czas nie puszczając mi łokcia, sterował mnie w stronę łóżka, posadził na brzegu, puścił, przewrócił na plecy, rozpiął mi futro, *nie chciał mnie, nie chciał moich piersi starych, zwiędłych*, tak mi dobrze było, gdy go ścisnąłam mocno ramionami, nogami, gdy czułam jak się tam we mnie szamoce, jak się rozpycha we mnie, w swojej Wisi, bo mnie chciał, bo mnie musiał wziąć, bo beze mnie już jednej chwili dłużej nie mógł wytrzymać, bo byłam dla niego wszystkim, bo mnie kochał i potrzebował jak wody i powietrza, i jak tylko zamknęły się drzwi za służącym, to on zaraz, i cóż z tego, że potem mnie rzucił? on mnie w niej szukał, takiej, jaką byłam w tym hotelowym pokoju w Zakopanem, w futrze, w rękawiczkach pchnięta przez niego na łóżko, z topniejącym śniegiem we włosach, drogi powrotnej do naszej wspólnej młodości szukał, bo jeszcze wówczas nie przyjął do wiadomości skazującego wyroku naszych lat, buntował się, złorzeczył umykającemu czasowi, *Ależ skąd, Stefan, wcale się na ciebie nie gniewam, ja wszystko rozumiem, najważniejsze, że znowu jesteś*, a gdyby nie był wrócił do mnie, gdybym go była zostawiła w spokoju, to może dzisiaj by jeszcze żył, no tak, gdybym tylko mogła przewidzieć przyszłość, *Niech go pani sobie zatrzyma, jeśli pani potrafi mu dać więcej szczęścia niż ja*, wcale bym się nie sprzeciwiała, los tak chciał, ja cierpię, to nic, za to on, żeby tylko on był szczęśliwy, nieprawda, żeby był szczęśliwy, tak, ale ze mną! ja byłam wtedy gotowa butelkę kwasu pruskiego wylać jej na twarz, żeby się musiał od niej odwrócić ze wstrętem, *Teraz spójrz na siebie do lustra, co ci teraz z twojej młodości?* nie, też nie, jej nie winię, ale on, od czego on miał rozum? zresztą wstyd! młodsza od jego własnych dzieci, jeszcze sobie sama nosa utrzczyć nie potrafiła, żadnego poczucia odpowiedzialności za swoje czyny, żadnego liczenia się ze skutkami, jakie jej nieodpowiedzialne, tak jest, tak powiedziałam, jej nieodpowiedzialne postępowanie, *Niech pani nie zaprzecza! i proszę mi nie przerywać, nie po to tu przyszłam, żeby mi pani teraz*, żadnego, ale to absolutnie żadnego liczenia się ze skutkami, jakie jej bezwzględne, samolubne i nieodpowiedzialne postępowanie może wyrzucić na innych! bo jej się spodobał! co za dziecinada! to jeszcze nie powód, żeby rozbijać rodzinę, przecież wiedziała, że ma żonę, dzieci, *Pięcioro dzieci, tak, proszę panią, pięcioro dzieci! to pani o tym nie wiedziała? niech pani przynajmniej teraz nie kłamie, bo Stefan nie taki, żeby podobną rzecz ukrywał*, zresztą, jeśli tak mocno go kochała, to dlaczego nie starała się go zatrzymać? niech mi odpowie na to pytanie! palcem w bucie nie kiwnęła, żeby go przy sobie zatrzymać, byłyby jeszcze dziś żył, kto wie, na starość do mnie by wrócił, na pewno, prędzej

czy później ona by go kantem puściła, byłby dla niej teraz tylko ciężarem, wróciłby do mnie, słowa bym przeciwko niemu nie powiedziała, przyszedł do mnie, oczywiście, że przyszedł do mnie, a gdzie miał iść? do kogo? trzeba myśleć o wstawaniu, już chyba czas, przez długi czas nie wiedziałam od czego te pręgi na plecach ojca, dopiero później, kiedy Łaszczuka przywieźli z cyrkułu, a mama mówiła, Twój tatuś wiele przez te lata, kiedy go nie było z nami, przecierpiał, teraz musimy mu zapewnić spokój, nie trzeba mu się z byle czym naprzykrzać, ja też, jak dziś pamiętam, gdy Stefan wrócił wtedy z Gestapo, też Helenie i Kaziowi przykazywałam, Wasz tatuś jest chory, musicie mi przyrzec, że nie będziecie go molestowali, nie będziecie hałasowali po całym domu, prawie identyczne słowa, tak to się powtarza w tym kraju z jakąś piekielną regularnością z pokolenia na pokolenie i każde pokolenie po kolei się łudzi, że jego cierpienie starczy już na wszystkie czasy i nigdy więcej, ale temu nigdy nie ma końca, zawsze żyjemy w stanie wyjątkowym, ledwie jedne rany się zagoją, ledwie człowiek trochę odzicipnie, już jakaś nowa zawierucha, trzeba będzie powoli się ruszyć, Weronika już wstaje, tylko żeby mi Heleny nie zbudziła, ta dziewczyna wczoraj znowu na pewno późno wróciła, nie wiem co się z tym dzieckiem dzieje, z nią nawet rozmawiać nie można, o tak, ja wiem, co ona by chciała, tylko jej we wszystkim ustępować, na nic jej nie zwrócić uwagi, nie pouczyć, że źle zrobiła, że tak się nie powinno, a jeśli w rodzinie się tego nie nauczy, to gdzie? zawsze chciałam dla niej najlepiej, martwię się o nią, nocami nie sypiam, czekam kiedy wróci, kiedy ona i to ma mi za złe, Czego się mama martwi? mam głowę na karku, krzywdy sobie nie dam zrobić, tak, każda tak mówi, a potem jak co, to już za późno, cóż to, nie wiem jak to jest? jeszcze długo, zanim pozna co to jest życie. — Proszę, niech Weronika wejdzie.

— Dzień dobry. Przyniosłam herbaty. Pani mecenasowa po tych wczorajszych smutkach też chyba wiele nie spała. Ja to prawie oczu nie zmrużyłam, nic, tylko ta biedna Karasiowa mi w myślach.

Karasiowa, prawda, zupełnie o niej, jak to jest możliwe, żebym tak zupełnie o niej zapomniała, żeby ani jednej myśli?

— Taki cios! Jak ona to przeżyje? A przy tym w ciąży.

— Czyżby? — *Niech tatuś tam teraz nie wychodzi, niech tatuś poczeka, aż się trochę rozwidni, to wtedy*

— Nie wierzy mi pani? Cóż to, nie poznam? I urodzi się to dziecko bez ojca. Że też kary boskiej na nich nie ma. Zawął serca, a juźci, taki młody człowiek! Już jak oni kogoś zawloką do siebie, to tylko się modlić, żeby śmierć miał krótką, przynaj-

mniej się nie będzie męczył. Zakatowali go i już. To dla nich wielka rzecz zniszczyć człowieka? Co to jest dla nich człowiek?

Niech tatuś tam teraz nie wychodzi, niech tatuś poczeka aż się rozwidni, nie mówiliśmy mu? wszyscyśmy mu mówili, no więc cóż, że hałasowali, że strzelali? czy wtedy znalazł się taki dzień, żeby się obyło bez strzelaniny? mama zaparła się w drzwiach, Nie pójdziesz, nie wolno ci! zabiją cię, zobaczysz! nie jesteś sam, nie wolno ci się narażać, próbowała go przekonać, zaklinała go na wszystko co mogła, Oni tylko czekają, żebyś się tam pokazał! to ją siłą odepchnął od drzwi, My tu z dziada pradziada i jeszcze nigdy żaden z Noworytów ogona przed nimi nie stulił, nie pozwolę, żeby mi po nocy raban pod oknami urządzali! mama złapała go za ramiona, Słepy jesteś? nie rozumiesz, że tym razem to nie jest zwykła awantura, to już nie to, że oni sobie popili, pokrzyczą sobie, postrzelają, potem ich sen zmoży a jutro rano znowu wszystko będzie jak dawniej, to jest rewolucja, cała Ukraina, cała Rosja, ale do niego mówić to jak groch o ścianę, uparł się, nie widział co się dzieje? w okolicy już dwory z dymem puszczali, wyrzynali całe rodziny, na co czekał? na cud, który miał sprawić, żeby nas to ominęło?

— No to zejść teraz do kuchni.

— Za piętnaście minut będę na dole. — Ta biedna Karasiowa, nawet wieka od trumny nie otworzyli, żeby mogła choć ostatni raz na niego spojrzeć, widocznie tak go zmasakrowali, a może go tam w trumnie w ogóle nie było, cegieł naładowali? oni dziś mają takie chemiczne sposoby, rozpuszczą człowieka jak pastylkę w szklance wody, wyleją do zlewu, tego nawet Niemcy jeszcze nie wymyślili, ja to przynajmniej wszystkich moich własnymi rękami włożyłam do trumien, krzyż, szkaplerz położyłam na piersiach, kwiaty u wezglowia, pójde do łazienki, z tym pokojem na dole trzeba będzie coś zrobić, może sama nie będzie tu chciała zostać? ale to nigdy nie wiadomo, mnie też nakłaniali, Niech się pani stamtąd wyprowadzi, nie będzie pani musiała ciągle o tym myśleć, dlaczego nie miałabym myśleć? trzeba będzie coś z tym pokojem, bo skoro na kwaterunku się zorientują, że została w nim tylko jedna osoba, zaraz mi tu na siłę będą chcieli kogoś obcego wpakować, taki metraż, powiedzą, to na całą rodzinę, nie żeby jedna osoba, ona ma w Warszawie siostrę, niechby ją tu sprowadziła, zamieszkają razem, dlaczego nie? przynajmniej bym wiedziała, kogo mam w domu, woda coś letniawa, znowu w kotle nie napalone, będę musiała zajrzeć do piwnicy, już chyba nie dużo węgla zostało z poprzedniego przydziału, wszystkiego muszę sama dopilnować, jak nie, to bałagan i skaranie boskie, Stanisława nie można uprosić, żeby trochę czasu poświęcił spr-

wom domowym, interesy! czy ja nie mam interesów? nikt o nic nie dba, wszystko na moich barkach, żarówka się przepali, bo to kto kupi nową? czekają aż ja, znowu te włosy! codziennie, ile razy już jej mówiłam, Niech Weronika nie zostawia mi swoich włosów w umywalce, co za przyjemność po kimś sprzątać? czy ja naprawdę mam za każdym łązić, ciągle każdego upominać? przecież nie dzieci, żeby ich ciągle, niedobrze wyglądam, skóra, same zmarszczki, i taka poźółkła, stara jestem, ot co! dlaczego mnie wtedy nie zabili, tylko ich? gdybym nie była poszła do Sawińskich na brydża, *Mnie zabijcie! wam wszystko jedno, kogo zabijecie, sto razy mnie zabijcie, jeśli wam tego potrzeba, ale tylko mnie, przecież oni niewinni!* byłabym przed nimi padła na kolana, może Kazia przynajmniej by oszczędzili, bo co im takie dziecko zawiniło, żeby je zabijać? za co, no za co? *Haben Sie keine Mutter? przecież niewinni ludzie, za co ich chcecie zabijać? o litość was błagam, mnie zabijcie!* na kolana bym przed nimi, czubki butów bym im całowała, wyciągnęłabym do nich ramiona i błagałabym, błagałabym, tak bym błagała, o Boże, tak bym błagała, o Jezu, tak bym błagała! powiem jej, tego już jest za dużo, przyprowadzę ją tu, za rękę wezmę jak dzieciaka i pokażę, niech popatrzy, te włosy, te szumowiny na brzegach, to kto to ma czyścić, ja? proszę, niech sama zobaczy, proszę! proszę! nie wstyd jej tak mi zaświniac umywalkę? to jest kulturalny dom, ja nie pozwolę, żeby mi kto tak umywalkę, czy ja jestem od tego, żeby brudy po drugich sprzątać? nieprawda, że zrzędze, bo wcale nie zrzędze, w moim własnym domu już mi nie wolno nic powiedzieć? czubki butów bym im i błagała jako matka, *Haben Sie denn keine Mutter? haben Sie keine Mutter?* biedny Kazio, patrzeć w takiej chwili na swojego ojca, ten strach w oczach, to niezrozumienie, kiedy tamten wyciągał rewolwer, *Haben Sie keine Mutter? haben Sie keine Mutter?*

— O jejku, jejku! Znowu pani mecenasowa płacze, aż na dole słyhać. Nie trzeba tak, trochę więcej litości dla siebie. Niech pani mecenasowa pozwoli, ja ręcznikiem, no już dobrze, popłakała pani sobie i teraz już spokój, dobrze?

— Bardzo Weronikę przepraszam. — *Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz? a jakież to prawo ty sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca*

— Za płacz się nie przepraszam. Płacz to jest dar od Pana Boga. Dopiero by źle było na świecie, gdyby nikt nigdy nie płakał, nic, tylko sznur na szyję i się powiesić.

— Jaka Weronika dla mnie wyrozumiała.

— Zwyczajnie nie chcę, żeby pani mecenasowa wszystkich

w domu pobudziła. Pan Stanisław wstanie znowu z łóżka lewą nogą i przez cały dzień będzie piekło.

Odszedł z tego świata nie pogodzony z własnym synem, obaj tak, jeden na drugiego wilkiem, całymi dniami jeden do drugiego ani słowa, a jak co, to od razu jak dwa wściekły psy, tylko by warczeli, kły na siebie szczyrzyli, do gardła by sobie skakali, *A jakież to prawo ty sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca sądzić?* co między nimi zaszło? Jurek musiał się czegoś domyślać, ale jak? zawsze byłam ostrożna, żeby ani jednym słowem, żadnych aluzji, no nic, stało się, koniec, teraz tylko zapomnieć, a jednak musiał się skądś dowiedzieć, bo jak to sobie inaczej wytłumaczyć? jeszcze pół biedy kiedy byłam w domu, przynajmniej w mojej obecności trochę się hamowali, ale tego dnia, a nie chciałam iść do Sawińskich, No co ci szkodzi, mówi Stefan, rozerwiesz się trochę, masz trzy godziny czasu, śmiało zdążysz z powrotem przed godziną policyjną, zupełnie nie miałam ochoty, tak mnie to niepokoiło, Stefan, a o co wam dzisiaj poszło? znowu kłóciliście się z Jurkiem, słyszałam, Co słyszałaś? W każdym razie tyle, żeby się domyśleć, żeście się kłócili, dlaczego te ciągłe zatargi między wami? nawet jak patrzycie na siebie, to tak, jakbyście w następnej chwili mieli sobie skoczyć do oczu, przecież wy z sobą nie potraficie zamienić dwóch słów po ludzku, tyle w każdym słowie ukrytego jadu, Wydaje ci się, Wisia, Nieprawda, bo wyraźnie słyszałam, Może i uniosłem się trochę, ale zaraz to nazywać kłótnią? Dlaczego się uniosłeś? Głupstwo, nie ma nawet o czym mówić, Stefan, nie wiem co między wami jest, ale idź do niego, załagódź jakoś sprawę, żebyśmy mogła ze spokojnym sumieniem, i tak odszedł z tego świata nie pogodzony z własnym synem, ach, mój Boże!

— Schodzi pani wreszcie czy nie?

— Idę, idę, tylko jeszcze torebkę. — Nie wiedziałam, co między nimi było, mój Boże, ja nie wiedziałam? Stefan też musiał wiedzieć, że ja wiem, nigdy nie mieliśmy odwagi z Jurkiem szczerze o tym porozmawiać, ja wiem, ja mu tego nie mam za złe, Stefan nie chciał rozdrapywać rany, ale mimo to, trzeba było, przecież to się ciągnęło kilka lat, to nie było zwykłe nieporozumienie między ojcem a synem, to była trucizna, która ich obu zabijała, przecież gdyby się był zwierzył z wszystkiego przede mną, nie, ciągle jeszcze samą siebie oszukuję, ja wiedziałam, trzeba było powiedzieć, Stefan, słyszałam o czym wtedy mówiliście z Jurkiem, porozmawiajmy z nim szczerze, powiedzmy mu jak się sprawa miała naprawdę, chłopak inteligentny, zrozumie, przebaczy ci, nie można pozwolić, żeby ten jad, ja zawińłam, bo jeśli Stefan nie miał w sobie tyle siły, żeby się prze-

łamać i z sercem do niego, to ja powinnam była, Nie trzeba przed chłopcem niczego taić, żeby wiedział, żeśmy sobie przebaczyli, puścili w niepamięć to co się stało i nie żywimy do siebie urazy, wtedy i Jurek znalazłby dla Stefana przebaczenie w swoim sercu, właśnie, zamiast biegać do Sawińskich na brydża, trzeba było ich obu wziąć za kark, posadzić na krzesła, Tu, macie mnie wysłuchać, trzeba ten wrzód przeciąć raz na zawsze, bo tak dalej

— Już myślałam, że znowu będę musiała na panią mecenasową wołać.

— Przecież powiedziałam, że już schodzę. — Tu, macie mnie wysłuchać, bo tak dalej być nie może, nie ruszę się z tego miejsca dopóki nie podacie sobie ręki i nie oświadczycie tu przy mnie, żeście sobie przebaczyli i nie chowacie do siebie żalu, jak dwa rozjuszone psy krążyli jeden koło drugiego, szczerzyli na siebie kły, tylko czekali, żeby się na siebie rzucić, nie wolno mi było odchodzić zostawiając ich na pastwę ich zranionej miłości, Tu, za kark i posadzić ich na krzesła, raz wreszcie trzeba z tym skończyć, nie odejdę stąd dopóki się nie pogodzicie, byłam zmęczona, kłamstwo, nie miałam odwagi, moja własna rana jeszcze się ślimaczyła, ja mu nigdy naprawdę nie przebaczyłam, nie, też nieprawda, przebaczyłam, pewnie że ślad jakiś został, ale cóż, człowiek, jak kocha drugiego, Idź, powiedziałam mu, idź do niego pierwszy, Stefan, załagódź to jakoś, wyciągnij do niego rękę na zgodę, tyle możesz dla mnie zrobić, nie możesz? przesadzam, powiedział, z igły robię widły, nie ma żadnej sprawy, żeby ją łagodzić, a co było? nic nie było? to co tak Jurka zżerało? — Niech Weronika mi poda moją laskę.

— Tylko proszę uważać, bo stopnie śliskie. W nocy był przy-mrozek. W powietrzu też coś takiego, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jeszcze dzisiaj miał spaść śnieg.

— Bardzo możliwe. — Stefan powinien był jednak dobrze to sobie wszystko rozpatrzyć w własnym sumieniu, nie o mnie chodzi, bo cóż ja? ale dzieci, nie myślał o dzieciach? jak można się było dać tak przez tę dziewczynę zaczadzić? potem brnie taki jak przez ciemny tunel, niepomny na nic, co tam żona, dzieci, mający mu się, że czeka go na końcu jakieś чудо, jakiś raj — Niech Weronika mnie przytrzyma za łokieć, boję się sama przestąpić przez tę zamarznąętą kałużę. Mogliby tu wreszcie zrobić porządną drogę, nawet gdyby tylko żwirem wysypali. Kiedyś jeszcze upadnę i złamię sobie nogę, zobaczy Weronika. Ale co to kogo dziś obchodzi, że ludzie sobie tu łamią nogi?

— Jeszcze nikt, o ile mi wiadomo, nogi tu nie złamał.

— Ja złamię, Weronika zobaczy, któregoś dnia będziemy tędy

szły i — Ja go nie potępiam, nigdy na jedną sekundę go nie potępiałam, to jest życie, ja wiem jak to jest, dzień za dniem, rok za rokiem, i wszystko jest dobrze, zawsze jest jeszcze jutro, aż któregoś dnia człowiek po raz pierwszy naprawdę sobie uświadamia, że tego jutra może zabraknąć, i wpada w panikę, trzeba się bronić, a każdy broni się na swój sposób, nie, nie, ja go nie potępiam, sama wiem jak to jest, patrzę do lustra, to mam być ja? ta maskara? i chciałoby się złapać za coś ciężkiego i strzaskać to lustro, lecz kogo tym oszukam? patrzę przecież na innych z mojego pokolenia i w ich twarzach, w ich coraz bardziej niedołęźniejszych ruchach widzę jak nadchodzi moja własna śmierć, przed tym nie ma ucieczki, to jest właśnie życie.

— Przyjemne to mroźne powietrze, Weronika nie uważa?

— Ma się na śnieg, zobaczy pani.

Sankami z dworca do hotelu, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną bielą aż bolało, a tak mu pilno było, nie mógł się doczekać, ledwo służący postawił walizki, zamknął za sobą drzwi — Czy Weronika nie czuje czasami żalu, że nigdy nie wyszła za mąż?

— Skąd też pani mecenasowej takie pytanie do głowy? Żle mi to przy państwu było? Miałam wikt, opierunek, dach nad głową, czego mi więcej brakowało?

— No zawsze, mąż to jednak...

— Mnie tam nigdy bez chłopca markotno nie było. Pewnie, ja nie mówię, człowiek jest tylko człowiekiem, ale nie trzeba aż za mąż wychodzić, żeby tego miodu pokosztować.

— Też prawda, chociaż może nie bardzo po bożemu.

— Opowiada pani, Pan Bóg nie taki, żeby tej trochę radości miał ludziom mieć za złe. I tak wszystko na jego chwałę, może nie?

— Właściwie chyba tak, jeśli tak to Weronika widzi. — Teraz się przeżegnać, zimna woda, W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, nawet sporo ludzi jak na ranną mszę, żeby tylko nikt nie zajął naszej ławki, dużo obcych twarzy, pojeżdżali się ludzie zewsząd, Roman przyjedzie, Joasia, Wanda, dzieci będą zmęczone, taki kawał drogi z tego Rogowa, pociągi na pewno też zatłoczone, może Jurek się zjawi? ale wątpię, dlaczego ten chłopak nie daje o sobie znać? nawet jeśli się ukrywa, przecież są sposoby, nie, nikt nie zajął, na szczęście, bo strasznie nie lubię, jak mi kto obcy siada na moim miejscu, odkąd kościół postavili, my zawsze tutaj, po to płacę, po to jest tabliczka z moim nazwiskiem, żeby mi tu nikt inny, tylko że ludzie dzisiaj nie zważają na takie szczegóły, jest miejsce, to siada, to co że cudze, co go to obchodzi? aby jemu było wygodnie, albo w sklepach, przecież

to są dantejskie sceny, po wojnie a ludzie ciągle żyją jakby jutro miał nastąpić koniec świata, taka jakaś gorączka wszystkim trzęsie, pędzi ten naród na złamanie karku, aby prędzej, aby wszędzie pierwszy, po trupach, wszystko jedno, bo jak nie, to koniec, ruina, nie rozumiem tego, po pierwszej wojnie światowej też było ciężko a jednak nie było tego co dzisiaj, no tak, ale tym razem już naprawdę nic nie zostało, człowiek stracił zaufanie do świata, do siebie, do drugiego człowieka, zresztą co to jest za pokój? ludzie boją się jak za okupacji, nawet gorzej, wtedy się wiedziało kto wróg i dlaczego, a dzisiaj? mówią, że Polacy, a zachowują się jak najwięksi wrogowie, kto to kiedy widział, żeby rząd własnych obywateli oddawał na zatracenie w ręce wroga? pewnie, za cara też na Sybir wywozili, ale to Ruscy, wstyd, żeby Polacy! ja tam nie wierzę, żeby to byli Polacy, w sercu tam Polski nie ma, a niech sobie mówią po polsku, to jeszcze nie czyni z nich Polaków, Polak by drugiego Polaka w ten sposób nie traktował, to Jurek według nich co, faszysta? zrównali go z Niemcami? tak śmiać płuć na jego dobre imię? taka wdzięczność za te długie lata poniewierki i walki w podziemiu, żeby go teraz najgorszymi wyzwiskami, błotem obsypywać? wszyscy powinniśmy wtedy byli pójść do Sawińskich, wszyscy byśmy się uratowali, albo do Suchych Dołów trzeba nam było pojechać, jak Weronika z Joasią, a jakbym miała jakieś przeczucie, No niech Weronika, mówię, zabierze to dziecko, przejedzie się, mówię, trochę innego świata obzerknie, nie chciała Weronika, Niech za powrotną drogą, powiada, Niemcy zrobią w pociągu rewizję i nakryją mnie z wałówką, to co będzie z dzieckiem? Nie nakryją, mówię, tyle razy już Weronika odbywała tę drogę i obyło się bez nieszczęścia, dlaczego by tym razem? a tak mnie coś niepokoiło, spać poprzedniej nocy nie mogłam, jakieś czarne mary, i następnego dnia mówię do niej, Niech Weronika weźmie to dziecko z sobą, jakbym coś przeczuwała, jakby to był jakiś znak od Pana Boga, że tak bez żadnego zastanowienia, bez jednej uprzedniej o tym myśli, jakby mi sam Pan Bóg wskazał drogę do ocalenia tego dziecka, BOŻE, KTÓRYŚ GODNOŚĆ NATURY LUDZKIEJ PRZEDZIWNIE STWORZYŁ I JESZCZE PRZEDZIWNIEJ NAPRAWIŁ, SPRAW PRZEZ TĘ TAJEMNICĘ WODY I WINA, ABYŚMY MIELI UCZESTNICTWO W BÓSTWIE TEGO, KTÓRY RACZYŁ STAĆ SIĘ UCZESTNIKIEM CZŁOWIECZENSTWA NASZEGO, JEZUS CHRYS-TUS, SYN TWÓJ, PAN NASZ, męża, dwóch synów, szwagra mego i szwagierkę, siostrę moją najmłodszą, całą rodzinę naszego ogrodnika, pięć osób, wszystkich jednego wieczora wymordowali, może i prawda, że każdy ludzki grzech jest tam gdzieś

u Boga zapisany i prędzej czy później musi się spotkać z karą, może, nie wiem, ale ja tu widzę niesprawiedliwość, nawet w wymiarach czysto ludzkich kara jest współmierna z przestępstwem, a jakież to przestępstwa straszne myśmy popełnili, żeby nas tak karać? NIECHAJ SIĘ WZNOSI, O PANIE, MODLI-TWA MOJA JAKO WÓŃ KADZIDŁA PRZED OBLICZE TWOJE, A WZNOSZENIE RĄK MOICH, JAKO OFIARA WIECZORNA, POSTAW, PANIE, STRAŻ PRZY USTACH MOICH I BRAMĘ SZCZELNĄ WOKOŁO WARG MOICH, ABY SIĘ SERCE MOJE NIE SKŁANIAŁO KU SŁOWOM ZŁYM, KU SZUKANIU USPRAWIEDLIWIENIA, ani nie szukam złych słów, którymi pragnęłabym bluźnić przeciwko Bogu, ani nie szukam usprawiedliwienia grzechów, szukam sprawiedliwego odważenia zasług i przewinień w duchu miłości i litości, nie w duchu zemsty, jeśli człowiek potrafi przebaczyć, to Pan Bóg nie może nie przebaczyć, bo nie przebacząc własną dobroć i własne bóstwo by unicestwił, *Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz?* tak, przebaczyłam mu, ani na moment nie zawitała w mej duszy złość na niego, anim się go nigdy nie wyrzekła, w sercach zaś moich dzieci zachowałam miłość do niego i nigdy żadne z nich nie usłyszało ode mnie złego słowa na niego, powinnam się modlić, zamiast tak ciągle, Ojczy Nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, Jurek nie przyjedzie, niepotrzebnie się łudzę, gdyby żył, dałby znać o sobie, to dobre dziecko, nie trzymałby nas w takiej niepewności, w ciągu ostatnich pięciu lat od tamtej nocy widziałam go wszystkiego dwa razy, ostatni raz w październiku czterdziestego piątego, pod koniec października, tak, bo już było po rocznicy urodzin Stefana, pamiętam, siedzieliśmy po ciemku, elektrownia znowu wyłączyła prąd, Helena w złość, zadania domowe zaczęła odrabiać, raptem gaśnie światło, przy świeczce musiała, mnie to nie przeszkadzało, zawsze lubiałam siedzieć po ciemku przy oknie, księżyc był, ale raz po raz zaciągały go chmury, nagle patrzę a tu kroczy ktoś ścieżką od drogi, coś mnie tknęło, Jerzy, mówię do Weroniki, i zaraz wstałam z krzesła, byłam absolutnie pewna, że to on, ten cień taki wysoki i krok jakby trochę wahadłowy, wstałam z krzesła i idę do hallu, takem się wtedy popłakała, ach Boże, takem się wtedy! zjawił się nagle w ciemny jesienny wieczór, posiedział trochę, tak samo się działo za okupacji, niespodziewanie wskakiwał do domu zabrać zmianę bielizny, wykąpać się, i znowu przepadał, wiedziałam, że tym razem będzie tak samo, nic o sobie, gdzie przebywa, co robi, jakie plany na przyszłość, tylko o nas się dopytywał, moje zdrowie, czy są wiadomości od Romana, od Oleńki, a i to tak jakoś jakby tylko jedną połową

siebie był z nami obecny, Weronika poszła przygotować wannę, zaczekał aż się za nią zamknęły drzwi, Czy byli się pytać o mnie? stał przy oknie twarzą zwrócony na dwór, szperał oczami wśród drzew, obawiał się, że może dom mają pod obserwacją, może zresztą i mieli, może potem kiedy wyszedł, kiedy się z nami pożegnał, gdzieś go tam na drodze zdybali, otoczyli, zabrali, nie wiem, To gdyby o mnie przychodzili się wywiadywać, powiada, mamusia powie, że mnie nie było, nikt nie wie, gdzie jestem, co się ze mną dzieje, najlepiej powiedzieć, że od końca wojny w ogóle nie zaglądałem do domu, dobrze? to jest taka zwariowana karuzela, jak się raz na nią wsiądzie, przepadło, trzeba się kręcić, trzymać mocno, żeby nie spaść i nie złamać karku, jedyna nadzieja w tym, że motor kiedyś nawali i impet sam się wyczerpie, mój ojciec chyba takich samych wskazówek udzielał mojej matce, gdy się musiał chować przed carską żandarmerią, a przedtem jego ojciec, mój dziadek, mojej babce, i tak dalej wstecz przeszedł sto lat, a karuzela ciągle wiruje i nie zanosi się na to, żeby się miała wreszcie zatrzymać, No to pójdę się wykąpać, powiada, i znowu było jak dawniej, grzebałam w szufladach za bielizną, tyle jej teraz było w domu, aż za dużo, po Leonie, po Kaziu, po Stefanie, koszule, podkoszulki, gacie, skarpetki, tyle razy prane, prasowane, cerowane, aż mnie skurcz w gardle ścisnął, Jurek stanął w drzwiach, szlafrok miał na sobie, pantofle na boscie nogi włożył, patrzy, a ja ocieram łzy i mówię, Jurek, dziecko kochane, mówię, przecież wojna już się skończyła, może byś już dał spokój i został z nami? Muszę, powiedział, nie sprzeciwiałam się, niech idzie, jeśli mu tak sumienie nakazuje, i tak bym nic nie wskórała, działania wojenne się skończyły, fronty zwinięte, to prawda, ale prawdziwa wojna przeciwko nam dopiero się zaczęła, czego car nie dokonał, teraz oni, niech idzie, ja go nie zatrzymuję, ale że moje serce matczyne bez przerwy płacze i z żalu się ścisną, to też prawda, bo żeby to tylko jeden Jurek, jednego stracić to już ciężko, ale jeszcze jakoś przeboleć można, ale ilu ja ich potraciłam! jeśli taka była wola boża, żeby oni wszyscy poginęli, któż jestem ja, żeby się temu sprzeciwiać? przyjmę ją w pokorze, ale chciałabym wiedzieć dlaczego? w tym musi tkwić głębszy sens, wszystko jest częścią ogólniejszego porządku, ale jakiego, nie wiem, a chciałabym wiedzieć, chciałabym zrozumieć, nie mogę uwierzyć, mój rozum się przeciwko temu buntuje, żeby wszystko, co nas spotyka na drodze życia, było nic nie znaczącym przypadkiem, żebyśmy byli tylko igraszką w rękach Boga, bo gdyby tak miało być, to ja przepraszam, ja się nie zgadzam, *Hoc est enim corpus meum*, muszę mieć pewność, że to było konieczne, też nieprawda, bo nawet gdyby było koniecz-

ne, też bym się nie zgodziła, moje nieszczęścia winny być na moją miarę, ja nie jestem bogiem, niech sobie Pan Bóg załatwia swoje porachunki gdzie indziej i niech mnie do nich nie miesza, to nie jest fair, nie jesteśmy równorzędnymi partnerami, *Hic est calix sanguinis mei, novi et aeterni testamenti: qui pro vobis et pro multis effundetur in remissionem peccatorum*, oni więcej krwi z siebie wylali i kto im to policzy? kto i u kogo zażąda wyrównania rachunku? czy ich śmierć była li-tylko ofiarą złożoną na chwałę Boga jako dowód naszej do Niego miłości, na odwzajemnienie się której czekamy na próżno? żeby Go jeszcze bardziej wbić w dumę? miliony ludzi na świecie wołają codziennie o ratunek, a Bóg co? niech cierpią, bo mnie obrazili? to ja, zwykły człowiek, mogę na drugim człowieku dochodzić pokrzywdzonego honoru, ale Bóg swego honoru na człowieku? czy mrówka może mnie obrazić? codziennie się modłę, Ojczy Nasz, który jesteś w niebie, ale czasami myślę, taki mi tam ojciec! nie wolno mi tak myśleć, przebac, Boże, samo mi się pomyślało, przebac, zmiłuj się nade mną grzeszną, nie chciałam, samo mi się tak, taki podszept, nie wiem skąd, taki diabelski podstęp, przebac, ach, ja już więcej nie mogę, za dużo tego, chyba już od rozumu odchodzę, jedenaście grobów tam leży pod rząd, a ja w brydza grałam kiedy oni ginęli, byłabym się zwała tym Niemcom do nóg, czubki butów bym im całowała, *Mnie zabijcie, mnie! to niewinni ludzie!* nie podobna przecież, żeby się nie wzruszyli, gdy ja, matka, *Haben Sie denn keine Mutter? haben Sie keine*, Jurek też na pewno już nie żyje, też go zabili, o Jezu! też go zabili! Jurka zabili! wszystkich zabili, i tylko ja, żeby do końca życia opłakiwać ich śmierć, codziennie na nowo wszystko przeżywać, męczyć się tak bez końca, krwawić się, dlaczego to się stało, odpowiedz mi, Boże, dlaczego?

— Niech pani przestanie płakać, pani mecenasowa, ludzie patrzą. Proszę, niech pani weźmie moją chustkę, czysta.

— Dziękuję. — Może jednak żyje, do dziś dnia tyle oddzia-
łów tkwi jeszcze po lasach, gdyby go zabili, ktoś z towarzyszy powiadomiłby przecież rodzinę, nie zakopaliby jak padlinę, dopóki ci dwaj z bezpieki przychodzili się o niego pytać, to jeszcze miałam jakąś nadzieję, bo jeśli go poszukują, to znaczy, że według nich też jeszcze żyje, ale odkąd przestali przychodzić, zbiry takie! Jacys panowie przyszli, mówi Weronika, chcą się koniecznie z panią zobaczyć, blada, broda jej drżała, domyśliłam się, że z Urzędu Bezpieczeństwa, ale wcale mi nie przyszło do głowy, że o Jurka im chodzi, myślałam, Stanisław coś tam, on kiedyś wpadnie, tyle razy mu mówiłam, Zostaw, nie handluj, oni na to złym okiem patrzą, sam nie wiesz, czy towar nie z kradzieży,

ale jemu do rozumu nie trafisz, on wie lepiej, on zawsze wszystko wie lepiej, Ty wiesz, mówi, co oni robią w Łodzi? całe magazyny z tekstyliami przejmują i wywożą do Rosji, to już nie lepiej, żeby wszystko u nas zostało? a co się dzieje na Śląsku i na Ziemiach Odzyskanych? takiego rabunku oko ludzkie w Europie nie widziało od czasu najazdów tatarskich, mamy patrzeć z założonymi rękami aż nam cały kraj ogołocą? może ma rację, nie znam się na tym, ale mnie to się nie podoba, według mnie jak nie moje, to nie ruszam, tak mnie wychowano i tak powinno być, a nie żeby tam, Czy pani Niesztorowa? i tak na mnie patrzą, świdrują mnie tymi oczami, dwóch ich było, w takich czarnych skórzanych płaszczach, jak dawniej gestapowcy, Tak, ja jestem Niesztorowa, czego panowie sobie życzą? a oni tymi oczami, jakby mi chcieli pod czaszkę zajrzeć, Kiedy pani widziała ostatni raz swojego syna Jerzego? odetchnęłam, o Jurka pytają, znaczy się, że żyje, i jakaś dzika radość we mnie zatrzepotała, Kiedy? mówię, o dawno, bardzo dawno, musiało być jeszcze w czterdziestym trzecim, Co pani syn wtedy robił? Co robił? powiadam, ano walczył, powiadam, w podziemnej armii polskiej walczył, To znaczy w Armii Krajowej? Tak, mówię, mój syn w Armii Krajowej, w podziemnym wojsku polskim, walczył z okupantami, jeden to aż wargi ze złości zagryzł, Nie musi pani z takim naciskiem, że w polskim wojsku, my dobrze wiemy, jakie to było wojsko, bandyci! powiada, Niemcy, mówię, też ich bandytami nazywali, myślałam, że się rzucą na mnie, taka wściekłość odbiła im się na twarzach, I od tego czasu nie miała pani z nim żadnych kontaktów? Żadnych, a panowie dlaczego o niego się ciekawią? chyba czegoś nie nabroił, to taki dobry chłopak, mówię, a taki patriota! stali niepewnie na mnie spozierając, kpi czy o drogę pyta? a ja jeszcze raz, bo mnie to bawiło, Taki, mówię, patriota, dla niego tylko Polska! a w duchu się śmiałam, ech, wy bubki! wy bubki! wreszcie jeden powiada, Pani nam się zobowiąże, ten zły taki, co tak wargi zagryzał, pani nam się zobowiąże, powiada, że gdyby się pani czegokolwiek o nim dowiedziała, wszystko jedno co, skąd, natychmiast się pani z nami skontaktuje, czy pani rozumie? ależ to głupaki te ubeki, gdzie toto się nauczyło takiego głupiego myślenia? ja im mojego syna sama w ich zbirackie łapy oddam? toż tu Polska, panowie, co wy? wieśniaki, siłę mają, wojsko, milicję, szpicłów, więzienia, obozy koncentracyjne, ale pomyślnku, inteligentnego podejścia do człowieka to u nich *niet*, na chama wszystko, siekierą, potem przestali przychodzić, już chyba rok będzie, w głowę zachodzę, co się mogło stać, nie żyje? uciekł za granicę? złapali go i zesłali do Rosji? może jest za granicą, no ale przecież mógłby dać jakiś

znak życia, nie mógłby? czego się boi? nie zdradzilibyśmy, oj synu, synu, tak nad rodzoną matką się znęcać! słówkiem bym nikomu nie pisnęła, kołem mogliby mnie łamać, nie powiedziałabym, jeśli go złapali, to już chyba żywy z ich rąk nie wyjdzie, z ich rąk rzadko kto wychodzi żywy, jak ten Karaś, co taki maszynista winien, że mu parowóz wyskoczył z szyn? jak świat światem na przetokach zawsze zdarzały się wypadki, ale nikt maszynisty nie pomawiał o sabotaż, badali, jak wypadek, to trzeba, ale żeby człowieka zaraz do więzienia i zniszczyć? po co miałby sam powodować wypadek i chleb sobie odbierać? wystarczy tak na ludzki rozum, żeby zobaczyć jakie to absurdalne.

— Już koniec mszy, pani mecenasowa.

— Aha, no to dobrze, to chodźmy. — Tylko paczkę z ubraniami, jakie miał na sobie w dniu wypadku, jej zwrócili, siedziała z nią na kolanach, Tyle mi z niego zostało, zawodziła, kołysała się do przodu i do tyłu, nawet już nie płakała, minęła ten punkt, kiedy się jeszcze płacze, czasem jedynie taki pisk się z niej wydobywał, zupełnie nieludzki, psy tak niekiedy albo pomyleńcy, wierzyć się nie chce, tydzień temu jeszcze z nim rozmawiałam, zdrowy, młody, gdzie takiemu do umierania? a wczoraj przyjeżdża samochód, Pani się ubierze i pojedzie z nami, Gdzie? po co? Pani się ubierze i pojedzie z nami, po dwóch godzinach odstawili ją z powrotem, Meża, powiada, pochowałam, myślałam, że trupem padnę. — Jak Weronika myśli, żyje jeszcze ten nasz Jurek?

— Bóg jeden raczy wiedzieć, ale chyba tak, nawet na wojnie człowiek nie przepada jak kamień w studni. Na pewno jest w Ameryce.

— Dlaczego w Ameryce?

— Tam dobrze. Gdzie miałby być?

— Dzień dobry panu! Niech no Weronika zerknie za siebie. Ale dyskretnie! Dyskretnie! Ten pan w szarej jodełce, Weronika widzi? Kto to jest?

— Rozborowski, inżynier drogowy, mieszka za stacją.

— A prawda. Zupełnie go nie poznałam.

— Bardzo się zmienił od tego czasu, kiedy mu najstarszego syna powiesili, pani pamięta, wtedy przed dworcem?

Jesteś jego ojcem, mógłbyś uczynić pierwszy krok, co by ci szkodziło, gdybyś pierwszy do niego rękę do zgody wyciągnął? gdyby tylko los był im podarował jeszcze trochę czasu, ale nie wierzę, żeby Jurek był tak nieugięty i mu nie przebaczył, siedzieli z Leonem na strychu jeden drugiego obejmując, czekając w strachu, a ich ojciec tam na dole, dom cały pełen gestapowców, musiał mu wybaczyć, a Stefan jemu, i była w nich już tylko mi-

łość, na pewno, nie mogło być inaczej, w takiej chwili żeby nie przebaczyć sobie? musieli sobie przebaczyć, pociąg dojeżdża do stacji, czuć mróz w powietrzu, zatrzymał się, to ten ranny do Warszawy, będzie znowu dzień bez słońca, może spadnie śnieg, kwiaty na grobach na pewno pomarzęły. — Może jednak należało zaczekać z tymi kwiatami do dzisiaj, jak Weronika myśli? W nocy na pewno pomarzęły.

— Nie pomarzęły, niech pani będzie spokojna, chryzantemy nie boją się mrozu.

— Ale ktoś mógł pokraść?

— Nikt nie ukradł, niech pani się nie martwi.

— Miejmy nadzieję. — *Slepy jesteś? nie rozumiesz, że tym razem to nie jest jakaś zwykła awantura, to jest rewolucja, cała Ukraina, cała Rosja*, jego to oczywiście nie przekonywało, chciał spać, to tylko w tej chwili się liczyło, w jego własnym domu żeby nie mógł się spokojnie położyć do łóżka? nie mógł na to pozwolić, mama plecami wparła się w drzwi, ramiona rozstawiła szeroko. Nie pozwolić, słyszysz, nie pozwolę ci tam iść, bo cię zabiją! Nikifor drżącą ręką trzymał lichtarz z zapalonymi świecami, cienie skakały po ścianach, przelewały się po podłodze, Odejdź od drzwi! rozkazał wreszcie, mama podniosła ręce, opuściła bezradnie, Ach Boże, powiedziała złamanym głosem, w żaden sposób nie można cię przekonać, dobrze, skoro uważasz, że tak trzeba, odstąpiła na bok, ojciec wyszedł, zamknął drzwi, na zewnątrz zapadła kompletna cisza, długa jak cała wieczność, wtem padł pierwszy strzał, potem chwila przerwy, potrzebowali jej chyba na wchłonięcie wstrząsu, i znowu, kilkanaście następujących szybko po sobie strzałów, dobijali go już leżącego na ganku, mama osunęła się na podłogę, Dusia stanęła nad nią, położyła jej dłoń na plecach, światło lichtarza migało po twarzy Nikifora, patrzył przed siebie w milczeniu, jakby się niczemu nie dziwił, jakby wiedział, że to co się stało, co jeszcze miało nastąpić, było czymś nieuchronnym, tylko kwestia czasu, po raz pierwszy uświadomiłam sobie gruntownie, że przecież on też jest Ukraińcem, byliśmy zdani na jego łaskę i niełaskę, w każdej chwili mógł otworzyć drzwi i wpuścić do środka swoich pobratymców, co go z nami wiązało? a jednak coś wiązało, bo nie przepadł nagle i zagadkowo tydzień czy dwa wcześniej jak reszta służby, ależ zimno dzisiaj, śniegi wkrótce spadną, na pewno, lokomotywa zagwizdała, nie zadržaszczę tym, co mieszkają przy stacji, zwłaszcza w nocy, jednak dobrze, że Romka wtedy posłaliśmy do Szaropyszek, tam był spokój, bardziej na zachód, tam ta fala nie docierała, nie wiem, jak dałabym sobie rady z dwojgiem małych dzieci. — Zimno, nie uważa Weronika?

— Niech pani popatrzy, tam przy garażu, kogoś prowadzą pod bagnetem.

— Gdzie? Rzeczywiście! — Już żadnego wstydu ci ludzie nie mają, w biały dzień pod bagnetem przez środek osady, jak jakiegoś największego zbrodniarza, nawet mu ręce zakuli w kajdanki, wstyd! Bogu ducha winnego człowieka, chłop z okolicznej wsi, co taki chłop mógł zrobić złego? nie wywiązał się z obowiązkowych dostaw dla państwa, zakopał zboże, no to co? ja bym też zakopała, państwu wszystko odda za pół darmo a sam z czego będzie żył? a inwentarz? wsadzą go do więzienia, zbiją, zmasakrują, w biały dzień jak jakiegoś największego zbrodniarza albo jakiegoś zbroczniaka, to ich metoda, upokorzyć człowieka, szmatę z niego zrobić, żeby sam sobie wydał się ostatnim żebrakiem, i jakie to robi wrażenie na ludziach? no tak, ale im właśnie o to chodzi, żeby ludzie widzieli, to moresu dla władzy uczy, może podobnie jak Niemcy egzekucje publiczne zaczęły również urządzić?

— Jakby już nie potrafili uszanować tego dnia i przynajmniej dzisiaj dać spokój takim rzeczom.

— Za dużo by Weronika od nich wymagała. Jak się raz Boga wyrzuciło z serca... — *Alles raus! schnell! schneller!* krzyczeli jak opętanci i kolbami do drzwi, a ja w strachu bo Kazia nie było w domu, pół godziny przedtem widziałam jak biegał między drzewami przy drodze, chciałam lecieć, szukać, ale Stefan mnie powstrzymał, Pilnuj Joasi, niech Weronika, może jest na podwórzu? poszedł i otworzył drzwi, trzech ich wpadło do środka, *Alles raus! raus! schnell! schneller!* wypchnęli nas przed dom, Weronika przybiegła z podwórza, Nie ma, szukałam wszędzie, mój Boże! ile to dziecko mi wtedy napędziło stracha! pogнали nas do ulicy, we wszystkich domach działo się to samo, wyrzucali ludzi z mieszkań, pędzili w stronę dworca, Stefan, mówię, połaż trochę, może to dziecko się gdzieś znajdzie? I co, zostawię was samych, żebyśmy się wszyscy pogubili? akurat wtedy dał się słyszeć strzał jakby gdzieś z drugiej strony torów, no to już po Kaziu, pomyślałam, całą osadę zegnali na plac przed dworcem, ustawili w duży czworobok, przed wejściem do poczekalni stała ciężarówka przykryta zasznurowaną z tyłu plandeką, obok kilku oficerów, na środku placu wznosiły się dwie prowizoryczne szubienice podobne do bramek do gry w piłkę nożną, po cztery taburety pod każdą, struchlałam, może Jurka i Leona mają? Stefan, popatrz! skinał głową, oficerowie rzucili papierosy na ziemię, przydeptali, obciągnęli mundury, wkroczyli do czworoboku, stanęli przy szubienicach, przyglądali się jak żołnierze wiązali pętle, jeden, coś mu się któraś z nich nie widziała jak

należy, sam się wspiął na taburet, sprawdził, zlął, otarł ręce o spodnie, a taka cisza się zrobiła na całym placu, to było wprost nieludzkie, żołnierze odsznurowali plandekę na ciężarówce, z wnętrza wyskakiwali jeden po drugim młodzi mężczyźni z zawiązanymi z tyłu rękami, jeden się przewrócił, to mu żołnierze pomogli wstać, oczy mi zaszczyły łzami od wytężonego patrzenia, ocknąłam się gdy Joasia nagle krzyknęła z bólu, tak mocno ją ścisnęłam za rękę, Stefan miał napiętą skórę na twarzy, pracował nieustannie szczękami, usta mu posiniały, gdy ostatni ze skazańców znalazł się na ziemi, cały jakby oklapnął, westchnął ciężko, zaczepił o mnie wzrokiem i zaraz go cofnął, wstydził się ulgi jaką odczuł, gdy się przekonał, że nie ma wśród nich naszego Jurka i Leona, Ale wszyscy z Prutów, powiedział, poznaję, nagle tam gdzie teren podnosi się w górę przy owocarni zobaczyłam Kazia, biegł środkiem ulicy, potykał się, obok niego kroczył żołnierz z karabinem przewieszonym przez ramię, który coraz to dawał mu kufszańca w głowę, na chwilę straciłam ich z oczu, zasłonili ich ludzie po przeciwnej stronie placu, zaraz jednak znowu się pokazali, już wewnątrz czworoboku, żołnierz podszedł do oficerów, zameldował się, popatrzał na Kazia, oficer machnął niedbale ręką, Masz, Stefan, trzymaj Joasię! i rzuciłam się przez plac, Po głowie mnie ciągle bił, powiedział pochlipując, cały zamazany łzami, a nic mu nie zrobiłem, zamknęłam mu usta dłonią, Szszszsz, dziecino, i do tego żołnierza, *Danke, danke*, a ten, jakie to jednak spacone poczucie humoru ci ludzie mają, powiada, żebym na dzieci lepiej uważała, o mało a byłby wpadł pod samochód! a to dziecko, nic mu nie zrobił, powiada, a ten go ciągle bił po głowie, mój Boże, nic mu nie zrobił, a on go, smarkacz taki! to myśmy się tak martwili, a on gdzieś tam, codziennie mu mówiłam, Nie wolno ci się oddalać od domu, mam za tobą po całych Prutach latać? a gdyby nas byli wywieźli, no co, niemożliwe? nie mogli wywieźć? co taki żołnierz, co go obchodzi, czyje dziecko, wrzuci byle gdzie, potem szukaj, albo po prostu zastrzeli, jeszcze teraz po tylu latach, a jak sobie przypomnę, to mnie ciarki przechodzą, smarkacz! no i znowu jesteśmy w domu, zapuszczony ten ogródek, ja już za stara, żeby jeszcze przy grządkach, schylę się, potem ani nóg, ani pleców nie potrafię wyprostować, Stanisław mógłby się trochę przyłożyć, zamiast, z tego nic dobrego nie wyjdzie, wspomni kiedyś na moje słowa, złapią go i wsadzą, nie, jego nie wsadzą, bo on mądry, on ostrożny! akurat! każdy tak mówi, A co mam robić? do biura za te głupie osiem tysięcy miesięcznie? Inni pracują po biurach, Jak ktoś jest taki głupi frajer, żeby za darmo harować jak wół, Jednak jakoś z tej pensji żyją, Jakoś! właśnie, a ja wcale nie mam zamiaru, żebyśmy

jakoś żyli jak ostatni nędzarze, chcesz, żeby Helena przerwała studia? wcale nieprawda, że musielibyśmy Helenę zabrać z uniwersytetu, wolałabym, żeby w domu było mniej pieniędzy niż żeby mi strach ciągle wisiał nad głową. — Niech Weronika przygotuje śniadanie dla pani Ireny i zanieś je do łóżka. Ja potem zajdę i porozmawiam z nią.

— Może jeszcze śpi?

— No to Weronika zobaczy wpierw czy śpi. — Ależ zniszczona ta moja twarz, z każdym dniem coraz więcej zmarszczek przybywa, włosy siwiuteńkie, wtedy przez te dwa dni tak posiwiały.

— Pani mecenasowa!

— Co takiego?

— Pani Ireny nie ma w pokoju, w ogóle tu nie spała.

— Nonsens, jakto nie spała? A gdzie spała?

— Pani przyjdzie i popatrzy. Łóżko nie tknięte.

— Niemożliwe.

— O rany boskie, przecież mówię, że nietknięte, nie poznam czy co?

— No dobrze. Jaki tu zaduch! Niech Weronika otworzy okno, udusić się można.

— No? Nie mówiłam?

— Wygląda na to, że Weronika ma rację. Gdzie się mogła podziąć? Kiedy? Niech Weronika nie gryzie paznokci! Weronika wie, że tego nie cierpię. Przecież siedzieliśmy z nią do późna w nocy, która była jakeśmy stąd wyszły?

— Chyba już po dwunastej.

— Właśnie. Do siostry nie pojechała, o tej porze pociągi już nie kursują.

— Może dziś rano?

— Spotkałybyśmy ją wracając z kościoła. Niepokoi mnie to, nie chcę tego przed Weroniką ukrywać. Żeby jej się tylko w głowie nie pomieszało. Zaraz, zobaczymy czy jest palto. Nie ma, ale jest torebka. No co tu? Dowód osobisty, portmonetka, tyśiąc złotych plus trochę drobiazgu. Nie mogła nigdzie pojechać, bez pieniędzy i dowodu osobistego nigdzie by się nie wybierała. A gdzie paczka?

— Jaka paczka?

— Z ubraniami męża. W szafie? Nie. Niech Weronika wejdzie na krzesło, może na szafie? Nie ma? A pod łóżkiem? Też nie. Zabrała z sobą. Coraz bardziej niepokojące. Może poszła do, no jakżeż jej, ta jej przyjaciółka? Kliniewska! Może poszła do Kliniewskich? Niech Weronika poda mi książkę telefoniczną, nie, przepraszam, nie trzeba, oni tam są na pokoju subloka-

torskim, telefon nie będzie pod ich nazwiskiem. Weronika nie zna adresu?

— Nie. Gdzieś za przejazdem kolejowym, ale gdzie dokładnie, to nie wiem.

— Czy Weronika nie mogłaby pójść dowiedzieć się?

— Mogę, ale gdzie ja ich tam...

— O Jezuu, taka ta Weronika dzisiaj, zupełnie nic nie myśli! Popyta się Weronika, ludzie wskażą. Nie możemy tego tak zostawić, mieszka z nami i jakby nie było jesteśmy za nią w pewnym sensie odpowiedzialni. Niech Weronika włoży palto i już idzie. No ale już, już!

— A jeśli tam nie będzie?

— Czy Weronika przestanie wreszcie głupie pytania zadawać? — Znowu cisza, wszyscy śpią tak długo, też bym chciała, tylko już nie mogę, zresztą do kościoła trzeba, nikt za mnie nie pójdzie, całe życie rano chodziłam do kościoła i dopóki ducha w sobie noszę, u rodziców w Krzyżtopolu, potem w Szaropyszkach, wszędzie, no tak, nie piechotę, koźmi zawieźli, nic nie szkodzi, jeszcze mi sił w nogach starczy, szary dzień, też się ta nasza Weronika starzeje, ile ona lat już to palto nosi? z dziesięć chyba, Stefan zawsze wiedział kiedy mi trzeba było kupić sobie coś nowego, włożyłam coś na siebie, mrużył krytycznie oczy, Jak długo to już nosisz? trzeba, powiada, sprawić ci coś nowego, dbał, żebym się ładnie ubierała, przyjemność mu to sprawiało, kiedy mnie widział elegancko ubraną, podniecało go, tak, to też, No pokaż się, a oczy aż mu się śmiały, niech ci się przyjrzę, pozwól bliżej, zamykał drzwi na klucz, ściągał mnie na łóżko, nigdy w życiu nie spozrzałam na innego mężczyznę z myślą, żeby z nim do łóżka, a na Stefka czasami tylko okiem smyknełam i aż mnie skręcało, on zawsze wiedział, gdy to na mnie nachodziło, wtedy na przyjęciu, chmara ludzi w salonie, i coś tak we mnie, chciałam śpiewać, taka jakaś radość, bez żadnego specjalnego powodu, ot tak sobie, tańczyliśmy, przycisnęłam się do niego, Idź na górę, mówi, ja zaraz przyjdę, ach Boże, jak sobie czasami przypomnę co myśmy na tym łóżku wyprawiali! nigdy w życiu mnie nie ciekawiło nawet jak to by mogło być z innym mężczyzną, a były okazje, wystarczyło żebym palcem skinęła, jedno zachęcające czy nawet tylko przyzwalające spojrzenie, i nawet by nikt nie wiedział, ale ja nigdy, Nieprawda, a dlaczego Paweł Fiodorowicz się strzelał? Tak, ale to się nie liczy, myśmy wtedy nie byli nawet z sobą zaręczeni, Zaręczeni, zaręczeni, to jest czysta formalność, już mi powiedziałaś, że mnie kochasz, nie powiedziałaś? Powiedziałam, Przecież myśmy już wtedy z sobą spali! Tak, spaliśmy, No więc? Ach Boże, sama nie wiem

dlaczego to się stało, byłam trochę podchmielona, za dużo wina w czasie obiadu wypiałam, zresztą to już tyle lat, czy jest naprawdę o co się teraz wyklócać? Jeśli kobieta jednemu mężczyźnie mówi, że go kocha, to nie ma prawa z drugim iść do łóżka, Nie byłam z nim w łóżku, Mówię obrazowo, wiesz dobrze co mam na myśli, Dobrze, dobrze, ale do niczego w końcu przecież nie doszło, To co? to cię rozgrzesza? no nareszcie ktoś tam na górze zdecydował się ruszyć. — Stasiu, to ty?

— Dzień dobry, Jadwisiu. Już z kościoła? Tylko wstąpię do łazienki i zaraz będę na dole. Poproś Weronikę, żeby mi przyrządziła śniadanie.

— Sama zrobię. Weronika musiała wyjść.

— Tak wcześnie? Dokąd?

— Ubierz się, potem ci powiem.

— A co się stało?

— Poczekaj, przyjdiesz na dół, wszystkiego się dowiesz. — To te jego łzy, na kolanach, ręce wyciągnięte do mnie, takie to było śmieszne, jak ilustracja do jakiegoś staroświeckiego romansu, zastrzeli się, powiada, jeśli wyjdę za Stefana, w kościele się zastrzeli w chwili, gdy ksiądz będzie nam wiązał ręce stułą, parsknęłam śmiechem, a on na to w płacz, taka mnie litość nad nim zdjęła, taka się poczułam dla niego niedobra, taka sama sobie wstrętna, że też zaczęłam płakać i

— Dlaczego siedzisz tu, a nie w kuchni? Co się stało? Gdzie pani Irena?

— Też bym chciała wiedzieć.

— Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że pani Ireny nie ma w domu, w ogóle tej nocy tu nie spała.

— Niemożliwe.

— Rzuć okiem na łóżko.

— Widocznie już pościeliła.

— Nie, w tym łóżku nikt tej nocy nie spał.

— Może całą noc na krześle przesiedziała?

— To owszem, to jest możliwe.

— A gdzie Weronika?

— Posłałam ją do państwa Kliniewskich, może pani Irena jest u nich.

— Na pewno.

— Mówisz tak tylko dlatego, żebyś się nie denerwowała, ale sam w to nie wierzysz.

— Więc co mam powiedzieć, że poleciała się rzucić pod pociąg?

— Nie mów takich rzeczy! Nie wolno! Takich rzeczy nawet pomyśleć nie wolno!

— Za bardzo się przejmujesz, Wisia.

— Chodź do kuchni, chodź, chodź, zrobię ci co do zjedzenia.
— Dziury w szlafroku, ciągle za tymi swoimi interesami, a nawet nowego szlafroka nie może sobie spatrzeć.

— Helena jeszcze śpi?

— A co miałyby robić?

— Ależ ty dzisiaj w humorze, no!

— No jak takie głupie pytania zadajesz! — To dziecko miało wtedy szczęście, że nikt z nich nie wpadł na myśl, żeby w szopie poszperać, no tak, ale co to za szczęście? tylko płakać nad takim szczęściem, przez tyle godzin przycupnięta za tymi deskami, słyszała wszystko, strzały, tę ich pijatykę potem, przez szparę w ścianie widziała jak wyrzucali ich ciała przez okno na podwórze, takie dziecko! w takim wieku! właściwie nie powinnam się wcale dziwić, że jest taka jaka jest, biedna Helena, to ją naznaczyło na zawsze, tak samo jak Jurka, to co wtedy widział w Krzyżtopolu i potem, gdy te trupy na drzewach mijaliśmy, cały czas zaciskałam dłoń na jego oczach, przecież jednak coś zobaczył, to w nim zostało, wracało potem jako senny koszmar, budził się z wrzaskiem, siadał na łóżku spocony, w oczach strach, odurzony zwałami lepkich ciemności w jakich przebywał we śnie, klatka piersiowa pracowała mu jak miech kowalski, Coś mi się, jakąś się, nie wiem, takie jakieś, śniło mu się coś, ale nie umiał tego słowami wyrazić, człowiek za dużo w tym jednym życiu jakie mu dano doświadcza, powinien mieć ich kilka, żeby stopniowo przygotować się na spotkanie tego, co w życiu najstraszniejsze, a nie tak, rodzi się i zaraz piekło. — Może Helenę by już należało zbudzić, co? Bo się znowu spóźni na mszę.

— Zostaw ją, niech sobie dziewczyna pośpi. Jeszcze ma dużo czasu.

— No żeby tylko! — Taka mnie litość nad nim zdjęła, taka się poczułam dla niego niedobra, taka sobie samej wstrętnej, że też zaczęłam płakać, i tak się to wszystko pokręciło, ja płakałam, bo on płakał, potem on płakał, bo ja płakałam, zaczęliśmy się wzajemnie pocieszać, uspokajać, usiadłam obok niego na podłodze, objęłam go ramionami, potem, nawet sama nie wiem jak to się stało, leżałam na plecach, on leżał na mnie, całował mnie, i nagle poczułam, że go chcę, on też już był mocno podniecony, ręce mu się trzęsły, nie mógł sobie poradzić, myślałam, pomogę mu, ale ledwo się go dotknęłam, to on już, spojrzeliśmy po sobie, zbladł jak śmierć, a mnie się na śmiech zebrało, myślałam, że z niego,

zupełnie nie miał poczucia humoru, potem się strzelał, taki idiota! — Drzwi. Ktoś wszedł. Weronika? No i co?

— U Kliniewskich jej nie ma. Oni w ogóle nie wiedzieli, że pan Karaś już nie żyje. Pani Kliniewska dostała formalnie ataku hysterii.

— Może więc jednak pojechała do Warszawy?

— Pan Kliniewski obiecał, że spróbuje się skontaktować z jej siostrą, da nam znać, jeśli się czegoś dowie.

— No to sprawa załatwiona. Trzeba czekać.

— Tak. Pójdę teraz do siebie, odpocznę trochę. — To ciągle wspinanie się po schodach, tam i z powrotem, tak przez cały boży dzień, po najmniejszą rzecz, szklankę herbaty, trzeba po tych schodach, nie na moje stare nogi, zasapałam się, o Boże! oczywiście można by w moim pokoju zainstalować elektryczną kuchenkę, nie, absolutnie nie, żebym w własnym domu miała mieszkać jak na pokoju sublokatorskim? można by inaczej, przesunąć Lenorę tutaj, a ja bym zajęła jej pokój, ale wtedy znowu do łazienki, i tak źle i tak niedobrze, źle myśmy ten dom zaplanowali, trzeba było od razu dwie łazienki, ale człowiek nigdy na czas nie pomyśli, że kiedyś się zestarzeje i taka prosta rzecz, jak przyrządzenie sobie szklanki herbaty, postawi go wobec takich trudności, zresztą, też prawda, czy to kiedy kto przypuszczał, że obcych ludzi trzeba będzie brać do domu? położę się na łóżku, zmęczyłam się, z powodu takiego głupstwa się strzelać! idiota! ani krzty humoru! inna rzecz, że lepiej, że tak się stało, przynajmniej miałam czyste sumienie wobec Stefana, Bo technicznie biorąc on ciebie nie posiadał, tak? co za przewrotna logika, tylko kobieta może być zdolna do takiej kazuistyki, jak ci nie wstyd? No już dosyć, dosyć, daj mi spokój, mało się sama z tego powodu nagryzłam? przecież, na miły Bóg, to było tak dawno temu, czy można całe życie robić sobie wyrzuty sumienia z powodu jednej maleńkiej niedyskrecji? Grzechu! Dobrze, niech będzie grzechu, przecież potem już nigdy, to był jeden jedyny raz, potem nigdy nawet w myślach! — Proszę!

— Wisiu, czy wiesz, że Heleny nie ma w domu?

Zawsze mu byłam dobrą żoną, dzieci z miłości mu rodziłam, nigdy nie przestałam go kochać, nawet jak mnie rzucił dla tej lafiryndy. — Co powiadasz?

— Helena wczoraj na noc nie wróciła do domu.

— Nie! Ona też? Tego już za dużo! Słyszysz! Za dużo! Za dużo! Już tego więcej nie wytrzymam! Jak nie to, to co innego! Za dużo tego, za dużo! Oszaleć można!

— Wisia, uspokój się i nie krzycz.

— Będę krzyczała, właśnie, że będę krzyczała, to jest mój

dom, w moim własnym domu nie wolno mi krzyczeć? Co ta dziewczyna sobie wyobraża? Że już wszystkie rozumy pozjadała i może sobie na matkę bimbać?

— Wisia, proszę cię!

— To ty ją tak zepsułeś!

— Pleciesz!

— Tak! Ty! Ty! Ty!

— Bajdurzysz, moja droga.

— Jak to ma wyrosnąć na coś porządnego, gdy w domu takim jej się przykładem świeci? Kto sobie do pokoju sprowadza kobiety? Myślisz, że ona tego nie widzi? A kiedy byłeś ostatni raz u spowiedzi?

— Wisia, teraz już naprawdę od rzeczy gadasz, oszalałaś. Przestań histeryzować. Ukłęknij sobie przy łóżku i pomódl się, żeby ci Pan Bóg rozum zwrócił.

— O widzisz, widzisz! Sam masz najlepszy dowód!

— Dowód czego?

— Zostaw mnie, bardzo cię proszę, przynajmniej ty mnie nie dręcz.

— O Jezu, znowu płaczesz, no przestań, przestań już. Może coś się stało i nie mogła wrócić. Dlaczego zaraz przypuszczasz najgorsze?

— Mogła zadzwonić, nie mogła? A poza tym, czy to pierwszy raz? Co to jest dla niej dom? Dom? Hotel! Hotel!

— Krzywdzisz ją.

— Dobrze, więc ją krzywdzę, niech będzie po twojemu. Zostaw mnie, dobrze? — Takie niedobre dziecko! zawsze jej mówię, To jest twój dom, wszystko jedno o której kończysz zajęcia, to jest twój dom i na noc wraca się do domu, a nie tam gdzieś po koleżankach czy Bóg wie gdzie, przecież już jest dorosłą dziewczyną i powinna się odpowiednio zachowywać, nie żebym ja musiała ją ciągle trzymać za rączkę, całą noc poza domem i matce ani słowa, tak postępuje dorosła osoba? to niedobre dziecko! bo gdyby żywiła choć trochę miłości do własnej matki, to by nie pozwoliła, żebym się tak martwiła, jakoś tę moją starość próbowałaby mi osłodzić, ile ja łez nad nią wylałam! o mój Boże! ile ja łez nad nią, ile ja godzin nocami już wysiedziałam czekając na nią, tak, ale zamiast mi być wdzięczna, to nie, jeszcze mi wymówki czyni, że się o nią martwię, jakbym nie miała prawa, nie była jej matką, Czego mamusia czekała? czy mamusia koniecznie chce mi zatruć młodość, żebym się już nie mogła z niczego cieszyć, bo mamusia tam w domu czeka i łzy nade mną wylewa? ja wiem jak na siebie uważać! ona wie, ona wszystko wie! matka to nic, stary rupieć, na łopatę i do

śmietnika! — Kto tam znowu? Proszę! Co Weronika przyszła mi powiedzieć?

— Nie uwierzy pani!

— W co nie uwierzę? Niechże Weronika nie stoi tak, tylko powie o co chodzi!

— Lenora ma u siebie mężczyznę.

— Widziała Weronika?

— Nie mówiłabym, gdybym nie widziała. Wychodziłam z kuchni, patrzę, facet złazi po schodach, w łazience był, taki wysoki brunet, ręcznik przewieszony przez szyję, w piżamie, pani mecenasowa sobie wyobraża, w piżamie!

— Weronika natychmiast poprosi tu pana Stanisława! — To jest mój dom, ja sobie wypraszam, żeby w moim domu, nie ma prawa, niech będzie zadowolona, że ma pokój dla siebie, wszystko czego jej tylko dusza zapagnie, w własnym domu nie byłoby jej lepiej, chce skorzystać z kuchni, proszę bardzo, nie przeszkadzam, po to jest kuchnia, chce wziąć kąpiel, proszę bardzo, ile razy chce, ale żeby, no wiecie! studentka, myślałam sobie, Helena będzie miała towarzystwo, zaprzyjaźnią się, przynajmniej jedna z drugą nie będą mi tam gdzieś latały po nocach, a tu masz! ja jestem bardzo liberalna kobieta, ale wszystko ma swoją granicę, ja wiem, dzisiaj inne czasy, młodzieży po okupacyjnych przejściach należy się trochę luzu, Bóg mi świadkiem, na wiele rzeczy zamykam oczy, niech się dzieje, byle był spokój i zgoda w domu, ale żeby mężczyznę sobie tu na noc! — Słyszałeś? Lenora ma u siebie mężczyznę.

— A co ty chciałaś? Żeby miała hipopotama? Taka przystojna młódka!

— Bardzo cię proszę, nie bądź trywialny, to nie jest temat do żartów.

— Wcale nie żartuję, ma mężczyznę, więc co? Bóg z nią!

— Jakto co? W moim domu?

— Wolałabyś, żeby z nim poszła gdzieś w krzaki, żeby jeszcze ich tam jakie łobuzy przydybali, jemu czerep rozbili a ją zgwałcili?

— Nie o to chodzi, żeby z nim chodziła w krzaki. Bój się Boga, Stasiu, ona jest za młoda i nie powinna w ogóle o takich rzeczach...

— Nie przesadzajmy, Wisiu. Kto jest kiedy do czego za młody, to jest bardzo trudna sprawa. Ona ma dziewiętnaście lat, to jest piękny wiek do uprawiania miłości. Sama nie byłaś o wiele starsza, gdy wychodziłaś za mąż.

— Otóż to! Wychodziłam za mąż! W tym właśnie cała różnica. Jak ona wyjdzie za mąż, to co innego, ale na razie jest

panną, mieszka w obcym domu i powinna się zachowywać przyzwoicie. Chwileczkę, ktoś otworzył drzwi. Helena, to ty?

— Ten jej absztyfikant wychodzi.

— Niech no ja sobie na niego popatrzę. Popatrz! No popatrz, coś takiego! Kiwa do niej, widziałeś coś takiego? Ona widocznie stoi w oknie i...

— I ma prawo tam stać, a ty nie masz, więc odejdz. Chcesz, żeby cię zobaczył?

— Niech zobaczy, niech wie, żeśmy go widzieli! Może mu się odechce drugi raz tu przychodzić. Taki młody i już...

— A ty wołałabyś, żeby najpierw spróchniał i dopiero wtedy, tak?

— A furtki nie zamknął, łobuz! Ja tego nie rozumiem, nie ma to taki ojca, matki, żeby mu zabronili?

— Dorosły mężczyzna, czego mu zabraniać? Niech się cieszy z życia. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego ciebie to tak złości.

— Wcale mnie nie złości, nie mów, że mnie złości! Są pewne zasady, ona jest u mnie gościem, powinna o tym pamiętać. Jak będzie u siebie w domu, to może sobie orgie urządzać, ale dopóki znajduje się pod moim dachem, będzie się zachowywała tak, żeby nie było zgorzienia. To nie jest dom schadzek!

— Burdel!

— Co? Jak śmiesz takie słowo?...

— Dziś już nie mówi się dom schadzek, to już dawno wyszło z użycia, dziś się mówi burdel.

— Ja powiedziałam dom schadzek, a nieprzyzwoitości zostaw dla siebie. To nie jest dom schadzek i ja jej nie pozwolę, żeby...

— Wisia, pozwól, że ci coś powiem. Nieładnie postępujesz. Krew cię zalewa, bo Helena nie wróciła na noc do domu i swą złość chciałabyś teraz wyładować na tej niewinnej dziewczynie. Ani to przyzwoicie, ani to, i ten argument powinien do ciebie bardziej przemówić, ani to po chrześcijańsku.

— Pozwól, że ja sama zajmę się moralną oceną mojego postępowania, w moim wieku już opiekunów duchowych nie potrzebuję. A jeśli chodzi o tę, jak powiadasz, niewinną dziewczynę...

— Przepraszam cię, nie chciałem przez to dać do zrozumienia, że moim zdaniem ona jeszcze prawiczka, bardzo źle by to świadczyło o niej, a jeszcze gorzej o jej chłopcu.

— Jesteś frywolny i niesmaczny. A poza tym na nikim nie wyładowuję złości, po prostu jestem oburzona, w tym wieku sprowadzać sobie na noc mężczyzn!

— Na razie wiemy tylko o jednym. Może to jej narzeczony?

— Wszystko jedno. Ona tego w moim domu robić nie będzie.

— Czego nie będzie robić?

— Wiesz dobrze, o co mi chodzi.

— Czy chodzi ci o to, żeby, ogólnie mówiąc, nie odbywała stosunku płciowego pod twoim dachem?

— Ciebie to chyba w tym ruskim wojsku nauczyli takiego języka. No czego się śmiejesz?

— Z ciebie się śmieję. T e g o robić tu nie będzie!

— Pośmiałeś się już? No więc dobrze. Byłabym ci bardzo zobowiązana, gdybyś zeszedł do niej i z nią porozmawiał. My sobie nie życzymy...

— Ty sobie nie życzysz.

— Dobrze, ja sobie nie życzę, żeby na noc sprowadzała tu gości. Jeśli jej się nie podoba, droga otwarta, niech sobie znajdzie inne mieszkanie, gdzie panują bardziej liberalne stosunki.

— Wybacz, Wisiu, ale ja z nią na takie tematy nie będę rozmawiać, to jest jej prywatne życie i ono mnie nic nie obchodzi, a przytem uważam, że nie mamy prawa dlatego tylko że sami jesteśmy starzy, zazdrościć dziewczynie trochę szczęścia, obrzydzać jej życia i w ogóle.

— Zazdrościć? Ja jej zazdrozczę?

— Wisia, chcesz kilka słów prawdy ode mnie posłyszeć?

— Proszę bardzo.

— Otóż moim zdaniem jesteś rozgoryczona do świata i ludzi. Życie twoje, zresztą jak i moje, zbliża się ku końcowi i chciała-byś, nie mówię, że świadomie, ale podświadomie, żeby świat z tobą się skończył. Tak nie wolno. Ja wiem, życie nie było ci lekkie, ale mimo to. Helena ma rację nie chcą siedzieć w domu. W takiej trupiarni?

— Przestań! W tej chwili masz przestać! Zabraniam ci do mnie w ten sposób mówić. Jak śmiesz? Nawet mojego bólu nie potrafisz uszanować.

— Wisia, nie mów mi o twoim bólu, zapominasz, że Stefan był moim bratem, nie licytujmy się, kto z nas więcej przecierpiał, dobrze? Pogódźmy się z tym, co się stało i nie zatruwajmy życia młodym, to ich życie, niech go nie spędzają na cmentarzu.

— Wobec tego ja sama z nią porozmawiam. Przepraszam, nie staraj się mnie zatrzymać, zrób mi miejsce, dziękuję. — A umywalki na pewno po sobie nie zmył, sprawdzę, oni dziś tak z wszystkim, tylko im usługiwać, spłukał! popatrz! popatrz! spłukał! no, no, gdzież to zapisać? no tak, spłukał, bo wiedział, że będę sprawdzać! ach, jaki to przemyślny! jak jakiś przestępca, żeby tylko śladów po sobie nie zostawić! tak samo jak tu przyszedł, chyłkiem, na palcach, żeby nikt nie widział, i tak samo uciekł, ale ja widziałam! o tak, ja widziałam! już ja jej powiem, co o tym wszystkim myślę!

— Zaraz, chwileczkę!

Pokój do ładu przyprowadza, wiadomo, jak przez całą noc z nim na tym łóżku, żadnego wstydu, jeszcze mi każe czekać pod drzwiami, *Stefan, cały czas nie puszczając mi łokcia, sterował mnie w stronę łóżka, posadził na brzegu, puścił, przewrócił na plecy, rozpiął mi futro*

— Proszę! Dzień dobry. Proszę, niech pani wejdzie. Bardzo przepraszam, że tak...

Pokój w nieładzie, tak jak przypuszczałam, tapczan rozkopany, co to za brudne plamy na ścianie? pod drzwiami mi każała czekać, podczas gdy halkę na siebie wciągała, a przedtem co? nago się po pokoju włóczyła?

— Tylko coś na siebie narzucę. Bardzo przepraszam za nieporządek. No gdzież ten mój szlafrok?

— Pod tapczanem. — Szlafrok pod tapczanem, prześcierała na podłodze, kołdra, no, już ja sobie potrafię wyobrazić co tu się działo jeszcze pół godziny temu, nawet się nie zarumieni, ach Boże, co to dzisiaj, nie rozumiem tych młodych ludzi, dziecko jej robi, potem ją rzuci i życie zmarnowane, to on na tej fotografii? obok tapczanu sobie postawiła, żeby przed zaśnięciem, przystojny chłopak, żeby przed zaśnięciem

— Proszę bardzo, niechżeż pani mecenasowa będzie łaskawa sobie usiąść.

— Dziękuję. Ile pani ma lat, pani Lenoro? — Żeby przed zaśnięciem jeszcze raz spojrzeć, z tym obrazem pod powiekami ześliznąć się w sen.

— Dziewiętnaście, to znaczy, niezupełnie, będę miała dziewiętnaście za dwa i pół miesiąca. A dlaczego pani pyta?

Żeby łatwiej jej się przyśnił, wiem, u mnie też fotografia Stefka stała przy łóżku, całowałam, zabawne, jak się dziś pomyśli, czasami nawet w nocy się budziłam, zapalałam światło, żeby jeszcze raz na niego rzucić okiem, piękna dziewczyna ta Lenora, jakaś rozjaśniona od wewnątrz, jeszcze cała w tym nocnym z nim rozkołysaniu, *Stefan, cały czas nie puszczając mi łokcia, sterował mnie w stronę łóżka* — To pani rodzice na tej fotografii?

— Tak.

— Można?

— Ależ oczywiście.

Widać po niej, że snu ona tej nocy wiele nie zaznała, oczy takie roziskrzzone, Stefan, gdy rano na mnie patrzył, też taką mnie musiał widzieć, rozgrzaną, promieniującą. — Żyją?

— Nie.

— Co się stało?

— Zginęli w gettcie.

— Rodzeństwo?

— Było nas pięcioro.

— I wszyscy?

— Tak.

— Jak pani się uratowała?

— Nasza przedwojenna służąca wykradła mnie i najmłodszego brata z getta i zabrała z sobą na wieś na Lubelszczyznę, ale jego też później zabili.

— Kto?

— Polacy. Jakaś banda na wieś spadła, wojsko, nie wiem, niektórzy byli w mundurach, z bronią, Magda schowała nas do takiej piwnicy w sadzie, ale nas znaleźli, ja jaśniejsza, to mnie zostawili w spokoju, ale brat, raz popatrzeć, od razu poznać, że Żyd, orzekli, że gdyby Niemcy się dowiedzieli, cała wieś byłaby narażona na niebezpieczeństwo, zabrali do lasu i tam go zastrzelili.

— Bardzo mi przykro. — Cóż jeszcze mogę jej powiedzieć? że się wstydzę za moich rodaków, że proszę o przebaczenie w imieniu tych z nas, którzy Żydów nie zabijali ani nie oddawali w ręce Gestapo? czy to jej w czym ulży? zmyje nasz wstyd, uwolni nas z winy? a przed wojną, cóż to, nie pamiętam tego siania nienawiści? nawet księża tacy byli, którzy, całych pokoleń będzie trzeba, żeby to przed Bogiem odpokutować, a i dzisiaj, zdawałoby się, że po takiej rzezi ludzie powinni się opamiętać, gdzie tam! w zeszłym roku ten pogrom w Kielcach — Rozumiem, że to są tylko słowa, które właściwie nic nie znaczą, ale...

— Nie czuję do nikogo żalu. Zapomnieć nie mogę, ale to już inna sprawa.

— Pani ma bardzo dobre serce.

— Zdaje mi się, że rozumiem jak to się wszystko stało.

— Teraz wielu Żydów wyjeżdża do Palestyny.

— Nie potrafiłabym żyć poza Polską. Pani by potrafiła?

— Potrafić, to bym potrafiła, ale co by to było za życie?

— To samo ze mną. Tu chcę wyjść za mąż, mieć dzieci, wychować je na Polaków, tak jak mnie ojciec i matka wychowali.

— Ten młody człowiek na fotografii to przyszły mąż?

— Tak. Chce pani popatrzeć? Proszę, niech pani weźmie do ręki.

— Bardzo przystojny, mądre oczy, ale coś smutny, nie?

— Nie jak jest ze mną!

Tak, potrafię sobie wyobrazić, no cóż? — Słusznie, tak powinno być. Chyba starszy od pani?

— O pięć lat.

— W sam raz, powiedziałałabym. Jak mu na imię?

- Marek.
- I kiedy macie zamiar?...
- Chcielibyśmy, oczywiście, jak najrychlej, ale czy nam się uda, to inna sprawa. Wszystko się rozbija o brak mieszkania. W jednym pokoju dobrze, jeśli nie ma dzieci, ale...
- Jasne, z dziećmi trzeba jakoś porządnie. Może jednak będę wam mogła pomóc.
- W jaki sposób?
- Czy pani wie, że pan Karaś już nie żyje?
- Nie! Nie żyje? Niemożliwe!
- Niestety prawda. Wczoraj wieczorem pani Irena była na pogrzebie.
- Ależ...
- Podobno zawał serca, ale to oczywiście bzdura, zakatowali go tam na śmierć.
- Jak ona to przeżyje?
- Wszyscy się nad tym martwimy. Pani nie słyszała, czy ona w nocy przypadkiem nie wychodziła?
- Nie, nie słyszałam.
- Bo jej nie ma u siebie, nikt nie wie, gdzie się podziała. Miejmy nadzieję, że nic się nie stało. Tak czy owak, w sprawie tego pokoju, gdyby pani wyszła za mąż, mogliby państwo zająć ten pokój po drugiej stronie, o wiele przecież większy niż ten, a pani Irena przeniosłaby się tutaj. Tylko sprawę trzeba załatwić szybko, żeby ubiec kwaterunek. Co pani na to?
- Jeszcze dziś zobaczę się z Markiem.
- No to już, tylko, powiadam, trzeba szybko.
- Bardzo jestem pani wdzięczna.
- Głupstwo, drogie dziecko, po prostu nie chcę, żeby mi się obcy wpakowali do domu. Aha, jeszcze coś, czy pani nie wie, co się dzieje z naszą Heleną? Wczoraj wieczorem nie wróciła do domu. Może pani ją widziała na uczelni?
- Nie widziałam, czasami całymi tygodniami się nie widzimy.
- No nic, wróci przecież. Na razie do widzenia! — Miła dziewczyna, solidna, wystarczy spojrzeć, wiadomo, nie tam jakaś latawica, co dziś z tym, jutro z kim innym, niech się pobiorą, dam im ten duży pokój, jeszcze mebli dostawię, żeby im było wygodnie, całą rodzinę jej wymordowali i mimo to żadnego w niej rozgoryczenia, taka miła, uśmiechnięta, z zaufaniem do życia, tylko ten bałagan w pokoju! oj ten bałagan! z Oleńką też tak było gdy się tu sprowadziła z wybuchem wojny, nawet nie lubiłam tam do niej zaglądać, żołądek się we mnie przewracał, ona na pewno jeszcze żyje, niech mi Roman piasku do oczu

nie sypie, tyle lat w obozie przetrwała i nagle wypadek samochodowy? komu innemu to może powiedzieć, nie mnie, albo Wanda, przywiózł ją, powiada, bo Oleńka nią się opiekowała dopóki żyła, może, ale ja czuję, że za tym coś więcej się kryje, tylko co? właśnie, tego mi nie powie, telefon — Niech Weronika odbierze.

— Pan Kliniewski.

— No i?

— Mówi, że u siostry w Warszawie jej nie ma, ona w ogóle o niczym nie wiedziała. Będzie szukała po znajomych. Pan Kliniewski radzi, żeby zadzwonić na milicję.

— Wykluczone! I mieć potem nieprzyjemności? Czy Weronika przyniosła gazety? Dziękuję. — ODDZIAŁY KORPUSU BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO WESPÓŁ Z DRUŻYNAMI OCHOTNICZEJ REZERWY MILICJI OBYWATELSKIEJ, PRZY WYDATNEJ POMOCY ODDZIAŁÓW BOHATERSKIEJ ARMII CZERWONEJ, NASZEJ WYZWOLICIELKI, ROZBIŁY W UBIEGŁYM TYGODNIU DWANAŚCIE DUŻYCH UGRUPOWAŃ FASZYSTOWSKIEGO PODZIEMIA, że też ten nasz język ojczysty się nie zbuntuje, że go do takich plugastw zaprzęgają, faszystowskie podziemie, mój Boże, kto by to kiedy był pomyślał, że Jurka będą faszystą nazywali? proces, co, znowu? profesorowie uniwersytetu? OSKARŻENI O TO, ŻE NA POLECENIE AGENTUR ZACHODNIEGO IMPERIALIZMU ORAZ FASZYSTOWSKIEJ EMIGRACJI POLSKIEJ ZGRUPOWANEJ WOKÓŁ BYŁEGO RZĄDU POLSKIEGO W LONDYNIE, PRZYGOTOWYWALI ZAMACHY NA PRZEDSTAWICIELI WŁADZY LUDOWEJ, no nie, to już jest wierutny nonsens, kto w to uwierzy? dolary przy nich znaleźli, no więc co, że dolary? a oni sami co skupują? ruble? carskie! a to to tak! co, już obiad? niemożliwe, widocznie zasnąłam nad tymi gazetami. — Już schodzę!

— Więc Kliniewskim nie udało się jeszcze skontaktować z panią Ireną?

— Niestety. Dużo ludzi było na sumie?

— Pełny kościół, jak zawsze w niedzielę, każdy chce się pochwalić najlepszym garniturem.

— Znowu zaczynasz. Przestań! Już mam dosyć twoich ciągłych kpin. — Kiedy wreszcie ten Roman z dziećmi przyjedzie? powinien już tu być, w zeszłym roku o tym czasie już był. — Chłodno w domu dzisiaj, trzeba będzie się znowu rozejrzeć za węglem.

— Ja załatwię, nie martw się.

— Wszystko załatwiasz i w rezultacie nigdy nic nie jest załatwione.

— Ja załatwię, Wisia, powiedziałem, że załatwię, więc się nie martw!

Nie mam się martwić, wszyscy mi mówią, żeby się nie martwić, ale żeby ktoś pomyślał o tym, żeby mi pomóc, żeby mnie choć trochę wyręczyć, to nie, wszystko na mojej głowie, czasami to taka pasja mnie ogarnia, taka ślepa wściekłość, że tylko bym brała do ręki coś ciężkiego i tłukła, tłukła, wszystko wokoło siebie bym niszczyła, żeby kamień na kamieniu nie został, żeby to się wszystko już skończyło, bo już tego za dużo, za długo się to wszystko wlecze, i ten strach, ciągle człowiek w tym strachu żyje, rano budzę się i zaraz zjawia się we mnie przecucie czegoś straszego, coś potwornego stanie się dzisiaj, może przyjdą po nas znowu, wszystkich nas teraz bez reszty pomordują, nie wiem, w każdym razie jakieś wielkie nieszczęście, z godziny na godzinę czekam, co? kiedy? skąd? i cały czas we mnie gorączka, drżączka jakaś, jakieś ostateczne napięcie, strach obeszłowniający do szpiku kości, z każdego przedmiotu, na którym spocznie mój wzrok, z każdej sekundy, która przeze mnie przepływa, wзира ku mnie jakieś wielkie zagrożenie, nie wiem jak sobie z tym poradzić, gdzie szukać ratunku, wrócę teraz znowu na górę, salonik by się nam przydał, nie ma gdzie spokojnie posiedzieć, w kuchni, no jakżeż to, w kuchni cały dzień będę siedzieć? pomodłę się, gdzież mój różaniec? gdzieś przecież tu był, widziałam go dzisiaj, na podłodze leży, ależ mi się ciężko schylać, krew uderza do głowy, właściwie nie powinnam się schylać, kiedyś się schylę i jakaś żyłka w głowie pęknie, wylew krwi do mózgu i koniec, Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, *Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz? a jakież to prawo ty sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca sądzić?* tyle razy go prosiłam, Idź do niego, mówię, wyciągnij rękę do zgody, jesteś jego ojcem, to żadne upokorzenie dla ojca własnemu synowi podać rękę do zgody, no idź do niego, jeszcze jest czas, pogóźdzcie się zanim któregoś z was spotka śmierć, pogóźdzcie się dla mnie, żebym przynajmniej ja mogła umierać w spokoju, nie, nie pójdzie, ani jeden ani drugi, tak się zawzięli jeden na drugiego, jak dwa psy, tylko by sobie do gardła, biedny ten mój Jurek, od niemowlęstwa niemal same nieszczęścia, budził się potem po nocach, siadał na łóżku spocony, w oczach strach, Coś mi się, jakaś się, nie wiem, takie jakieś, śniło mu się coś, ale nie umiał tego słowami wyrazić, musiał wtedy w Krzyżtopolu widzieć, jak mój ojciec powieszony za nogi wisiał z drzewa, nie dość, że go zastrzelili, jeszcze ciało musieli zbeczcześcić, te głosy na dole, czyżby Roman już? tak, Roman przyjechał, nareszcie! znowu mi różaniec upadł na podłogę,

wszystko mi z rąk leci, niech leży, Weronika potem podniesie.

— Niech mamusia nie schodzi, my sami...

— Głupstwo, taka stara jeszcze nie jestem, żebym nie potrafiła zejść na dół kilkanaście stopni. No niechżeź się tobie, Roman, przypatrzę. Zmizerniałeś.

— Ależ mamusia się zmęczyła! Nie trzeba było złązić.

— Zmizerniałeś. Czy aby się dobrze odżywasz?

— Mamusia zawsze o jedzeniu, kiedy by mamusia mnie nie zobaczyła, to zaraz, że zmizerniałem, a ja w Pegeerze mam więcej jedzenia niż wy tutaj.

— Tak, ale bo to zadbasz o siebie? A te dzieci, no chodźcie do babci! Joasia, pocałuj babcię mocno, tak, i rączki zarzuć na szyję i mocno ściśnij. Kochasz babcię? No już dosyć, dosyć, bo mnie udusisz! Wanda! Jakie to maleństwo, no chodź, ładnie babcię pocałuj. Ładne te dzieci, Roman. Przejdźmy do kuchni. Tak to, widzisz, u nas teraz jest, niby ma się ten dom, ale gości trzeba w kuchni przyjmować. Co takiego, Joasiu?

— Babcia zapomniała!

— Nie, nie zapomniałam. Niech Weronika skoczy na górę, na etażerce jest torebka z landrynkami.

— Babcia nie zapomniała!

Jak to się cieszy to dziecko! w przyszłym roku na lato Roman musi je przywieźć tutaj na wakacje, jest las, będą miały gdzie biegać, niech ja się jeszcze przed śmiercią nacieszę moimi wnuczętami. — Dziękuję Weronice. No macie, szkraby kochane. Po jednym, Wanda! I nie gryźcie, żęby sobie połamiecie. Landrynki nie są do gryzienia a do ssania. Chodźmy do kuchni, co tu będziemy stali w hallu, na pewno jesteście głodni po podróży.

— A gdzie Helena?

— Helena? Ach, nie mów mi o Helenie! Jak wczoraj pojechała na wykłady, tak jeszcze nie wróciła. Niedobre dziecko! Sama z nią udręka! Mógłbyś z nią porozmawiać, jak wróci, uszu jej trochę przytrzcęć, bo ja już nie mogę, mnie już ręce opadają. Taki dzień, jak dziś, a jej w domu nie ma! Od samego rana tylko same zgryzoty! No chodźcie, chodźcie!

— Co się stało, stryju?

— Pamiętasz państwo Karasiów, którzy zajmowali dawny salon?

— A tobie, Roman, dają oni przynajmniej spokój? Bo tu ciągle aresztowania, prawie że znowu jest tak jak za okupacji, ludzie boją się spać w własnym domu, nie ma dnia, żeby kogoś, nawet się trudno wyznać za co ludzi aresztują, ten bo był w AK, ten w wojsku na Zachodzie, ten coś tam przed wojną, straszne

rzeczy, po tych wszystkich cierpieniach, tyle tego narodu już wyginęło, a tu ciągle!

— Spokoju to bym nie powiedział, że mi dają, ale na razie jakoś wszystko jest jeszcze dobrze.

— Przychodzili pytać o Jurka?

— Już dawno nie byli. Ostatni raz w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem.

— Dzieci, skoczcie do łazienki umyć sobie ręczki, zaraz zasiądziemy do stołu.

— Ja też pójdę się trochę z tej podróży obmyć.

Ojca powiesili na drzewie głową w dół, nogi się pode mną załamały, upadłam, Jurka wypuściłam z rąk, zaczął płakać, widocznie się uderzył — Roman zmizerniał, wcale nie przesadzam. Na pewno nie dojada.

— Możesz być o to spokojna, Wisiu, w jego Państwowym Gospodarstwie Rolnym na pewno mu niczego nie brakuje.

— Właśnie! To gospodarstwo!

— Co znowu ci się nie podoba?

— Musiał to sobie taką pracę wybrać?

— Jego zawód przecie, przed wojną gospodarował z Wojciechem w Szaropyszkach, po to studiował agronomię, żeby w rolnictwie pracować.

— Tak, ale to jest rządowe, z tego nic dobrego nie wyjdzie, zobaczysz! Ja tam w żadne rządowe posady nie wierzę.

— A co miał zrobić?

— Tu mógł sobie gdzieś w okolicy wynająć kilka mórg ziemi i zacząć warzywnictwo, nie tam gdzieś w tym Rogowie, nawet nie wiem gdzie to jest! Jeszcze go kiedyś za sabotaż zasądzą.

— Kraczesz.

— Już ja wiem swoje, już ty mi nie mów! — Tak, on wtedy musiał coś zobaczyć, porwałam go z ziemi, przycisnęłam twarzą do piersi, żeby niczego nie widział, a jednak musiał coś dostrzec, to w nim zostało na zawsze, potem się budził po nocach, cały zlany potem, w strachu, śniło mu się coś, jękał się, sam nie wiedział co to było.

— No więc jesteście.

— Niech Weronika podaje. Popatrzcie, jakie dzieci głodne! Roman, tyś im nic nie dał do zjedzenia w czasie podróży, tyle godzin i one bez niczego!

— Jedliśmy na dworcu we Wrocławiu, gdyśmy czekali na przesiadkę.

— W restauracji dworcowej się nie najesz, zresztą to jedzenie na dworcach!

— Zjedliśmy bardzo dobry obiad, poza tym mieliśmy bułki z kiełbasą i termos gorącej herbaty, które pani Bożena nam dała na drogę.

— Wygłodziłeś mi dzieci.

— No masz-ci, właśnie mówię, że...

— To dlaczego takie głodne? Ja was teraz wszystkich odżywię, już ja się tym zajmę. Długo zostaniecie?

— Do czwartku. W piątek zwala mi się na głowę kontrola z województwa.

— Przynajmniej w tamtą stronę nie pojedziecie głodni. Przed Bożym Narodzeniem, powiadasz, byli ostatni raz?

— Kto?

— No o Jurka się pytać.

— A tak, przed Bożym Narodzeniem.

— Tu u mnie też długo już nie byli, chyba też z rok będzie, jeśli nie dłużej, nie pamiętam dokładnie. Jak myślisz, Jurek jest w kraju?

— Nie wiem.

— Może uciekł za granicę?

— Przypuszczam, że jest za granicą.

— Albo go aresztowali.

— Wątpię, byliby mu wytoczyli proces, wiedzielibyśmy.

— Jeśli jest za granicą, to dlaczego nie napisze?

— Nie umiem na to pytanie mamie odpowiedzieć. Dziś wielu ludzi woli, żeby o nich myślano, że nie żyją. Może dla nas lepiej, że nie wiemy co się z nim stało.

Ale czym mocniej go przyciskałam do siebie, tym bardziej płakał, a nie mogłam go trzymać inaczej, żeby mu było mniej niewygodnie, przecież nie mogłam pozwolić, żeby to chłonał swoimi nie rozumiejącymi jeszcze oczami, a i tak musiał coś zobaczyć, spamiętać, tak samo jak potem tych wisielców na drzewach, gdyśmy zwłoki ojca wieźli do Szaropyszek, na każdym drzewie po kilka trupów, nie spał, zasłaniałam mu oczy, ale coś musiał przecież zobaczyć, potem te sny, zrywał się w środku nocy z wrzaskiem, w strachu — Już ja wolałabym wiedzieć, że żyje, nawet gdybym go już nigdy nie miała zobaczyć.

— W każdym razie lepiej myśleć, że żyje niż sobie wyobrażać Bóg wie co. Przywiozłam mamie trochę prowiantu.

— Ależ, Roman, nie trzeba było, po co? Przecież my sobie jakoś radzimy. Całą walizkę? No kto widział coś takiego? Roman, a nie bałeś się, przecież oni przeprowadzają rewizje na dworcach?

— To z mojej prywatnej gospodarki, zupełnie legalnie. O, masło, starczy na miesiąc, mama włoży do miski z wodą i wstawi do piwnicy. Mąka pszenna, będzie na Boże Narodzenie.

Mięso solone, w zeszłym tygodniu zabiłem wieprza. Tu suszona kiełbasa, niech stryj powącha, jak ładnie pachnie, prawda? Sam wędziłem.

— Trzeba by wobec tego skoczyć po butelkę wódki.

— Temu tylko wódka w głowie, kawał kiełbasy zobaczył i zaraz by do wódki! Helena! No czegoś tak stanęła w drzwiach, nie widzisz, że Roman z dziećmi przyjechał? Nie przywitasz się ze swoim bratem?

— Serwus, Romek!

Szalik na podłogę, no jak tak można? co ona się tak chwieje? co z nią jest? — Helena! Przecież ta dziewczyna jest pijana! Jak śmiesz pokazywać się w domu w takim stanie? Gdzie byłaś cały czas?

— Niech się mama nie denerwuje, przecież mama widzi, że coś się musiało stać. Pijana jesteś, Hela?

— Już nie. Byłam. Ale mam strasznego kaca, głowa mnie cholernie boli.

— Niech Weronika prędko zagotuje kawy. Pozwól, Hela, zdejmię ci palto.

— Ja sama.

— Jak uważasz.

— Co mamusia tak na mnie patrzy? Zamordowałam kogo?

— Milcz! Takie zgorszenie! Najpierw całą noc jej nie ma w domu, a jak przyjdzie, to pijana! Nie wstyd ci?

— Strasznie! Palę się cała ze wstydu!

— Jeszcze sobie kpi ze mnie! — Zawsze to samo, zwrócić jej na coś uwagę, to zaraz, niech mamusia mi da święty spokój, tak, jej tylko dać spokój! a jak to siedzi, rozwaliła się na krześle jak w jakiej karczmie, pijana, to już przechodzi wszelkie granice, gdyby Stefan żył, nigdy by sobie na coś podobnego nie pozwoliła, ale matka? co tam matka! bo jej nigdy nie uderzyłam, bo mi wstyd było na własne dziecko rękę podnieść! — Niech Weronika zostawi kawę, ja zrobię, i weźmie dzieci na górę, żeby nie patrzyły na takie zgorszenie.

— Co się stało, Hela?

— Najlepiej by było położyć ją na kilka godzin do łóżka.

— Ja bym ją wsadził pod zimny prysznic, natychmiast by otrzeźwiała. Ze mną to zawsze skutkuje.

— Dobrze, dobrze, Stasiu, z tobą skutkuje, ale na niej tego sposobu nie będziemy próbowali. Napije się kawy i — To dziecko czemuś nieszczęśliwe, tylko że tak trudno się od niej czegokolwiek wywiedzieć, nic mi nie powie, mówi, że i tak bym nie zrozumiała, a dlaczego nie spróbuje? może bym jednak zrozumiała?

czy ja nigdy nie byłam młoda? — No jak się czujesz? Lepiej ci? Patrzcie, nawet filizanki w ręku utrzymać nie potrafi.

— Wisia, daj dziewczynie spokój, niech trochę przyjdzie do siebie.

Płaczę, o Boże drogi! to moje dziecko kochane, a ja nawet nie mogę jej wziąć w ramiona, przytulić do piersi. — Helena!

— Nie trzeba jej przeszkadzać, proszę mamy. Niech się wypłaczę.

— Wyrzucili mnie ze studiów.

To jest taka zwariowana karuzela, jak się raz na nią wsiądzie, przepadło, już z niej nie zejdziesz, trzeba się kręcić, trzymać mocno — Ależ, Helena, przecież zawsze mi mówiłaś, że wszystkie egzaminy dobrze zdajesz, więc dlaczego?

— Obca klasowo.

— Wiedzieli o twoim pochodzeniu, kiedy cię przyjmowali na studia.

— Dwa tygodnie temu usunęli mnie ze Związku Walki Młodych.

— I nawet mi nic o tym nie wspomniałaś, dlaczego, dziecko?

— Czy mamusia mogłaby co na to poradzić?

— No tak, ale...

— Gdy mnie wyrzucili z organizacji, to wiedziałam, że niedługo przepędzą mnie również z uniwersytetu.

— No ale zawsze, gdybyś była powiedziała...

— Nic by mamusia nie wskórała.

— Nie mów tak, Hela, to nie ma nic do rzeczy, powinnaś była mamie powiedzieć. A oprócz tego trzeba było zaraz do mnie napisać, mam znajomych profesorów na uniwersytecie.

— Właśnie, profesor Lipnicki przed wojną z twoim ojcem pracował w naczelnej radzie adwokackiej.

— Na niego się dzisiaj źle patrzą, zresztą dzisiaj profesor się w ogóle nie liczy, ważna jest organizacja i uczelniany komitet partyjny.

— Powiedz dokładnie jak to było, coś jednak musieli podać na uzasadnienie podobnej decyzji.

— Nic.

— Jakto nic? Oddali ci dokumenty i oświadczyli, że nie masz co tam się więcej pokazywać?

— Mniej więcej. Od dawna wiedziałam, że przeciwko mnie coś się knuje. Żebyście wiedzieli, ile razy mnie wzywali na Urząd Bezpieczeństwa!

— Helena, dziecko drogie, dlaczego ty mi nigdy nic nie mówisz?

— Mamusia by się tylko zamartwiła na śmierć.

— Od tego jestem twoją matką, żebym się martwiła.

— Niech mama pozwoli. Hela, posłuchaj uważnie. Czego chcieli od ciebie na bezpiecze? O co się pytali? O kogo? O mnie? O Jurka? O stryja? Musisz nam wszystko dokładnie opowiedzieć, to jest niesłychanie dla nas wszystkich ważne.

— O wszystko i o wszystkich.

— Ale konkretnie?

— Pytali, no, pytali, wiesz sam, jak oni pytają. Kim ojciec, matka, ile rodzeństwa, co robią, gdzie i tak dalej. Ale głównie dopytywali się zawsze, przynajmniej takie odnosiłam wrażenie, o ciebie i Jurka. No co mogłam powiedzieć? Prawdę powiedziałam, co tu jest do ukrywania? Walczyłeś na Zachodzie, byłeś ranny, wróciłeś, zresztą oni i tak wszystko o tobie wiedzą, nawet żeś Wandę z Niemiec przywiózł i następnie ją adoptował. Jakie twoje poglądy polityczne? Czy ja wiem, jakie są twoje poglądy polityczne? Prawdopodobnie takie same jak moje, ale tego im przecież nie powiem. Pytali, czy pisujesz za granicę? Czy ja wiem, czy pisujesz za granicę? A nawet gdybym wiedziała, też bym im tego nie... Jurkiem też się interesowali. Kiedy był ostatni raz w domu, czy mamy od niego jakie wiadomości?

— Ale chyba nie zdradziłaś im, że tu był pod koniec czterdziestego piątego?

— Za kogo mnie mamusia ma?

— Ciekawym kogo oni rozpracowują, mnie czy Jurka?

— Wczoraj, gdy wychodziłam z dziekanatu, spotkałam na dziedzińcu sekretarza ZWM-u, powiedziałam mu, co się stało, odrzekł, iż mu o tym wiadomo i dodał „no tak, jak się ma takiego braciszka!” On wie, oczywiście, że on wie, wszyscy członkowie zarządu wiedzą, przecież wiadomo, że współpracują z Urzędem Bezpieczeństwa.

— No tak. Roman, Stasiu, musimy się teraz zastanowić. Skoro Helena raz już te studia zaczęła, nie wolno nam dopuścić do tego, żeby ich nie skończyła. Roman, znasz kogo na uniwersytecie w Poznaniu albo w Krakowie?

— Mamusiu, żaden uniwersytet w Polsce teraz mnie nie przyjmie. Jestem spalona. Tak jakbym otrzymała wilczy bilet. Pozostaje mi tylko jedno wyjście. Roman, stryjkę, musicie mi pomóc wydostać się za granicę, do Francji, zapiszę się na Sorbonę, albo do Anglii, wszystko jedno gdzie.

— Wybij sobie z głowy te mrzonki, nie pozwolę ci na żaden wyjazd.

— Co znaczy mamusia nie pozwoli?

— Hela, tylko nie takim tonem do mamy, dobrze? Zresztą, nie tak łatwo dziś z Polski się wydostać.

— Ciągłe ktoś ucieka.

— Z każdym dniem coraz trudniej, wiem, granica przechodzi kilka kilometrów od mojego gospodarstwa. Coraz to wzmacniają posterunki, kładą druty kolczaste, ostatnio zaczęli orać ziemię wzdłuż pasa granicznego, codziennie bronują, żeby rano po śladach można było stwierdzić, czy nocą nikt się nie przedarł. Wkrótce cała Polska, gdy na nią z lotu ptaka popatrzyć, będzie wyglądała jak jeden olbrzymi obóz koncentracyjny.

— Mimo to niektórym się udaje.

— Dałabyś spokój, Helena, takim pustym rojeniom. Żeby cię jeszcze na granicy postrzelili? Może czasy się zmieniają na lepsze? Na dłuższą metę naród tak nie może żyć.

— W Rosji już trzydzieści lat żyją. Ja nie mam zamiaru czekać, łudzić się, że kiedyś coś się może zmienić. Jak tu raz Rosjanie weszli, to już nigdy ich stąd nikt nie usunie. Dziś już za późno. Trzeba trzeźwo patrzeć na sytuację. Romek, na pewno gdybyś się postarał, znalazłbyś kogoś, kto by się zgodził przeprowadzić mnie na drugą stronę.

— Sprawa jest bardzo skomplikowana. Na mnie mają specjalne oko. Nie zapominaj, że wróciłem z Zachodu, mieszkam nad granicą, co już samo w sobie musi być dla nich podejrzane.

— Więc co mam robić? Zgłosić się na fizyczną na jakąś budowę?

— Nie przesadzajmy, Hela, nikt ci nie każe iść pracować na budowę, do biura pójdziesz, no cóż to takiego strasznego?

— Nie, stryju, dziękuję. Muszę mieć dyplom. Jeśli nie mogę tu, to go zrobię za granicą.

— Heluniu, mnie się aż serce kraje, gdy to słyszę, pojedziesz gdzieś i zostawisz mnie tutaj samą na starość?

— Mamusia nie powinna tak stawiać sprawy, to nie jest fair.

— Słusznie, Wisia, Hela ma rację.

— Nikt się ciebie o zdanie nie pytał. Całe życie, tyle dzieci, i co teraz z tego mam? Sama jedna jak ten palec. Umrę i nawet nikt nie będzie wiedział, że umarłam.

— Dlaczego mamusia tak czarno na wszystko patrzy?

— A jak mam patrzeć? Czas nam wyruszać na cmentarz. Zawołajcie dzieci! — Zmierch, chłodno, światła po domach, dobrze przynajmniej, że wiatru nie ma, tu tego chłopca rano, w biały dzień pod bagnetem, będzie zupełnie ciemno zanim dojdziemy na cmentarz, tam na pewno tłok, w zeszłym roku jakaś kobieta w bramie upadła, stratowali ją, trzeba było odwieźć do szpitala, po dwóch dniach zmarła, żadnej pobożności dzisiaj w tym narodzie, nikt poświęconego miejsca nie uszanuje, syrena, karetka pogotowia jedzie, ależ te światła! człowiek zupełnie ślep-

nie, żeby tylko Weronika dzieci z rąk nie wypuściła, jeszcze gotowe wyskoczyć na jezdnię i — Niech Weronika dzieci mocno trzyma za ręce.

— Wypadek musiał się gdzieś zdarzyć.

— Może kogoś znowu zagnietli w tym tłoku przy wejściu, pamiętacie w zeszłym roku tę starą kobietę?

— Stryju, może stryj weźmie mamę pod rękę.

— Co roku to samo, przez bramę się przedostać nie można. O Boże, zgniotą mnie! Stasiu, trzymaj mnie! Że też ci ludzie tak! — Mnie też kiedyś na tym cmentarzu pochowają, może już za niedługo, ale nie przy nim, nie miałam wtedy pieniędzy, żeby kwaterę obok niego kupić, to nic, tysiące świateł, twarze oblane kolorowymi blaskami, za dużo tu rozmów wszędzie, za mało modlitwy, skupienia, łuna nad cmentarzem, wierzę w ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny, bo nie można nie wierzyć, bo wtedy nic nie miałyby sensu.

— Widzi pani, ani nikt kwiatów nie pokraść, ani nie pomarzyć, a tak się pani mecenasowa strachała.

— Ale mogli pokraść, mogły pomarznąć!

— A tam!

— Nie będziemy się o to z Weroniką spierały, jesteśmy na cmentarzu, w miejscu świętym, dobrze? — Powiedział, żeby się przygotować na złą wiadomość, karty mi z rąk natychmiast wypadły, rozsypały się na podłodze, Tomaszewscy, powiada, dzwonił, z okna widzieli jak do państwa domu zajechało Gestapo, Gestapo? do mnie do domu? to ja muszę zaraz tam, ale nie pozwolili mi odejść, Przecież godzina policyjna, rano pani wróci, całą noc potem nie spałam, zrywałam się z szezlongu i biegłam do okna na odgłos każdego przejeżdżającego samochodu, a przecież gdybym tylko

— A gdzie, babuniu, leży dziadek?

— Dziadek, zaraz, dziadek leży, o, a tu, tu leży dziadek, a tu leży twój stryjek Leon, a tu Kazio, a tu leży Wojciech, brat twojego dziadka, tu jego żona, a tu Dusia, moja siostra, a te groby to państwa Kowalskich.

— Tyle grobów?

Gdybym nie była poszła grać w brydża, *Mnie zabijcie! wam wszystko jedno kogo zabijecie, sto razy mnie zabijcie, jeśli wam tego potrzeba, ale tylko mnie, przecież oni niewinni*, byłabym przed nimi padła na kolana, może Kazia przynajmniej by oszczędzili, bo co im takie dziecko zawiniło, żeby je zabijać? za co? no za co? *Haben Sie keine Mutter? haben Sie keine Mutter? przecież niewinni ludzie, za co ich chcecie zabijać? o litość was błagam, mnie zabijcie!* na kolana bym przed nimi, czubki butów

bym im całowała, wyciągnęłabym do nich ramiona i błagałabym, błagałabym, tak bym błagała, o Boże, tak bym błagała, o Jezu, tak bym błagała!

— Dlaczego oni umarli?

— Bo... Wszyscy muszą kiedyś umrzeć.

— Babunia też?

— Oczywiście.

— Tatus też?

— Wszyscy. Ale teraz już przestaniemy rozmawiać, trzeba się pomodlić. — Czasami siedzę sobie, cicho wszędzie, i jest tak, jakby oni wszyscy byli przy mnie obecni, Stefan, Leon, Kazio, wszyscy, stoją obok mnie i w milczeniu mi się przypatrują, tak mocno czuję ich obecność, że zdawałoby się, iż wystarczy sięgnąć ręką, żeby się ich dotknąć, *Pani tam nie powinna jeszcze wracać, te wszystkie trupy, krew na podłogach*, rano wyszłam od Sawińskich, ale pani Tomaszewska mnie zatrzymała po drodze, przed naszym domem stały dwa samochody z Gestapo, U nas pani zaczeka aż nie odjadą, będziemy wiedzieli kiedy, bo z okna dobrze dom państwa widać, zabawę tam sobie urządzali, kobiety posprowadzali, gramofon, coraz to nowe samochody podjeżdżały, myślałam, że może pozwolą im odejść, nie wiedziałam jeszcze, że ich wszystkich pomordowali, Tomaszewski wiedział, ludzie przynosili mu wiadomości, ale mnie zapewniał, że nic nie wiadomo, że nic konkretnego, że

— Będziemy wracali. Mamusia drży z zimna.

— Co? Z zimna? A tak, chyba tak.

— Co z tymi lampkami, zostawić?

— Zabierzmy. Przydadzą się na wypadek gdy prąd elektrownia znowu wyłączy, tak trudno dziś o świeczki w sklepie. — Potem wszystkie samochody odjechały, czekałam czy ktoś z domu nie wyjdzie, ale nie, nagle zaroilo się tam od ludzi, pani Tomaszewska mówi, Niech pani się nie śpieszy, mąż poszedł się dowiedzieć, zorientować się w sytuacji — No to wracamy!

— Śnieg! Babunia widzi? Śnieg!

— Pamięta pani mecenasowa, rano mówiłam, że będzie śnieg.

Nie chciała mnie puścić, bała się tego, co tam miałam zobaczyć, Tomaszewski wrócił, stanął przy furtce, zbiegłam na dół, zagroził mi drogę na ścieżce i powiada

— Co się stało? Dlaczego mama płacze?

— Ach, synku, synku! Takie to życie, tak wszyscy poginęli!

— Mama powinna stąd wyjechać. Tyle razy prosiłem. U mnie mamie byłoby dobrze, dzieci na miejscu, odetchnęłaby mama.

— Nie, ja już tu... — Zabili, powiada, wszystkich zabili, przez okno w kuchni na podwórze wyrzucili, ale nie dał mi tam

iść, wyrywałam się, nie puścił, Pani tam nie powinna jeszcze wracać, te wszystkie trupy, krew na podłogach, niech pani poczeka aż wszystkich poznoszą do jednego pokoju, poprzykrywają czymś, mówili potem, że jak ich znaleźli, Kazio obejmował Stefana za szyję, jeszcze widocznie żył, kiedy go wyrzucali na podwórze, doczołgał się do swojego ojca i za szyję go, Bóg, powiadają, że sprawiedliwy, jakaż to sprawiedliwość, że dopuszcza podobne zbrodnie? jeszcze żył, gdy go wyrzucili przez okno, doczołgał się do swojego ojca i za szyję go objął, przecież boska sprawiedliwość powinna być doskonalsza od ludzkiej, a nawet ludzka sprawiedliwość znajduje miejsce na łaskę, na litość, to dziecko nawet grzechem nie było jeszcze splamione, kościół nas uczy, że miłosierdzie boskie nie zna granic, więc gdzież ono? Nic mu nie zrobiłem, powiedział pochlipując, a on mnie cały czas po głowie bił, mój ty miły Panie Boże, nic mu nie zrobił a on go — Kto to ze Stasiem tam rozmawia?

— Nie wiem, nie znam go.

— A co Staś tak na nas tą ręką?

— Stryjek, zdaje się, nie chce, żebyśmy do nich podchodzili.

— To przecież pan Mostowski. Puść, Roman! Co się stało, panie Mostowski?

— Bardzo mi przykro, pani mecenasowa, ale właśnie mówiłem panu Stanisławowi...

— Co się stało?

— Spokojnie, Wisiu. Roman, weź ją za ramię. Pani Irena utopiła się w gliniankach, właśnie ją wyłowili i powieźli do kostnicy.

To jest taka zwariowana karuzela, jak raz na nią wsiądziesz, przepadło, za dużo tego wszystkiego, za stara jestem, to już nie na moje słabe siły, ile w końcu człowiek może wytrzymać? gdzieś musi być jakaś granica, Jurek wtedy wybiegł z domu, przeleciał przez ogródek, potem ścieżką do ulicy, cały był unurzany we krwi, twarz, ręce, całe ubranie, biegł ścieżką do ulicy, potem ulicą w moim kierunku, coś wołał, krzyczał, ręce miał podniesione do góry i potrząsał nimi i wołał coś i krzyczał i ludzie uciekali na jego widok, codziennie się modłę, Ojczy Nasz, który jesteś w niebie, ale bo ja wiem? jeśli gdzieś jest jakiś rejestr krzywd ludzkich, akt oskarżenia, który człowiek przygotowuje przeciw, biegł ulicą, dostrzegł mnie stojącą przy domu Tomaszewskich, dobiegł do mnie, upadł na kolana, ramionami w kolanach mnie objął, zanosił się jakimś chropawym szeptem, coś, jakieś słowa, zdania pourywane, nic nie rozumiałam, coś, że, Ja go nie! ja go nie! ale co? w związku z czym? nie wiem, jeśli istnieje gdzieś rejestr krzywd ludzkich, akt oskarżenia jaki czło-

wiek sporządza przeciwko Bogu, za kolana mnie obejmował i szeptał, Ja go nie! ja go nie! nie rozumiałam, do dziś nie rozumiem, o ojcu swoim mówił? o Leonie, który razem z nim krył się na strychu, nie wiem, potem pobiegłam do domu, nie chcieli mnie wpuścić, zaczęłam krzyczeć, Ja ich muszę, ja ich muszę zobaczyć! to mój mąż, moje dzieci, ja muszę, ja ich muszę!

— Jesteśmy w domu.

— Postawię czajnik na herbatę.

— Ta karetka pogotowia, która nas minęła w drodze na cmentarz, to po nią. Czy nie ma kary boskiej na morderców? Nie będę nic piła, pójdę się położyć spać. No chodźcie, dzieci kochane, pocałujcie babcię na dobranoc. — Takie maleństwa, z czego to potem ma czerpać szczęście? mają mokre włosy, Wanda mi kogoś przypomina, coś takiego w jej twarzy czasami, ale nie wiem co, nie umiem tego nigdzie przypiąć, znowu te schody, któregoś dnia zejść na dół i już nie będę miała siły wejść z powrotem, trzeba będzie coś z tym pokojem zrobić, bo go nam zabiorą, wpakują obcych ludzi, potem ciągle tylko zwady, krzyki, brudy w umywalce i ustępie, nie chcę tu mieć nikogo z przydziału, człowiek nie po to budował dom, żeby teraz musiał głos ściszać, bo ktoś obcy może podsłuchiwać pod drzwiami, nie będę się myła, za bardzo jestem zmęczona, te schody mnie kiedyś zabija, upadł na kolana, zanosił się jakimś chropawym szeptem, coś, jakieś słowa, zdania pourywane, coś że, Ja go nie! ja go nie! jeśli istnieje gdzieś rejestr krzywd ludzkich, tylko się rozbiorę, różaniec, gdzie ten różaniec? na podłodze, *Haben Sie denn keine Mutter? haben Sie keine Mutter?* za stara na to wszystko, nie na moje siły, mnie też należy się już odpoczynek, tyle razy mu mówiłam, Idź, Stefan, do niego, wyciągnij rękę do zgody, jesteś jego ojcem, idź do niego! jeśli istnieje gdzieś jakiś rejestr krzywd ludzkich, akt oskarżenia, jaki człowiek sporządza przeciwko Bogu, chciałabym zasnąć i już więcej się nie obudzić, codziennie ta sama Droga Krzyżowa, przed stacjami własnej męki przystaję, rozpamiętuję, chciałabym się modlić, ale nie wiem o co, po co, jak? wierzę w Boga Ojca i Syna, niech się dzieje wola Twoja, ale nie ta, inna, i niech bardziej nam będzie łaskawa, *Prędzej! uciekajmy stąd, żeby jak tu przyjdą, Kazio! Helena! gdzież oni się wszyscy znowu podzieli? Leon! Jurek! chodźcie już, Leon! gdzie Leon? Stefan, zobacz gdzie on? o Boże, no już, już, zabierajmy się stąd, żeby jak tu przyjdą, jak zaczną walić do drzwi*

CZEŚĆ DRUGA

3 listopada 1945

Nie było po co tu przychodzić, wygląda na to, że stąd też odejdę z kwitkiem, chociaż przecież gdzieś musi być, nie podobna żeby człowiek tak przepadł bez śladu, gdzieś musi być odnotowana, bo nawet jeśli Niemcy zniszczyli ewidencję, to przecież alianci też sporządzali jakieś spisy, dokucza mi moja noga, za dużo chodzenia od kilku dni, przydałoby się ze dwa dni w łóżku, nie, nie ma nawet co sobie robić nadziei, jej tu już nie ma, prysnęła jak tylko Amerykanie wyzwolili obóz, co za okazja zgubić się w tej wędrówce ludów! druga już się nie nadarzy, w każdym razie nie naszemu pokoleniu, może za pięćdziesiąt lat gdy zrobią nową wojnę, też nie, nie będzie komu się włóczyć po Europie, zresztą co z Europy zostanie? — Nie ma?

— Proszę mnie nie ponaglać, panie poruczniku, pan widzi, że wciąż szukam.

Gdyby naprawdę chciała, dawno by wróciła do domu, tysiące ludzi wróciły już, Nie mów tak, Roman, dlaczego by Oleńka miała nie chcieć wrócić? Mama pyta dlaczego? dużo dałoby się o tym powiedzieć, ale lepiej tego tematu nie poruszajmy, dobrze? Twoja mamusia, Joasiu, umarła w czasie wojny, Pan Bóg zabrał ją do siebie, żeby jej zaoszczędzić cierpień, Po co mama tak, no po co? lepiej by mama takich rzeczy dziecku nie opowiadała, zabrał ją do siebie, żeby jej zaoszczędzić cierpień! Więc co mam jej powiedzieć? zostawić ją bez odpowiedzi? Trzeba Joasi powiedzieć prawdę, Dziecku powiedzieć, że własna matka ją rzuciła, tak? No tak, mama ma rację, nie można, to ja już nie wiem co.

— Obawiam się, panie poruczniku, że w naszych kartotekach pańska żona nie figuruje.

- Może gdyby pani pozwoliła mi samemu zajrzeć?
- Nie mogę, potem by wszyscy chcieli. Tu nikt mojemu słowu nie wierzy, każdy jest przekonany, że w jego wypadku nastąpiła pomyłka.
- No ale przecież...
- Panie, co pan będzie niewieście zawracał głowę? Od pół godziny panu tłumaczy, nie ma, no nie ma, trudno, nie wystarczy panu? Nie rozumie pan, jak niewiasta do pana po polsku mówi? Nie widzi pan, ilu tu jeszcze ludzi czeka na załatwienie?
- Odczep się, człowieku! co za nieprzyjemny facet, przyczepił się jak pijawka, jednej rzeczy nie pozwolił człowiekowi spokojnie
- Co pani mi radzi robić? Wszędzie już byłem.
- U księdza Florczaka?
- Pierwsze słyszę.
- On prowadzi swój własny spis zaginionych, ograniczony, oczywiście, ale warto spróbować, może akurat panu się poszczęści. Kto z państwa następny? Tylko nie wszyscy razem, bardzo proszę!
- A gdzie można tego księdza?
- W obozie. Proszę państwa, ja bardzo proszę, nie wszyscy razem! Jak ja mam w takich warunkach pracować?
- Mama zawsze tak się zachwycała Oleńką, a gdybym jej powiedział, jaka ona była naprawdę, to — Przepraszam, może pan mnie przepuści, chcę wyjść.
- Najwyższy czas!
- Nie uwierzyłyby, zarzuciłyby mi, że kłamię, Jak śmiesz takie rzeczy o swojej żonie? tak, tak, mama będzie spokojna, już ja wiem, o czym mówię! — Przepraszam.
- Panie, po nogach? Co pan po nogach? Nie deptaj pan po nogach!
- Powiedziałem przepraszam, nie wystarczy panu? — Ci ludzie! jak ja nie lubię takiego tłoku! te okropne oddechy! nie dają im tu pasty do zębów czy co? oczywiście, mnie to nie powinno mierzć, prawdopodobnie połowa z nich ma nieuleczalnie popsute żołądki, nadgniłe dziąsła, zęby im próchnieją, jeśli jeszcze jakie zostały, wobec tego co oni tu przeszli moją odrazą do ich oddechów jest nieprzyzwoitością, wszystko to rozumiem, ale mimo to nie ma potrzeby, żeby jeden drugiemu włożył na kark, nareszcie! bo już myślałem, że się z tego pokoju nie wydostanę, noga cała? zdaje się, no cóż, przyjdzie znowu wziąć kierunek na obóz, szkoda, że mi nikt o tym księdzu nie wspomniał przedwczoraj, byłbym wstąpił do niego kiedy tam byłem, już była zapadła ciemność, dygotałem z chłodu, miałem na sobie trencz, ale to niewiele pomagało, nie przypuszczałem w Szkocji, że o tej porze

roku tu będzie już tak zimno, zbiorowe groby wyglądały jak kopce buraczane u stryja Wojciecha przed wojną w Szaropyszkach, przy grobach klęczeli ludzie, powietrze drżało skumulowanym szepceniem modlitw i westchnień, płomienie lampek nagrobnych wydobywały z ciemności twarze nowoczesnych pątników, w przyszłości były obozy koncentracyjne staną się na pewno miejscem świętych pielgrzymek, które kościół przejmie pod swoją pieczę, wzruszenie tknęło mi się do gardła, łzy cisnęły się do oczu, te drzwi na końcu korytarza są chyba otwarte, tak stamtąd ciągnie, na ścianach wiszą tablice z ogłoszeniami o wzajemnie się poszukujących ludziach, może jest dla mnie jakaś wiadomość? nie, oczywiście, że nie, no co jest? ktoś mnie szturchnął, leczę pod ścianę, przewracam się, laska wypada mi z rąk, co za idiota tak mnie? coś w nodze trzasło, na pewno znowu złamana, jeszcze słabe to zrośnięcie, to ten! przynajmniej poczuwa się do tego, żeby mi teraz pomóc, Dziękuję serdecznie! wysoki, ubrany w czarne oficerskie spodnie z czerwonymi galonami, nogawki wsunięte w cholewy filcowych walonek, i w marynarkę od fraka! gdzież on wytrzasnął taki strój? klania mi się, rozkłada ręce, klaruje mi coś, nie rozumiem w jakim języku, w każdym razie zachował się jak dobry Samarytanin, Bóg z nim! dobrze, dobrze, wszystko w porządku, nie trzeba się tłumaczyć, przy takim tłoku! tylko może mi jeszcze laskę podniesie? nie rozumie, Laska! o tam leży! co z nim jest? wybałuszył oczy, cofa się do tyłu, potrąca ludzi i odwróciwszy się ucieka kuśtykając w głąb korytarza.

— Czy panu potrzeba pomocy?

— Może pani będzie tak łaskawa i poda mi moją laskę. Leży pod ścianą. Dziękuję bardzo. — To ta laska, widok laski tak na niego podziałał, zelektryzował strachem, nie ma go już, przepadł gdzieś, zamknął się zapewne w klozecie, siedzi dysząc na sedesie, gorączkowo łapie fragmenty świata, który niechcący mu rozbiłem i scala go sobie na nowo w możliwie przyjazny deseń, czy mogłem się domyśleć, że prosząc go o podanie mi laski rozbełtuję w nim piekło? a z boku stał przysadzisty budynek bez okien, o płaskim dachu, ze środka sterczał wysoki komin, tam tych ludzi palili, gdy go mijałem, zdrętwiało mi serce, ogarnął mnie popłoch, było to jakby za moimi plecami podnosił się olbrzymi cień i zwolna się materializując wyciągał po mnie ręce, chciałem uciekać, ale nie mogłem, skurczyłem się w plecach czekając, na chwilę zupełnie straciłem świadomość gdzie jestem, wiedziałem tylko, że czekam, że ten cień za mną, coraz bliżej mnie, coraz niżej, coraz bardziej materialny i

— Czy pan się źle czuje?

— Nic mi nie jest, to tylko takie chwilowe, dziękuję, właści-

wie już minęło i już sobie pójdę. — Wcale mu się nie dziwię, odruch warunkowy wykształcony gruntownym poznanie najbardziej zasadniczych realiów życia dwudziestego wieku, na widok laski należy uciekać, możliwe że mu to zostanie już na całe życie, pójdzie na spacer, zobaczy starca zbliżającego się o lasce i w nogi! stanie się pośmiewiskiem ulicy, dzieci mu będą kawały urządały, było to jakby za moimi plecami jakiś olbrzymi i ciągle się rozrastający cień pochylał się nade mną i wyciągał ku mnie tysiące lepkich macek, nie miałem odwagi odwrócić się i spojrzeć za siebie, a jednocześnie czułem, nie wiem jak to wytłumaczyć, boję się tej myśli, jakby pomiędzy tym cieniem a mną istniało jakieś powinowactwo, jakby ten cień, ta groźba, która nade mną zawisała, były czymś co miało swój początek we mnie, jakby korzenie, ziarno, z którego wyrosło to monstrum, znajdowały się na dnie mojej duszy, bredzę, oczywiście! co tu było w czasie wojny? baraki wojskowe albo biura jakiegoś ministerstwa ewakuowanego z Berlina, Popatrzcie, ona was nie poznaje! Joasiu, dziecko kochane, przecież to twój tatuś i mamusia, nie poznajesz ich? Czy mama wreszcie przestanie, bo mnie to już zaczyna irytować! a cóż dopiero będzie, gdy zjawię się w domu, i bez Oleńki? Jaktó, nawet się z nią nie widziałeś? przecież pisałam ci, przebywała tam w obozie, Może, ja jej w każdym razie nie znalazłem, czy tam w ogóle była, też kwestia, w żadnych spisach nie figurowała, Musiała być, przecież był tu jeden z byłych więźniów, mówił, że ją często widywał, Widocznie się pomylił, Jak mógł się pomylić? wyraźnie powiedział: Aleksandra Niesztorowa, nawet opisał jak wyglądała, A jednak musiał się pomylić, bo tam jej nie było, na wszelki wypadek posiedzę jeszcze kilka dni, może natrafię na jakiś ślad, przysadzisty budynek bez okien, o płaskim dachu, ze środka sterczał wysoki komin, tam tych ludzi palili, Proszę się rozebrać, ubranie złożyć na stole, tu pan podpisze, Co to jest? Kwit na ubranie, które pójdzie do depozytu, nie chce pan kwitu? a jak się zgubi, kto będzie odpowiedzialny? a teraz przez tamte drzwi pod prysznic! muszę gdzieś usiąść, odpocząć, zdjąć ten piekielny ciężar z nóg, mógłby ktoś zatroszczyć się o to, żeby tu ławki ustawić, tylu teraz wszędzie inwalidów, ja w każdym razie płakać po niej nie będę, niech ją Pan Bóg ma w swojej opiece i szczęśliwej drogi! tak mnie traktować jak ona mnie traktowała! ja bym psa nie miał serca tak, ale wszystko znosiłem cierpliwie, nigdy, niech sobie przypominni, nigdy ani razu się nie poskarżyłem, okruchy brałem z jej stołu i byłem szczęśliwy, że tyle przynajmniej na mnie przypadło, siła ślepej miłości, a ona to w bezczelny sposób wykorzystywała, bo wiedziała, że na mnie może zawsze liczyć, że nigdy drzwi

przed nią nie zamknę, Bo Romciu kocha swoją Oleńkę, prawda? Oleńka pogłaszcze, Oleńka przytuli, a ja, taki bałwan skończony, mruczałem z zadowolenia jak kot gdy go po karku podrapać, pogłaszcze, przytuli, a potem klapsa, bo Romciu był niegrzeczny! tak, gdybym jej przypomniał wszystkie upokorzenia, jakie z jej winy, drobne, ale ile ich było! jeszcze teraz jak czasami wspomnę, to aż się skręcam ze wstydu, jak chłopca na posyłki, jak jakiegoś śmirusa mnie traktowała, wycirusa ostatniego, jak wycieraczkę do butów! ona może nie pamięta, ale ja pamiętam, o tak! ja pamiętam! wszystko pamiętam! wszystko! mogę przypomnieć, jeśli chce, nie? ja też myślę, że tak będzie lepiej, wtedy jak do Zakopanego pojechała, Jedziesz do Zakopanego, powiedziałem jej, bo on tam jest, do niego jedziesz, takeście się umówili, on pojedzie pierwszy a ty kilka dni po nim, Nie, wcale nie do Zakopanego, powiedziałam ci już, do rodziców, tak w oczy! w oczy mi się zaparła! Jeśli do rodziców, to nie musisz jechać jutro, możesz odłożyć wyjazd na drugi tydzień, też będzie dobrze, Muszę jutro, przyrzekłam, Kłamiesz, Oleńko, jedziesz do Zakopanego, Przysięgłam ci, mój drogi, że nie, Chcesz przysięgać, dobrze, tu masz, masz, weź, weź do ręki, wyciągnąłem z kieszeni mój różaniec, przysięgnij! zbladła, ale przysięgła, Chcesz? proszę! jeśli ci tak bardzo na tym zależy, potem całą noc na dworcu czekałem, przyszła, dałem jej wykupić bilet, potem podszedłem, Pokaż bilet! Nie pokażę, nie masz prawa tego ode mnie wymagać, nie masz do mnie zaufania? Otóż to, sama to powiedziałaś, nie mam do ciebie zaufania i wiem, że mam rację, a jeśli mimo wszystko się myślę, łatwo możesz mi to udowodnić, pokaż bilet! Nie pokażę, i posłuchaj mnie uważnie, Roman, nie bądź taki podejrzliwy, bo w ten sposób na dłuższą metę sam swoją miłość do ciebie zabijesz, Pokaż bilet! Nie pokażę! No oczywiście, jasne że nie pokażesz, bo jedziesz do Zakopanego, mniejsza z tym, chodź, odprowadzę cię przynajmniej do pociągu, Nie, nie życzę sobie, odejść! idź do domu! cały już dygotałem, tak bezczelnie kłamała, i tylko ostatkiem sił się trzymałem, żeby nie wybuchnąć, Oleńko, powiedziałem, dlaczego ty mi to robisz? Nic ci nie robię, masz schorowaną wyobraźnię, podejrzliwość cię toczy, na każdym kroku we wszystkim co robię wiesz zdradę, No to pokaż bilet! Nie pokażę! ile razy ci mam powtarzać? i jeśli stąd w tej chwili nie odejdziesz, to z tobą zupełnie zrywam, jak Boga kocham! nie myśl, że żartuję, jeśli w tej chwili! tak, w oczy! w żywe oczy mi się zaparła! na różaniec przysięgła, gdybym jej dał krucyfiks, też by przysięgła, co dla niej przysięga? ech, takie to wszystko przykre, tyle bólu na samo wspomnienie, z żadnym mężczyzną, powiada, przede mną nie spała, Tak, to jest

prawda, z żadnym mężczyzną przed tobą nie spałam, byłeś moim pierwszym, nie widziałeś, była krew na prześcieradle? to niczego nie dowodzi, bo celowo do mnie przyszła wtedy, akurat jej się miesiączka kończyła, cóż to, ja ciemniak, nie poznałbym gdyby była dziewicą? ja od początku wyczułem, że ona z innymi, mężczyzna zawsze takie rzeczy wyczuje, wystarczy zobaczyć jakim wzrokiem kobieta patrzy na mężczyzn, tak, ale ja nie! odepchnąłem to od siebie, nie wierzyłem, jeszcze sam siebie winiłem za te podejrzenia, gdzie tam, Oleńka? nigdy! niemożliwe! Odłóż wyjazd, mówię do niej, pojedziesz w przyszłym tygodniu, rodzicom wszystko jedno, bo gdyby naprawdę do rodziców, to by się dała namówić, dla mnie by to zrobiła, żeby mnie uspokoić, widziała przecież w jakim byłem stanie, co się ze mną działo, lecz dla niej to było bez znaczenia, na krucyfiks by przysięgła, tak ją piliło, żeby do niego, żeby z nim, jej nawet przyjemność sprawiało patrzeć jak biegam za nią niczym pies z wywalonym jęczorem, łasy na każdy najmniejszy uśmiech, jak cierpię, albo wtedy jakeśmy się posprzeczali na ulicy, nawet już dziś nie pamiętam o co nam poszło, o jakąś drobnostkę, Wobec tego, mój drogi, będziesz się musiał obejść beze mnie, i zakręciła na pięcie i przeszła na drugą stronę jezdni, a ja stałem jak baran w nadziei, że może się oglądnie, da jakiś znak, że to tylko żart, że przecież nie zostawiłaby mnie tak na środku ulicy, ona? ona oglądnąć się za mną? za taką marnością nad marnościami? tydzień mija, nic, dwa tygodnie, nic, i gdybym wreszcie sam nie zadzwonił, nie przeprosił, mimo że nie miałem o co ją przeproszać, to ona powinna była mnie, kawę tu skądś czuć. — Przepraszam, proszę pana, czy tu jest gdzie kantyna?

— Ten korytarzyk na lewo, na samym końcu.

— Dziękuję. — Duża sala, niska, ciasno stłoczone stoły, brudno, jak we wszystkich wojskowych kantynach na całym świecie, ta nie wojskowa, wszystko jedno, instytucjonalna, jeden diabeł, niedobre powietrze, to od tych nigdy porządnie nie przeschniętych stołów, rozleje się coś, nikt nie zetrze, wsiąka to w drzewo, potem śmierdzi, filiżankę kawy wezmę, nie znoszę kantynowej herbaty, pomyje, pachnie przyjemnie, chyba prawdziwa, teraz znaleźć gdzieś wolne miejsce, tam przy oknie pod tym obrazem, jelefi z krzyżem między tykami wieńca, tandeta, o cholera! ale mnie w nodze coś strzyknęło! no i proszę! nie przewróciłem się, ale filiżanka rozbita i spodnie sobie zmoczyłem. — Przepraszam.

— *Doesn't matter, don't worry.* Niech pan usiądzie, zaraz panu przyniosę drugą.

Jaka usłużna, nawet się nie skrzywiła, że będzie musiała po mnie posprzątać, nie tak jak te nasze pielęgniarki w szpitalu, poprosiłem ją, żeby mi butelkę podała, bo pęcherz chciałem opróżnić, Ja panu butelkę? co pan sobie wyobraża? byle łachudra, i od razu wielka dama! a w angielskim szpitalu to nawet siostra przyniosła butelkę jak było trzeba, co w tym ubliżającego podać choremu butelkę? Ja panu butelkę? z wyrazem takiego obrzydzenia na twarzy jakby — O, dziękuję bardzo.

— Jeśli pan będzie jeszcze czego potrzebował, proszę się nie fatygować do bufetu, będę na pana uważała.

— Ile jestem winien za stłuczoną filiżankę?

— Nic, niech się pan tym nie przejmuj.

— Pani jest bardzo uprzejma. — Szliśmy powoli miedzą w kierunku tych wysokich topól nad rzeką, spiekota panowała potworna, żar lał się z nieba, nawet ptaki umilkły, taki żar, aż w oczach ciemniało, boso, patrząc uważnie pod nogi, żeby przypadkiem nie nastąpić na oset albo coś, Co? Coś mi wślazło do stopy, stojąc na jednej nodze oparła się o moje ramię, Pokaż, zobaczymy, nic nie widzę, a nie, przepraszam, jest, taka jakaś igielka, zaciśnij zęby, paznokciami wycisnę, boli? poruszyła stopą w powietrzu, postawiła na ziemię, Nie, w porządku, lubiłem wyjść w pole w taką właśnie południową godzinę, tak cicho było jakby cisza była czymś materialnym, grubą warstwą przezroczyściego filcu ułożoną na ziemi, wieża kościoła w Szaropyszkach daleko za rzeką mżyła przesłonięta samym tchnieniem mgiełki, Nie za bardzo męczący dla ciebie ten spacer? potrząsnęła głową, że nie, a przecież już miała duży brzuch, większy, zdawało mi się nawet, niż normalnie mają kobiety, myślałem, dwojaczki mi urodzi, mnie by odpowiadało, zawsze chciałem mieć dużo dzieci, Popatrz jak woda się łuszczy i lśni, schwyciła mnie za rękę i powoli opuściła się na trawę, sztywno, nienaturalnie, jakby brzuch był czymś niespójnym z nią, twarz skrzywiła się grymasem bólu, ciężko jej było tak siedzieć, Połóż się na plecach, poczekaj, zdjąłem koszulę, zrobiłem wałek i podłożyłem jej pod głowę, Teraz, rysy twarzy zmiękły, wygładziły się, nasunęła powieki na oczy, ramiona ułożyła luźno wzdłuż bioder, nigdy nie była tak piękna, jak wtedy gdy była w ciąży, ciepło z niej biło, tchnęła niemal jakimś majestatem, wreszcie odnalezionym spokojem, zgodą na świat, na życie, teraz już, mówiłem sobie, nigdy ode mnie nie odejdzie, Boję się, powiedziała jakby nie swoim głosem, nie patrzała na mnie, przez jej twarz przesunął się skurcz, skóra napięła się, poczułem skradający się niepokój, To nic, Oleńko, każda kobieta ma takie chwile kiedy nadciąga rozwiązanie, pierwsze dziecko, normalna rzecz, zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze,

milczała, leżała na trawie z twardo zaciśniętymi ustami, po chwili wargi zaczęły się poruszać jakby w myślach przepowiadała sobie jakąś kwestię, Dlaczego się boisz? co tu jest takiego się bać? uniosła wreszcie głowę i spojrzała na mnie wzrokiem, od którego nagle zimno położyło mi się na sercu, Boję się, żeby to dziecko nie urodziło się martwe, na moment świat się dla mnie zatrzymał, nie rozumiałem, co? dlaczego? Przecież lekarz bada cię co tydzień i nie przewiduje żadnych komplikacji, To nie to, odwróciła głowę ode mnie, żebyś ty wiedział jakich ja rzeczy nie robiłam, żeby się tego dziecka pozbyć! dlaczego mi to powiedziała? sumieniu chciała ulżyć? dlaczego akurat wtedy, kilka tygodni przed rozwiązaniem? a gdyby jej zabiegi były się zakończyły powodzeniem? nigdy jej tego nie wybaczyłem, może gdyby potem wszystko się było między nami ułożyło normalnie, gdyby kochała to dziecko, nawet nie próbowała, taka wyrodna matka! ile razy ją w myślach dusiłem za to! leży na łóżku, siadam obok, gładzę jej szyję, Romcio się nie zmienił nic a nic, tak jak dawniej mogę go sobie owinąć naokoło małego palca, dobrze, niech tak myśli! wpatruję się w jej oczy, śmieją się, teraz! i oburącz ją za gardło i ściskam, Wyrodna matka! toś ty mi chciała moje dziecko! ściskam, z jej ust wydobywa się pluskotliwy charkot, ukarzę cię, wyrodna matka, ty! toś ty mi chciała moje dziecko! ach, Boże, dlaczego ja tak ciągle? no już przestań, przestań! zwolnij mięśnie, teraz zrób kilka głębokich oddechów, już lepiej? nie wiem skąd to się we mnie bierze, ile razy sobie przypomnę, tylko bym ręce do jej gardła, nagle w środku zupełnie innej myśli łapię się na tym, że trzymam palce zaciśnięte na jej gardle, albo rozmawiam z kimś i nagle zdaję sobie sprawę, że w myślach syczę, Wyrodna matka, ty! toś ty mi chciała moje dziecko zabić! i czuję jak mięśnie się we mnie napinają, jak cały się sprężam w sobie, wyrodna matka! tak! tak! wyrodna matka! i ściskam i czuję jak pod palcami trzaskają chrząstki jej gardła, wyrodna matka! moje dziecko chciała mi! Pan Bóg ją w końcu pokarał, wyrodna matka! myślała, że jeśli ze mną się tym podzieli, to tak jakby swoją winę przekreślała, nie! wyrodna matka! Toś ty mi chciała moje dziecko! Chryste Panie, czy ja nigdy nie przestanę? skąd się to we mnie bierze tyle tej złości, tej nienawiści? przecież ja wcale jej nie nienawidzę, nigdy nie chciałem, żeby cierpiała za to, jeszcze o jedną kawę poproszę, gdzież ta kelnerka? to taka obsesja, nie mogę się od niej uwolnić, to mnie zjada, ja wiem, tyle razy próbowałem to w sobie zdławić, nie umiem, przecież ja jej wcale nie nienawidzę, nieba bym jej przychylił jeszcze i dzisiaj, wszystko puścił w niepamięć, niech przepadnie, byle tylko

— *Yes?* Pan sobie życzy?

— Jeszcze jedną kawę poproszę. Czy można tu również otrzymać papier listowy i kopertę?

— Zaraz panu przyniosę. — Ja wiem, nie powinienem, to wypacza cały mój charakter, nadziewa niepotrzebną goryczą, wyrodna matka, moje dziecko chciała mi!

— Proszę, papier i koperta.

— Ile?

— Nic, to za darmo, wystarczy poprosić.

— Dziękuję. — Ma ładne usta, wilgotne, takie dobre przy całowaniu, jak się przylepią, to, coś w jej chodzie, Oleńka też tak sprężyście przebierała nogami, głowę też tak trzymała zawsze wysoko, piękna była, Właśnie, byłam! a teraz? wyszłam z obozu zniszczona, teraz się mną brzydzisz, z daleka mnie omijasz, żeby się tylko mnie nie dotknąć, popatrz przynajmniej na mnie! nie wstydz się, przyglądaj mi się dobrze, myślisz, że nie widzę z jakim niesmakiem na mnie popatrujesz? nie udawaj, że tak nie jest, za dobrze cię znam, czy ja jestem winna temu, że

— Proszę, pańska kawa.

— Dziękuję. — Ale przecież nic nie mówiłem, w ogóle ust nie otwierałem, Właśnie, nic nie mówisz, tylko ciągle mnie z boku obserwujesz, spojrzuj mi prosto w oczy! jakbym ja przywiązywał jakąkolwiek wagę do jej wyglądu, niech powie, że mnie kocha, nie, tego to nie! trzeba się zabrać do tego listu, zostawię w biurze, wywieszają moje nazwisko na tablicy, może jakimś cudem znajdzie drogę do niej, *Kochana Oleńko. Szukam Cię tu od tygodnia. Może ten list, jeden z wielu, jakie zostawiam w różnych punktach informacyjnych, trafi do Twoich rąk. Modlę się o to. Skontaktuj się ze mną. Zatrzymałem się w hotelu Centurion przy Strassburgerstrasse. Pozostanę tu do 10 listopada, potem muszę wracać do Szkocji. Wcześniej nie mogłem przyjechać, bo leżałem ranny w szpitalu po ranie, jaką odniosłem w czasie inwazji. Mam wiadomości z domu. Joasia jest zdrowa. Może Bóg da, że wkrótce się znowu zobaczymy. Kocham Cię bardzo. Twój Roman.* Ale wątpię, żeby list dotarł do niej, ona już do domu nie wróci, sześć miesięcy upłynęło od czasu kiedy Amerykanie wyzwolili obóz, przynajmniej byłaby napisała, na miły Bóg, przecież ma tam dziecko! to cud, że Joasia się wtedy uratowała, tego samego dnia rano pojechała z Weroniką do Suchych Dołów, to nie cud? a jak to nazwać? takie dzieci jak ona Niemcy zywcem w ziemi zakopywali, na kronice filmowej widziałem, wrzucali do dołu, zasypywali, pewnie w Polsce albo w Rosji, nie pamiętam, filmowali specjalnie dla archiwów SS, potem ktoś wykradł, przemycił do Anglii, jak to jest możliwe? stał taki z kamerą filmową, kręcił, może nawet żołnierzom udzielał reżyserskich wskazówek,

żeby zdjęcia wypadły jak najkorzystniej, patrzył dłonią odaszkuwując oczy na niebo, złościł się gdy chmury zbyt długo przesłaniały słońce, wreszcie dał znak, Będziemy kręcić, można te dzieci zacząć wrzucać! no coś takiego musiał powiedzieć, przecież sztyrem nie mówił, jak to jest możliwe, żeby człowiek? albo wczoraj to sprawozdanie w gazecie z procesu Kramera, świadek zeznawał o pracy krematoryjnego komanda, więźniowie komanda, mówił, już nie przypominali istot ludzkich kiedy pod nawałą spadających na nich pałek esesmańskich, od stóp do głowy utyłani krwią, biegiem przeciągali trupy z komory gazowej do dołów, gdzie inni więźniowie polewali je benzyną i zapalali, to samo było w tym obozie i Oleńka, mimo woli przyspieszyłem kroku, aby jak najprędzej oddalić się od tego budynku, od którego szedł niemal namacalny fluid zła, szedłem skulony w plecach, i czułem jakby z tyłu za mną podnosił się jakiś olbrzymi cień, materializował się zwolna, pochylał nade mną, w którym pokoju zostawia się listy? jest skrzynka! jutro umieszczą moje nazwisko na tablicy, jeszcze mam tydzień przed sobą, może do tego czasu? kto wie, może ona jednak tu gdzieś jest? przyjemne to miasteczko, czyste, schludne, żadnych śladów wojny, ani jedna bomba tu podobno nie spadła, to się nazywa sprawiedliwość! a pod bokiem mieli obóz koncentracyjny, codziennie tysiące ludzi szły do komina, kto wie czy jednak w tym kraju nie należałoby przywrócić życia starej biblijnej zasadzie: oko za oko, ząb za ząb? Oleńkę zabrali w Warszawie, szła chodnikiem, nagle wszystkie wyloty ulicy zamknęły samochody wojskowe, łapanka, po prostu szła ulicą, dlatego ją wzięli do obozu, po prostu dlatego, że akurat gdy te budynki tam zajechały, ona znalazła się na ulicy, niech mi to kto wytłumaczy, bo ja nie rozumiem, a tu ulica stoi cała, ani jeden dom nie zburzony, trzeba to było zbombardować, zamienić w perzynę, żeby wiedzieli, że nie wolno bezkarnie, raz na zawsze zetrzeć z powierzchni ziemi, żeby żaden ślad po nich nie został, jacy się teraz zrobili potulni, bo przegrali wojnę, ustępują z chodnika na widok alianckiego munduru, jak tej kobiecie nie wstyd? ludzie, honoru nie macie czy co? no po co mi złazi z drogi, czy jej kto każe, czy jeśli nie ustąpi, stanie jej się co złego? żaden z nas nie nosi pałki, żeby tę swolocz obdzierać za to, że nie zejdzie z drogi, że nakrycia z głowy nie zdejmie przed zwyczajnym żołnierzem, rozpętało się tam wierutne piekło, mówił świadek, więźniowie zatrudnieni przy opróżnianiu komory gazowej zwijali się jak szatany, utyłani od stóp do głowy we krwi, popędzani gradem ciosów esesmańskich pałek, nigdy się nie kończącym wrzaskiem, *Schneller! schneller!*, trzeba to jednak było wszystko zburzyć, tak jak oni nam Warszawę,

systematycznie, ulica po ulicy, dom po domu, w sztabie alianckim tworzy się specjalny wydział, którego celem będzie fizyczne zlikwidowanie wszystkich Niemców oraz zamienienie terytorium Niemiec w pustynię, a więc zrównanie z ziemią wszystkich miast, osiedli, wsi, zaoranie następnie i zatrucie ziemi środkami chemicznymi, żeby tu nawet zielska już nigdy więcej się nie pokazały, co za bzdury! zaczynam myśleć jak barbarzyńca, może oni nas jednak zarazili? nie, w myślach się tylko człowiek tak odgryza, w rzeczywistości nigdy by, to nie w naszej psychice, po jednym dniu machnęlibyśmy na cały interes ręką, Idźta, ludzie, do domu i niech was jasny szlag trafi! Rosjanie, o tak, Rosjanie umieliby sobie z nimi poradzić, żadnych pieców krematoryjnych, po prostu do tajgi i do roboty zapędzić za ojczulka Stalina, trochę dłużej by zajęło, ale rezultat taki sam, za dwadzieścia lat nie ma w Europie ani jednego Niemca, też nie miałoby sensu, po co ich niszczyć? nie ludzie? tacy sami jak my, tylko muszą uznać swoją winę, z własnej nieprzymuszonej woli muszą się uderzyć w piersi, *mea culpa*, nawet pokuty od nich nikt wówczas nie zażąda, patrol amerykańskiej żandarmerii, białe hełmy, białe opaski na rękawach, nawet pałki pomalowane na biało, młodzi chłopcy, którzy odgrywają scenę z kowbojskiego filmu, szeryf spokojnym krokiem przemierza główną ulicę osady, na zewnątrz biura wiszą listy gończe, orkiestra gra w barze, na scenie podkasane dziewczęta tańczą kan-kana, po schodach z galeryjki na pierwszym piętrze schodzi piękna kobieta wydekoltowana prawie do samych stóp, nagle strzały! tancerki w wrzask! barman kuca za bufetem, szeryf wpada do środka, w każdej ręce trzyma spluwę, *All right, nobody moves!* właściwie strach pomyśleć, że całą naszą przyszłość przejęli w swe ręce ci chłopcy, dla nich wszystko jest kowbojską przygodą, uznają tylko jedno prawo, słuszne i sprawiedliwe, owszem, ale nie znają dna duszy ludzkiej, jej pokrętnych dróg, jej zdradliwych zakamarków, stare te domy, piękne, stylowe kamieniczki, dużo gzymsów, wdzięcznych załamania dachów, gotyckie litery na szyldach, brunatne oddziały maszerowały po ulicach, wśród spokojem tchnących domów rozlegały się wysokie dźwięki piszczałek, fletów, werbli, powietrze rozpychały sztywne płyty proporców, hieratyczne orszaki wspinały się po stopniach olbrzymiego ołtarza, aby na jego szczycie odprawić obrzęd całopalenia, dwa kilometry dalej wrzało wierutne piekło, więźniowie opętani jak szatany, pod nigdy się nie kończącą nawałą esesmańskich ciosów biegiem przewlekali trupy z komory gazowej do dołów insyneracyjnych, gdy wiatr zawiewał z tamtej strony mieszkańcy miasteczka czuli w nozdrzach swąd palących się ludzi, dym snuł się godzinami po ulicach,

wdzierał się do mieszkań, mieszał z zapachem jadła gotującego się w kuchni, przeklęty dym! nie mogą co zrobić, żeby nie był taki gryzący? albo przynajmniej żeby go skierowali w inną stronę! ech, co za naród! ulica zbiega w dół, samochody wojskowe, grupka amerykańskich żołnierzy, jakieś biuro wojskowe, a tu starzyzna na sprzedaż, leżeliśmy nad rzeką, patrzyłem tępo na wodę przepływającą dołem, Żebyś ty wiedział, do jakich ja się sposobów nie uciekałam, żeby się tego płodu pozbyć, brałam gorące kąpiółki, moczyłam nogi w ukropie, piłam różnego rodzaju zioła, takie jakieś niemożliwe świństwa, od których wymiotowałam, że mi się zdawało, iż wszystkie bebechy z siebie wyrzygam, nic nie pomagało, Ale dlaczego? dlaczego to robiłaś? gdybym tak ręce zacisnęła na jej gardle, ale nie, pohamowałem się, ona nosi w sobie moje dziecko, ona to dziecko urodzi, o tak, urodzi je! już niech się ona o to nie martwi, już ja sam dopilnuję, jak oczka w głowie będę ją, a potem, jak dziecko przyjdzie na świat, proszę, niech idzie! czy nie pomyliłem drogi? trzeba się zorientować, gdzie ten garaż? tu był gdzieś garaż, tak, chyba tędy na lewo, za tamtym domem rozpoczynają się ogrody, dobrze idę, po urodzeniu Joasi nawet o nią nie zapytała, pielęgniarka przyniosła dziecko, żeby pokazać, nie otworzyła oczu, oczywiście, ja rozumiem, była fizycznie i psychicznie zmęczona, to nie był łatwy poród, no ale żeby nawet nie chciała rzucić okiem na to, co wyszło z jej łona? gdy pielęgniarka chciała jej dziecko podać, brutalnie odepchnęła jej ręce, potrząsnęła głową, usta miała zacisnięte jakby jej się stała straszna krzywda, już przedtem zapowiedziała, żebym sobie czasami nie wyobrażał, że sama będzie je karmiła, Tylko sobie nie wyobrażaj, że ja, nie miała zamiaru psuć sobie biustu, bardzo ważne, żeby biust zachował formę, o tak, bardzo ważne! dziecko niech idzie do mamki, mało to w gospodarstwie kobiet, które w każdej chwili, koci się to jak, nie sprecyzowała jak co, mówiła to takim głosem, jakby sama myśl o mleku sączącym się z cycka przyprawiała ją o mdłości, Nie znoszę zapachu kobiet, które karmią własną piersią, trudno sobie wyobrazić coś bardziej nieestetycznego od kobiety wywalającej spod bluzki swą pierś, te zachłanne usta dziecka dopadające sutki, ścieka to mleko w dół piersi, bielizna tym nasiąka, obrzydliwe! a mama tam czeka na nią z Joasią, łudzi się, Usiądziemy sobie przy oknie i będziemy wyglądały, może przyjedzie tym pociągiem, ludzie idą od dworca, rozrzedzone światło sączy się przez korony soseń, żywiczny zapach wlewa się przez otwarte okno do pokoju, Tym pociągiem nie przyjechała, ale nie należy się martwić, może następnym, albo jutro, i tak z dnia na dzień, już ja sobie to potrafię wyobrazić, czy to ma jaki sens? nie powinna

rozbudzać nadziei dziecka, sama już chyba powinna się była domyśleć, że Oleńka wypadła z naszego życia na zawsze, Nie wierzę ani w jedno słowo z tego wszystkiego, co mi o niej powiedziałaś, gdyby naprawdę była taka bezduszna, taka samolubna, sama bym to niechybnie wyczuła, no i jak ja jej wytłumaczę, że Oleńka nie chciała wrócić? cokolwiek bym powiedział, nie uwierzy, wieczór już wkrótce spadnie, dzieci bawią się pod płotem, co to jest? rodzaj jakiejś skakanki, jezdni wolna, no to na drugą stronę, przestały się bawić, przypatrują mi się, intryguje ich mój mundur, szkoda, że nie mam przy sobie cukierków.

— *Wie heisst du?*

— Hilda.

— To ładne imię. A ile masz lat?

— Mam sześć lat.

— Sześć lat, aha! — Mógłbym ją zabić jednym uderzeniem pięści, albo za nogi i o mur, nie, za duża, niemowlęta to tak, albo laską, żaden problem, Dlaczego? Dlaczego co? Dlaczego ją zabić? No bo, powiedzmy, taki mam rozkaz, żołnierzowi nie wolno odmówić wykonania rozkazu, niemieckiemu, naturalnie, bo w naszym wojsku żołnierz ma prawo, albo nawet bez rozkazu, bo tak mi się podoba, bo jestem wolny i w ten sposób afirmuję moją wolność, ale tego nie uczynię, darowałem ci życie, Hilda, bo ani mi się tak nie podoba, ani nie utwierdziłoby mnie to w mojej wolności, świadczyłoby tylko o tym, że brak mi wszystkich klepek w głowie i trzeba mnie posłać do szpitala na leczenie, żywcem takie zakopywali w ziemi, przecież te dzieci musiały krzyczeć, płakać, jak mogli to znieść? i może ci, co na tej kronice filmowej, jeszcze żyją, może otarłem się o któregoś z nich na ulicy? ładna dziewczynka, Hilda, pogłaskam ją po włosach, twarda skorupa czaszki, ale i tak jednym uderzeniem laski, gdzieś tam głębiej i niżej tłucze się serce, takie samo jak moje, stuk stuk stuk, czy to nie wystarczy, żeby ludzi kochać? dam jej kilka marek. — Masz!

— Dla mnie? *Danke*.

Trzeba zapychać dalej, bo się ściemni zanim, pobiegnie do domu, powie, *Mutter!* jakiś polski żołnierz pogłaskał mnie po głowie i dał mi pięć marek, żebym sobie kupiła cukierków, a *Mutter* przejęta patriotycznym oburzeniem krzyknie, Polski żołnierz? *ein polnischer Soldat?* daj mi te pieniądze! nie wolno ci do nich podchodzić, żeby mi to się więcej nie powtórzyło! *ein polnischer Soldat!* no wiecie, coś podobnego! żeby to jeszcze Amerykanin, przynajmniej trochę bardziej cywilizowany naród, *aber ein polnischer Soldat!* kupa śmiechu! zresztą ta dziewczynka nie wie czy ja Polak czy inny diabeł, żołnierz, ot żołnierz, słońce

schodzi za domy, inwalida bez nogi, zobaczymy czy mi spojrzy w oczy, gdzie ją stracił? pod Stalingradem? pod Falaise? możliwe, że dostał odłamkiem pocisku wystrzelonego z jednego z moich dział, tam było przyjemnie, w Normandii, te karłowate jabłonie, cydr, szybko się tym można upić, a taki niewinny w smaku, woziliśmy go w bankach na benzynę, taka piwnica tam była w ogrodzie, przy wejściu leżał zabity Szkop, miał ładownice wyładowane kondonami, w piwnicy walało się kilkanaście butelek po szampanie, na pryczy dwie pary jedwabnych damskich majtek, mogli, dranie, zostawić kilka butelek! spojrzy, nie spojrzy? nie spojrzął, popatrz, taki skurwysyn, nawet nie spojrzął na mnie! a kto żywcem zakopywał dzieci? kto ludzi palił w obozach? on nie! on walczył jak przystało na żołnierza! a kto głosował za Hitlerem? niech Bogu dziękuję, że tylko nogę stracił! powiedziała, Przyjedziesz do Sulikowa na święta, poznasz moich rodziców, zobaczysz jaka czarująca okolica, jeśli będziesz miał ochotę, pojedziemy na polowanie, u nas wszyscy polują, teraz sezon na dzika, polowałeś kiedy na dzika? przyjechałem, a tam cała ta zgraja, z którą włóczyła się zawsze po Warszawie, Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że oni też tu będą? celowo, bo wiedziałaś, że inaczej bym nie przyjechał, Oczywiście, że celowo, bo mi zależało na tym, żebyś przyjechał, A oni? Co ci przeszkadzają? nie widzisz, jacy oni zabawni? taka mnie pasja na nich ogarnęła, najchętniej bym podszedł, zaczął pracować po pysku, takie to wszystko płaskie, puste, tylko im żarty w głowie, naigranie się z wszystkiego, tylko bym prał po pysku, żeby strzępy leciały, Kostelnicki miał już chyba wtedy mocno w czubie, inaczej nie byłby się zapędził tak daleko, może mnie chciał sprowokować? Już noc się zbliżała, powiada, my z daleka od jakiegokolwiek skupiska ludzkiego, nigdzie się schronić, myślałem, mówi, zginiemy marnie, raptem patrzymy, na przeciwległym zboczu jakiś mały domek, nie domek, szałas, coś takiego, w każdym razie, mówię, Oleńka, jest nadzieja, że z tej opresji cało wyjdziemy, odepchnęliśmy się i jazda, Oleńka przewróciła się po drodze kilka razy, musiałem ją wykopywać ze śniegu, na domiar złego zaczął siąpić drobny deszcz, tragedia, ale dojechaliśmy, szałas, podłoga z ziemi, w rogu kupa drewna, rozpaliłem ogień, oboje byliśmy przemoczeni do nitki, dosłownie do nitki, do najbardziej spodniego kawałka bielizny, powiódł spojrzeniem po obecnych, wargi miał zagryzione, w środku pękał od śmiechu, do najbardziej spodniego kawałka bielizny! cała ta komedia dla mnie, oczywiście, wszyscy coraz to na mnie okiem łypali, No i teraz, proszę ja was, rozumiecie, problem, jak się rozebrać, osuszyć, bez parawanu, tym bardziej, że od pewnego czasu coraz bardziej odczuwałem, że Oleńka nale-

ży do tak zwanej płci odmiernej, teraz miałem się o tym przekonać naocznie, znowu wybuch śmiechu, więcej, wręcz, przeciągnął to słowo, jeszcze raz powtórzył, wręcz namacalnie, i cały czas okiem na mnie tupał, tę truciznę we mnie sączył, tak, w oczy mi się zaparła, w żywe oczy mi się zaparła! Jeśli jedziesz do rodziców, powiedziałem jej, to nie musisz jechać jutro, możesz odłożyć wyjazd na drugi tydzień, też będzie dobrze, Muszę jutro, przyrzekłam, Kłamiesz, Oleńko, jedziesz do Zakopanego, Przysięgam ci, mój drogi, że nie, Chcesz przysięgać, dobrze, tu masz, masz, weź do ręki, wyciągnąłem z kieszeni różaniec, proszę! teraz wszystko było jasne jak na dłoni! nawet się nie zarumieniła, po tym wszystkim miała czelność obu nas pod ten sam dach, ależ to dla niej musiała być zabawna sytuacja, siedzimy przy stole, ona naprzeciwko, patrzy po nas spod przymrużonych powiek, przesuwa spojrzenie z jednego na drugiego, uśmiecha się do siebie, nie zabawna? a dla mnie to był szok gdy tam zobaczył, wiedziałem, że ona z nim, ale nigdy bym nie przypuszczał, że go u niej w domu spotkam, po to się tłukłem setki kilometrów pod Grodno, żeby przy niej, pod jej własnym dachem, rękę mu podać? zawahałem się, ale cóż, przecież nie będę urządził sceny, To panowie się już znają? ja się zmieszałem, on nie, opanowanie to on miał, w żadnej sytuacji się nie tracił, opanowanie, właściwie nie tyle opanowanie, co gruboskórność, Rzeczywiście, powiada, nasze drogi już się raz przecięły, hm, co prawda w niezbyt przyjemnych dla nas obu okolicznościach, zakasłał, ale pan, panie kolego, chyba do mnie nie chowa z tego tytułu żalu, studenckie wybryki, nie ma nawet o czym gadać! no co? miałem mu splunąć w twarz? dłoń zwinąć w pięść i dać mu w zęby? no popatrz, taki skurwysyn! nawet na mnie nie spojrzał, jestem dla niego wrogiem, mnie wini za swoje nieszczęście, a kto mi zabił moich braci? kto kulą z automatu zastrzelił mi ojca? a specjalnie na niego patrzałem, spojrzysz? nie spojrzysz? nie, oczy w ziemię wbił i udał, że mnie nie zauważył, Szkopy, psiakrew! Na baczność stańcie, gdy do was się zwraca oficer zwycięskiej armii! co to ma znaczyć? dlaczego nie spojrzeliście na mnie? A bo ja, panie kapitanie, Jestem porucznikiem, szarzy nie potraficie rozpoznać? A bo ja, panie poruczniku, myślałem, że, Co myśleliście? co wy mi tu będziecie myśleli? wy nie od myślenia a od tego, żeby słuchać, *ist das verständlich?* Jawohl, Herr Leutnant! No to odmaszerować! Niemiaszki, psiakrew! tak, byle durniowi gwiazdkę przyszyć na naramienniku, zaraz mu się wydaje, że jest bogiem i może wszystkim pomiatać, bydlę ze mnie! studenckie wybryki, tak to nazwał, nawet nie ma o czym gadać, ale mi studenckie wybryki! byłem na podeście drugiego piętra, na dziedzińcu odby-

wał się wiec, mówca przemawiał ze stołu, który przytaskali z którejs z sal wykładowych, po obu stronach poczty sztandarowe, studenci, dwustu, dwustu pięćdziesięciu ich może było, dość spory tłumek, krzyczeli przez rozdziawione gardziele, wznosili do góry łagi, wymachiwali wojowniczo, buńczucznie, wiesz, jak to wtedy było, co ci będę opisywać? o czym mówię? trochę cierpliwości, moja droga, zaraz zobaczysz do czego zmierzam, w pewnej chwili przez furtkę w bramie, brama była niedaleko, trzydzieści, czterdzieści metrów na lewo, wszedł nieśmiało jakiś student, prawą dłonią przytrzymał rewersy marynarki, zatrzymał się, zaczął kaszleć, potem ruszył dalej okrążając bokiem, ale w zupełnie przyzwyczajonej odległości, tłumek skupiony na środku, znowu stanął, podniósł dłoń do ust, zgiął się niemal w pół, krztusił się, dusił w konwulsjach, wycharkiwał z siebie plwociny, wreszcie atak minął, wytarł czoło, zrobił kilka kroków, i wtedy ktoś z tych oblegających mówcę, taki jakiś dryblas, co to w zdrowym ciele zdrowe ciele, rzuciwszy okiem poza siebie zobaczył go, krzyknął coś i potrząsając łagą zaczął się ku niemu zbliżać, tamten obejrzał się, zmierzył odległość do bramy, nie dobiegnie, zrezygnował zatem z tej drogi ucieczki i puścił się pędem w kierunku biblioteki, wbiegł do gmachu, słyszałem jak trzasnął na dole drzwiami, zaraz na schodach rozległy się śpieszne kroki, Tutaj! krzyknąłem przechylając się przez poręcz, pociągnąłem go za sobą do gabinetu, wepchnąłem za szafę z książkami, dosunąłem biurko, jakieś krzesło, wybiegłem na korytarz z książką w ręku, oparłem się o drzwi i udaję zaabsorbowanego w lekturze, a schody już zatkane, Gdzie on? Kto? No ten Żyd, Żyd? jaki Żyd? No Żyd, przecież tu wbiegł, widzieliśmy, musieliście się z nim spotkać, Wybaczcie, koledzy, ale tu nikogo nie było, spoglądali na mnie z niedowierzaniem, Zobaczymy, rozlecieli się po korytarzu, ja stałe przy drzwiach i waruję, wrócili, Nie ma, Przecież wam powiedziałem, widocznie bocznym wyjściem na dole wy dostał się na zewnątrz, A te drzwi? niby te, o które stałem oparty, pyta jeden, opiszę ci go, średniego wzrostu, o wąskiej twarzy, cera ciemna, włosy wysmarowane pomadą, mięsisty nos, grube wargi, bardzo wykwintnie ubrany, na palcu sygnet, poznajesz? zgadłś, Kostelnicki, Te drzwi, powiada, zamknięte? a niech no kolega odstąpi, Po co? zaczyna się śmiać, Koledzy słyszeli, pyta się po co? a bo ja, mówi, moim aryjskim nosem zwietrzyłem, że za tymi drzwiami ukrywa się Żyd, odstąpcie, kolego, A jak nie? zachichotał, skinął dłonią, dopadło mnie dwóch drabów, po chwili z gabinetu dobiegły odgłosy szarpaniny, wywlekli go na korytarz, postawili przed Kostelnickim, ten złapał go za kłapy marynarki i przyciągnął do siebie, Jak się przechodzi obok pol-

skiej flagi narodowej, to się nie pluje, będziemy o tym pamiętali? znowu dał znak ręką, Dajcie mu, koledzy, wciřę, żeby na drugi raz pamiętał, a teraz jeśli chodzi o pana, pan też Żyd? Zostawcie, mówię, koledzy, tego człowieka w spokoju, nic wam nie zrobił, widzicie, że chory, Nikt cię, brachu, o wstawiennictwo nie prosił, pytałem, czy też Żyd? Co to pana obchodzi? O, dużo obchodzi, ja mam wrodzoną awersję do parchów, sprawdźcie, koledzy, czy obrzezany, rozpięli mi rozporek, Kostelnicki patrzy, mówi, To jakto, nie Żyd a z Żydami trzyma? i ty, gnoju, nazywasz siebie Polakiem? nauczcie go, koledzy, co to znaczy być Polakiem, potem woźny odwiózł mnie dorożką do domu, przez następny tydzień nie opuszczałem łóżka, To panowie się znają? znamy się, moja droga, znamy się bardzo dobrze i to z najlepszej strony, no i już ostatnie domki miasteczka, pola, tam jakaś rozwalona cegielnia, pies gdzieś szczeka, oni mieli specjalnie tresowane psy, które skakały na ludzi i przegryzały im gardło, może to jeden z tych psów, coś musieli z tymi psami zrobić gdy likwidowali obóz, rozdali okolicznym ludziom, UWAGA! ZŁY PIES!, właśnie o to chodzi, żeby był zły, taki lepiej się nadaje na stróża ogniska domowego, cholera ich wie, może powystrzelali, a obóz gdzieś za tymi drzewami, kawał drogi, nic nie szkodzi, powolutku sobie pójdziemy, jak się zmęczymy, to sobie usiądziemy w rowie, nie śpieszy mi się, w cegielni pracowali więźniowie, wracając wieczorem na kwatery wlekli z sobą trupy tych, co dnia nie przeżyli, do czego służyła cegła wyrabiana przez nich? stawiali z niej te piękne, czyste, dobrze zadbane domki w ogródkach, wszystko można obrócić przeciwko człowiekowi, piekarnik służy do pieczenia chleba, ale równie dobrze można w nim palić ludzi, albo weźmy taki rydel, Co to jest rydel, kto z uczniów mi powie? Rydel jest to narzędzie ogrodnicze służące do przewracania ziemi, Muszę ci, mój drogi chłopcze, zapisać stopień niedostateczny, rydel to jest narzędzie służące do zabijania ludzi, będziesz pamiętał? Będę, panie profesorze, A więc powtórz, żeby cała klasa słyszała, Rydel jest to narzędzie służące do zabijania ludzi, Bardzo dobrze, robisz postępy, a który z uczniów powie nam teraz, w jaki sposób rydlem zabija się ludzi? Jest wiele sposobów, Proszę nam wymienić jeden, Najpopularniejszy polega na tym, że powalonymu na ziemię człowiekowi kładzie się stylisko na gardło i nadeptuje obiema nogami, Brawo! więc widząc w ogrodzie rydel wetknięty ostrzem do ziemi będziemy już wiedzieli, że wbrew pozorom nie jest to narzędzie ogrodnicze lecz, no? lecz co? Na-rzę-dzie-do-za-bi-ja-nia-lu-dzi! Bardzo dobrze, w ten sposób, chłopcy, nauczyliśmy się coś niecoś o relatywizmie poznania, w następnych lekcjach przekonamy się, że filozofia kryje dla nas

jeszcze niejedną tego rodzaju niespodziankę, samochód, chyba do obozu, może mnie podrzuci?

— *Going to the camp? Hop in!*

— *Thanks.* — Miałem szczęście, na piechotę zajęłoby mi jeszcze dobre pół godziny, ściemnia się, co to jest tam? kamieniołomy? żwirowisko jakieś? nie widać, obóz, wieże strażnicze, brama, *ARBEIT MACHT FREI*, drucziany płot o zakrzywionych betonowych słupach, budynki z czerwonej cegły, też z tej tam cegielni, tu były biura, życie i śmierć to nade wszystko fakty z dziedziny księgowości, bilans dnia, bilans tygodnia, miesiąca i tak dalej, po jednej stronie żyjący, po drugiej już zabici, co tydzień bilans trzeba przesać do centrali w Berlinie, plan zabicia tylu a tylu tysięcy został albo nie został wykonany, jeśli nie wykonany, podać przyczyny, zabrakło cyklonu, zatem zawinił oficer zaopatrzeniowy, zawołać go tu, niech się wytłumaczy, dlaczego zaniżył zapotrzebowanie? Nie przypuszczałem, że nabór materiału więziarskiego będzie tak duży, To nie jest żadne wytłumaczenie, pan jest od tego, żeby poprawnie kalkulować prawdopodobne zapotrzebowanie w oparciu o naukową analizę wykonania planu w okresie poprzednim, analiza zaś to przede wszystkim umiejętność dostrzeżenia trendu, robiliście przecież odpowiednie wykrysy, Robiliśmy, No więc? jeszcze jakie inne przyczyny tego karygodnego zaniedbania? Była awaria w piecu krematoryjnym, Proszę wyjaśnić, Nie potrafiłem się tego dnia skupić w pracy, poprzedniego wieczoru musiałem odwiedzić najmłodszą córeczkę do szpitala, strasznie mnie to przygnębiło, Nie można było poprosić o zwolnienie? a tu po lewej stronie stało podium dla orkiestry, kiedy kolumny wracały z pracy, orkiestra grała rażnego marsza, tu właśnie grupowała się administracja obozu, raz po raz któryś z oficerów wyciągał kogoś z szeregu i zabijał możliwie jednym uderzeniem pałki, Schrzaniłeś, Kurt, cztery ciosy na jednego więźnia? daj, ja ci pokażę, najgorsze było to, że nikt z nas nigdy nie wiedział według jakiego kryterium danego dnia zabijają.

— *Have a piece of chewing gum!*

— *No, thanks. I don't use it.* — Oleńka powłóczyła nogami, kolumna wkroczyła do bramy, Oleńka zebrała wszystkie swoje siły, wyprostowała plecy, podniosła głowę, nie może dać po sobie poznać, że jest wycieńczona, z drugiej jednak strony nie należy robić wrażenia, że się nie jest zmęczoną, by tego nie poczytano za butę i hardość, najlepiej byłoby się zapaść pod ziemię, ale to jest niemożliwe, dostrzegła kątem oka jak jeden z oficerów występuje naprzód i zgiętym palcem kogoś przywołuje do siebie, Mnie, pomyślała struchlała, zrobiła krok na bok, ktoś szarpnął ją za łokieć, Nie ty! szybko wskoczyła z powrotem do szeregu.

— *OK! Here we are!*

— *Thanks a lot.*

— *Pleasure, lieutenant, sir. Glad to have been of service.*

Plac apelowy, wokoło baraki, między barakami rozwieszona bielizna, przed drzwiami, jak na wiejskiej przyzbie, wypoczywają ludzie, nawet tu trochę dzieci, a krzyczą jakby ich było nie wie-dzieć ile, posadzić drzewa, wznieść po jednej stronie kościół, jeszcze pompę na środku postawić, będzie jak rynek w jakimś naszym prowincjonalnym miasteczku, może za duży jak na rynek i zbyt dobrze zabrukowany, chłopak jedzie na rowerze, dziecko lepi babki z piasku, kobieta patrzy na niebo, od strony krematorium nadciąga czarna chmura, może będzie deszcz, trzeba zdjąć pranie ze sznura, kapo z pałą w rękę wbiegał na salę, pędził ko-rytarzem między pryzkami, z pianą na ustach krzychał *Schneller! schneller!*, walił na kogo padło po plecach, po głowie, gdzie się dało, ludzie, złorzecząc jeden drugiemu, cisnęli się do drzwi, ale i po wyjściu z baraku nie kończyła się nasza udręka, tu czekali z kolei inni kapo i okładali każdego wychodzącego kijem, wśród piekielnego wrzasku i niekończącego się bicia ustawiamy się na placu, powoli dzięki nieustrudzonej pracy zziających kapo zaryso-wują się formacje, którym bicie i kopanie zapewniło należytą symetrię, na skraju placu oficerowie czekają na sygnał do rozpo-częcia apelu, ręce w skórzanych rękawiczkach, czyści, wygoleni, pachnący wodą kolońską, aby zabić czas zabawiają się nieobo-wiązującą rozmową, Dobry koncert wczoraj w radio, Żona pisze, że ząb ją znowu boli, będzie musiała złożyć wizytę u dentysty, Coś mój żołądek ostatnio niedomaga, ciągle mi się odbija, żenują-ce, zwłaszcza w towarzystwie, Ja zawsze miałem kłopoty z wą-trobą, tłustego mięsa w ogóle mi nie wolno, No proszę panów, czas! oficerowie przechodzą wzdłuż szeregów, Co z tym więz-niem? dlaczego tak głowę przekrzywia? zapisać numer, do pieca! To odbijanie się w żołądku, wie pan, drogi przyjacielu, to może być nadkwasota, nie radziłbym lekceważyć, drobnostka a potrafi życie zamienić w istną kalwarię, niech mi pan wierzy, sam swego czasu na tę dolegliwość cierpiałem, A temu co jest? dlaczego mu usta drżą? zapisać numer, do pieca! Powinien pan zażywać węgiel drzewny, w niektórych wypadkach pomaga, tak, rumuński lekarz, który pracował w Sonderkomando, zeznawał w procesie Kramera, że do jego codziennych obowiązków należało przygoto-wanie trupów na spalenie w dołach insyneracyjnych, wyjaśnił są-dowi jak to się odbywało, układano najpierw warstwę drzewa, na to kładziono warstwę trupów, warstwę drzewa i znowu warstwę trupów, taki przekładaniec, całość polewano benzyną i pod-palano, z boku wzdłuż dołów bieżyły specjalne rowki, do których

ściekał tłuszcz, w ten sposób, powiedział sądowi, można było w przeciągu zaledwie jednej godziny spalić tysiąc ludzi, co było dużym postępem w porównaniu z piecami krematoryjnymi, których mała przepustowość była notorycznie znana i przyprawiała wielu ludzi w Berlinie o uciążliwe bóle głowy, na spalenie w nich jednego tysiąca trzeba było całego dnia, No, tak, przy tak ślimaczym tempie nigdy byśmy całej ludzkości nie spalili, ostatecznie jest tego dwa i pół, czy nawet trzy i pół, miliarda, w każdym razie wniosek taki, że w przyszłości będziemy musieli znacznie ulepszyć metody szybkiej likwidacji zwłok, inaczej nie podołamy postawionym nam przez historię zadaniom, *ist das verständlich?* — Przepraszam. Szukam księdza Florczaka.

— Na końcu placu, tam gdzie krzyż nad wejściem do baraku.

— Dziękuję. — Więźniowie stojący na apelu oglądali piękny krajobraz roztaczający się poza drutami, latem widzieli kwitnące zboża, słyszeli świergotające w drzewach ptaki, jesienią też tu było nadzwyczaj ładnie, na polach paliły się ogniska, dzieci pasły krowy, piekły kartofle, puszczały latawce, na placu trwała selekcja, w dołach insyneracyjnych kładziono nową warstwę trupów i oczyszczano rynienki aby umożliwić sprawne spływanie tłuszczu, z nastaniem zmierzchu chłopak zapędzał krowę do obory, wracał do domu, z otwartych drzwi kuchni buchał weń ciepły zapach jedzenia, mama obejmowała go troskliwym spojrzeniem, czy aby nie zmarzył? Wypij szklankę gorącego mleczka, dobrze ci zrobi, Trzecia Rzesza potrzebuje zdrowych dzieci, jak podrośnie, pójdzie pracować do obozu koncentracyjnego, w tym czasie będziemy się już chyba załatwiali z Ameryką i Chinami, tyle milionów ludzi do spalenia, będzie pracy na kilka pokoleń, Smakowało ci mleczko? no to pocałuj mamusię na dobranoc, zmów ładnie paciorek i do łóżeczka spać! niekiedy widzieliśmy młode pary, jak trzymając się za ręce, szły miedziami wśród rozfalowanych łąków zboża, czerwone maki kołysały nam się nad głowami kiedy kładliśmy się w chłód trawy i popędzani gorączką krwi splatali z sobą, wiatr szumiał w zbożu, górą płynęły obłoki, czasami wiatr szedł od obozu i wtedy czuliśmy w nozdrzach swąd palonych ciał, ale zajęci odkrywaniem piękna życia nie zwracaliśmy na to uwagi, dobrze, bardzo dobrze, Teraz, proszę panów, my się z nimi w ten sam sposób rozprawimy, to będzie pomyślane i wykonane jako ściśle wojskowa operacja, zimno, skrupulatnie, skutecznie, przemysł przygotowuje komory gazowe i piece krematoryjne o odpowiednio dużej przepustowości, przy każdym miesiącu liczącym ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców powstaną obóz koncentracyjny, należy opracować dokładne harmonogramy dowo-

zu materiału ludzkiego, co proszę? starcy i dzieci? zabijać na miejscu! i bardzo proszę nie zadawać głupich pytań, względy humanitarne obowiązują jedynie odnośnie do pełnowartościowych ludzi, Niemcy z definicji do nich nie należą, naszym zadaniem jest cały ten naród zlikwidować, należy o tym myśleć jak o akcji tępienia insektów w polu, to tu, jest krzyż, drzwi otwarte, korytarzyk, pokój po każdej stronie, tam w głębi będzie kaplica, zgadza się, krzesła, stół na małym podniesieniu służy za ołtarz w czasie mszy, nad nim obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, Dalej, proszę panów, każdy obóz zorganizuje w własnym zakresie orkiestrę symfoniczną, która będzie dawała codziennie koncerty w pobliżu krematorium, zresztą, co ja wam będę mówił? studiujcie metody, jakie Niemcy stosowali w czasie wojny, orkiestra będzie grała Moniuszkę i Szymanowskiego, co? rzeczywiście, ma pan rację, panie kolego, nie można gazować i palić ludzi przy akompaniamencie arii z kurantami, jeszcze się wobec tego nad tym zastanowimy, ostatecznie niech grają Wagnera, to już w tradycji.

— Pan do mnie?

— Tak. — Jaki to szatan siedzi w człowieku, dla zemsty byłem gotów wymordować pięćdziesiąt kilka milionów ludzi, należy się obawiać, żeby w końcu jednak Niemcy, narzucając nam swoje kategorie myślenia, nie odnieśli nad nami zwycięstwa.

— Proszę, niech pan wejdzie. Proszę, krzesło, pan sobie usiądzie.

— Dziękuję. — Ciemno tu, mógłby zapalić światło, coś tu czuć w powietrzu, alkohol?

— Napije się pan whisky?

— Owszem, bardzo chętnie.

— Amerykańska. W pobliskim amerykańskim obozie wojskowym jest kilku żołnierzy pochodzenia polskiego. Przychodzą tu się spowiadać, przy okazji zwykle podrzucają mi kilka butelek. Tylko niech pan nie myśli, że próbują mnie w ten sposób przekupić. Rozgrzeszenia nie można kupić. Po prostu chłopaki mają dobre serce. Zdrowie! Pan skąd? Z Włoch? Z Anglii?

— Z Anglii.

— Przyszedł pan się wyspowiadać?

— Nie, proszę księdza, nie do spowiedzi. Ja bardzo rzadko, nie pamiętam, kiedy byłem ostatni raz.

— Nic nie szkodzi. Każda chwila jest dobra, żeby się pogodzić z Bogiem.

— Czasami kiedy byliśmy na froncie przyjeżdżał do nas ksiądz i spowiadał. Też mnie ciągnęło, żeby pójść, ale w końcu zawsze rezygnowałem.

— Czemuż to?

— Przez tyle lat unikałem konfesjonatu, teraz nagle, bo idę do akcji i mogę zginąć, nie, to byłby czysty oportunizm.

— Rozumiem. Ale zbyt wiele skrupułów w tych sprawach, proszę pana, czy ja wiem, czy to jest lepsza polityka od prostego zaufania Bogu i zdania się na Jego łaskę? Nalać panu jeszcze? Czy pan się dziwi, że ja piję?

— Nie ma się co dziwić. Każdy mężczyzna czasami pije.

— Przed wojną nigdy nie piłem. Dopiero po wyzwoleniu obozu. Wie pan, kiedy tu przyszli Amerykanie, powróciłem do moich funkcji kapłańskich. Miałem znowu nieść ludziom pociechę duchową, kazać im słowo boskie. Ale to bardzo trudna sprawa. Nie czuję się godny pełnienia tak wysokiej funkcji, więcej, nie wiem czy w ogóle mam do niej prawo. Nie jeden raz widziałem jak esesmani wrzucali żywe dzieci na płonące stosy trupów. Dzieci płacząc z przerażenia człogały się po zwalach nagich ciał dopóki nie ugrzęzły w rozpuszczającej się masie i nie ogarnął ich płomień. Wszystko co dzieje się na świecie ma boski sens, na czym jednak ten sens polega? Mówimy, że nasz los znajduje się w mądrych i dobrych rękach Boga. Przez szereg lat pędzono tu tysiące ludzi do komór gazowych. Czy ci ludzie też byli przekonani, że ich los znajduje się w mądrych i dobrych rękach Boga? Widzi pan, ile to pytań, i gdzie szukać na nie odpowiedzi?

— Więc ksiądz przestał wierzyć w Boga?

— Nie, ale bardzo trudno wytłumaczyć zarówno sobie jak i innym ludziom dlaczego Bóg zezwala na tak wszechwładne panowanie zła. Zawsze myślałem, że z pomocą łaski boskiej można się oprzeć złu, ale teraz nie jestem tego pewien. Opowiem panu coś. Do obozu trafiłem nie jako ksiądz. Zagarnęli mnie w ulicznej łapance, kiedy miałem na sobie cywilne ubranie, to mnie uratowało, bo gdyby wiedzieli, że jestem księdzem, to by mnie prosto do gazu. Przez cały czas tutaj przed nikim się nie zdradziłem, że jestem księdzem. Ze strachu, oczywiście. Ale przed ludźmi nigdy się wszystkiego nie ukryje. A może księża wydzielają jakiś zapach specyficzny tylko dla ich profesji? Był u nas na sali starszy już człowiek, który się czegoś domyślał. Unikałem go. Kiedyś zachorował, wykaraskał się, ale niewiele życia i tak mu już zostało, coraz bardziej mużłmniał, należało się spodziewać, że wkrótce wezmą go na zaszprycowanie albo do gazu. Leżał na pryczy z twarzą zawsze skierowaną ku mnie, z wyrazem prośby i wyrzutu w oczach. Pewnego razu rozeszła się wieść, że następnego dnia będzie wybórka. Wieczorem mużłman zwłókł się z pryczy, podszedł do mnie, mam go wypowiadać. Wyśmia-

łem go, jak mogę go spowiadać, do tego trzeba księdza! Zaczął krzyżeć, że jestem księdzem, nie wolno mi odmówić, jutro idzie na śmierć, wpadł w jakiś szal histerii i nie można go było uspokoić. Wszyscy na sali zamilkli. Na progu stanął kapo. Nie miałem pewności, czy usłyszał cokolwiek, ale rąbnąłem mużułmana pięścią w szczękę, żeby przerwać potok jego słów. Trochę za mocno, przewrócił się na ziemię. Kapo zbliżył się do nas, wetknął mi swoją pałkę do ręki, powiada: „Masz, przekonaj go, że oszczerstwa o tobie prawi”. Ścisnąłem w rękę pałkę i czułem jak w moim sercu wzbiera nienawiść do wszystkiego i wszystkich, do całego świata, wszystkiego istnienia. Coś krzyżało we mnie, żeby uderzyć, w tym jedyny mój ratunek. Jeszcze coś odczuwałem, ale dopiero potem w pełni to sobie uświadomiłem. Poczujęm w sobie moc. Mogłem bezkarnie zabić człowieka. Rozumiem łatwość i gorliwość, z jaką Niemcy poddali się tej pokusie. Zabić drugiego człowieka bezkarnie to nie tylko rzucić wyzwanie Bogu, to zredukować Go do poziomu fikcji, zdemaskować Jego absolutną bezsilność tam, gdzie idzie o sprawy ludzkie. Mużułman zdźwignął się na łokciach, wbił we mnie oczy i powtarzał bezmyślnie: „O Jezu! O Jezu!” Kapo warknął na mnie: „No zatłuczesz go czy nie?” i podskoczył do mnie z pięścią. Podniosłem pałkę. Czy to ja ją podniosłem? Nie wiem. Dość, że w pewnej chwili uzmysłowiłem sobie, że trzymam w rękę pałkę podniesioną do ciosu i że w następnej sekundzie ona spadnie na głowę mużułmana. Nagle opuściłem rękę, zacząłem płakać. Kapo ryknął ze śmiechu, wyrwał mi pałkę, powiada: „Ja go zarąbuję, ty, przyznając się, że jesteś księdzem, możesz go uratować!” Chciałem się przyznać, ale struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa. Kapo co chwila przerywał bicie, patrzył na mnie z wesołymi ognikami w oczach, on wiedział, co się we mnie dzieje, on mnie przejrzał, wiedział, że nie jestem lepszy od niego. Przerywał bicie i pytał: „Miał rację?” Jest pewna granica w naszych międzyludzkich stosunkach, której nie wolno przekraczać. Normalny człowiek rozumie to instynktownie i nie dopuszcza, o ile to jest w jego mocy, do zaistnienia takich sytuacji, gdzie człowiek dociera do tego krańca. Ten instynkt mnie uratował. Na drugim końcu sali wszczęto awanturę, ktoś krzyknął, że jakiś oficer idzie przez plac w kierunku naszego baraku. Kapo momentalnie zapomniał o mnie, należało natychmiast przywrócić porządek i spokój w baraku. Alarm, oczywiście, okazał się fałszywy, ale kapo był już wyczerpał swoją złość i obsypawszy salę zwykłą porcją wyzwisk i przekleństw, wrócił do swojego pokoju. W nocy położyłem się obok mużułmana, mówić już nie umiał, szczękę miał pękniętą w kilku miejscach, język pogryziony do krwi, spuchnięty, ale

rozumiał co do niego mówię. Modliłem się przy nim, dałem mu, jeśli ono było co warte, rozgrzeszenie. Złapał mnie kurczowo za dłoń i trzymał dopóki nie zasnął nad ranem. Następnego dnia wzięli go na izbę chorych i zaszprycowali. Jeszcze troszeczkę whisky?

— Ale naprawdę tylko troszeczkę, dziękuję bardzo.

— Dwie rzeczy mnie męczą. Ten muzułman. Byłem bezpośrednim sprawcą bicia, jakie odebrał od kapo, przyczyniłem się do jego przedwczesnej śmierci. Czasami sobie tłumaczę, że tak czy owak byłby wkrótce umarł. Jako katolik muszę jednak wierzyć w możliwość cudu. Odebrałem Bogu szansę sprawienia cudu. I druga rzecz. Gdyby na końcu baraku nie wywołano sztucznej awantury, to co? Niekiedy myślę, że byłbym się jednak przyznał i uratował tego człowieka. Ale tak naprawdę to nie wiem. Coś mi mówi, że należy wątpić, czy potrafiłbym przełamać strach, nie wiem, kwestia już na zawsze pozostanie otwarta. Nie, proszę pana, w Boga nie przestałem wierzyć, w siebie, w prawo reprezentowania Go wobec bliźnich. Jeszcze jeden łyk?

— Nie, dziękuję. Proszę księdza, ja tu przyszedłem w pewnej konkretnej sprawie.

— Grzecznie daje mi pan do zrozumienia, że za długo głądziłem. Wie pan, nikomu z wyjątkiem mojego spowiednika nigdy o tym nie mówiłem. Gdy zobaczyłem pana, obcy człowiek, prawdopodobnie więcej się w życiu nie zobaczymy, coś się we mnie otworzyło, odezwało się we mnie pragnienie ulgi. Pan mi tego nie ma za złe, prawda? W konkretnej sprawie, powiada pan, mianowicie?

— Poszukuję żony. Powiedziano mi, że ksiądz prowadzi własne biuro poszukiwań.

— Biuro poszukiwań, proszę pana, to za dużo powiedziane. Mam trochę kontaktów z księżmi po innych byłych obozach, czasami uda mi się komuś pomóc. Pan szuka żony. Jak nazwisko?

— Aleksandra Niesztorowa. Była w obozie od czterdziestego trzeciego do samego końca.

— Aleksandra Niesztorowa? Zajrzę do moich zeszytów. Tylko wpiery zapalę światło. To nie powinno być trudne, wszystko tu mam podług alfabetu. Aleksandra Niesztorowa. Nie, takiej osoby u mnie nie ma.

— Może Szamborska? To jej panięńskie nazwisko.

— Obawiam się, że muszę panu sprawić zawód. Też nie ma.

— Nic nie szkodzi, proszę księdza. Właściwie sam tego się spodziewałem, ale przyszedłem, bo a nuż?

— Oczywiście, to wcale nie znaczy, że nie będzie jej można odszukać. Najlepiej się zwrócić do Czerwonego Krzyża. A swoją

drogą niech pan mi zostawi swój adres, gdybym się czegoś dowiedział, napiszę panu.

— Proszę bardzo. A teraz już sobie pójdę. Dziękuję księdzu i przepraszam, że tyle czasu mu zabrałem.

— Nie, proszę pana, to ja panu z całego serca dziękuję. Niech pana Bóg prowadzi.

— Do widzenia. — Nareszcie trochę świeżego powietrza, teraz trzeba się jakoś dostać z powrotem do miasta, czy ja bym zabił, gdybym był na miejscu księdza? nie wiem, Bogu dziękować, że nigdy nie stanąłem wobec takiego dylematu, To twój przyjaciel? Tak, Masz go zabić! Nie! nie zabiję! esesman śmieje się, bat zatyka za pas, odpina kaburę pistoletu, Jeśli go nie zabijesz, ja ciebie zastrzelę, jesteś katolikiem, religia katolicka dopuszcza zabójstwo w wypadku samoobrony, nawet nie będziesz miał grzechu, a jaką mam gwarancję, że jeśli zabiję, to on mnie i tak nie zastrzeli? zaraz, powolutku, coś tu niedobrze, to jest rozumowanie toczące się po bardzo śliskiej drodze, bo jakto, zabiłbym, gdybym wiedział, że tym samym ujdę z życiem? jeśli nie wykonam rozkazu, zgine, no dobrze, ale przynajmniej moja śmierć nie będzie daremna, skoro uratuje życie przyjacielowi, Nie, powiada esesman, takiej pewności nie możesz mieć, popełniasz błąd przypisując mi prawidła własnej logiki, mnie one nie obowiązują, mogę z tobą, z twoim przyjacielem, z wami wszystkimi, zrobić co tylko mi się spodoba, moim postępowaniem rządzi tylko moja niczym nie ograniczona wola, moją wolą zaś chwilowa zachcianka, Więc cokolwiek bym zrobił, wszystko będzie zupełnie absurdalne, Z twojego punktu widzenia tak, trzeba się zastanowić, musi być jakieś wyjście, zrobimy tak, podnoszę łopatę i z rozmachem spuszczam ją na łeb esesmana, rozłupałem mu głowę, do przyjaciela krzyczę, żeby uciekał, sam podnoszę z ziemi pistolet, który esesmanowi wypadł z ręki, wkładam sobie do ust, pociągam za spust, wygrałem! Figa z makiem, kochasiu! Dlaczego? Bo teraz my rozstrzelamy nie tylko twojego przyjaciela, który i tak nie miał żadnej szansy ucieczki, ale całą brygadę, Jakto? No zwyczajnie, powiedział ci przecież mój kolega, którego zabiłeś, że nas nie obowiązują twoja logika, zabijając esesmana, popełniając następnie samobójstwo, nie tylko nie uratowałeś życia przyjacielowi, ale skazałeś na śmierć innych ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z twoją zasraną moralną rozterką, racja, żadnego więc wyjścia, oszaleć można, w bramie obozu stoi ciężarówka, przyjechała dopiero czy odjeżdża? chyba odjeżdża, maską skierowaną na drogę, kierowca grzebie przy silniku, przyświeca sobie kieszonkową latarką, powinienem zdążyć zanim skończy, powiedzmy, że Oleńka znalazła się w takiej sytuacji i zabiła,

teraz mi o tym mówi, problem, już nie teoria a praktyczne zagadnienie, będę z nią żył, spał i nigdy nie będzie mnie opuszczało pytanie, czy, gdyby jej kazano zabić mnie, zabiłaby? niemożliwa sytuacja? — Pan do miasta?

— Chce pan się zabrać? Minutkę!

— Może pomóc?

— Nie trzeba, zaraz kończę.

Niemożliwa sytuacja? wszyscy odtąd musimy się liczyć z tym, że któregoś dnia ktoś może nas bezkarnie i bezcelowo zabić, jak również i z tym, że ktoś może od nas zażądać, żebyśmy bez powodu zabili drugiego człowieka, to, co przez pięć lat działo się w obozach koncentracyjnych, w przyszłości może się dziać w kawiarni, w sklepie, na ulicy w czasie odprowadzania dziecka do przedszkola, stanie się normą życia codziennego, nadeszła epoka absurdałnej zbrodni, taki kierowca, w mieście czeka na niego dziewczyna, umówili się do kina, na dansing, i oto nagle jego cały dotychczasowy świat się kończy, mam rozkaz go zabić, jeśli go nie zabije, rozstrzelają dziesięciu, stu, tysięcy innych, i kto nie dopuścił jeszcze możliwości znalezienia się w takiej sytuacji, nie może o sobie powiedzieć, że zmierzył się z centralnym zagadnieniem dwudziestego wieku, nawet nie rozumie na czym ono polega.

— No to już, włącz pan!

Co teraz zrobimy z tymi Niemcami? coś trzeba przecież z nimi zrobić, nie można nad ich zbrodniami przejść do porządku dziennego, jednostki zostaną ukarane, a reszta? nasze prawo nie przewiduje zbiorowej odpowiedzialności narodu, wściekłego gada trzeba po prostu zniszczyć, ale jak zniszczyć cały naród? nie można, no można by, pewnie, można by wygazować, spalić, Niemcy nawet nie mogliby do nas mieć o to pretensji, byłoby to tylko spłacenie długu tą samą monetą, jaką oni nam płacili, to jest jednak nie do pomyślenia, w końcu więc chyba przyjdzie nam zdobyć się na akt chrześcijańskiego miłosierdzia i wybaczyć im, zapomnieć, nie, tego nie mogą po nas oczekiwać, im też nie będzie wolno tego zapomnieć, światło po domach, ludzie spობią się do snu, Nie zapomnij, dziecino, umyć zębów przed położeniem się do łóżka! za piętnaście lat, patrząc z okna na resztki obozu, dziecko zapyta, co to jest? nawet nie za piętnaście, ojciec będzie się starał wykręcić od odpowiedzi, lecz dziecko prędej czy później i tak dogrzebie się prawdy, wtedy padnie następne pytanie, A ty, tatusiu, co robiłeś w czasie wojny? nie chciałbym być Niemcem, żyć z takim garbem na plecach, nie móc spojrzeć w twarz własnym dzieciom, chyba że się zdobędą na szczerłość, Tak, ja, twój ojciec, też popełniałem te zbrodnie, ja, twój ojciec,

proszę cię o przebaczenie, bo inaczej powstanie przepaść między pokoleniami, której nic nie zasypie, bo zbrodnia nie nazwana jest jak trucizna, Nie zapomnij, dziecko, umyć zębów przed położeniem się do łóżeczka! potem długo w noc ojciec siedzi w samotności, na nowo pogrążony w piekle, które nieopatrznie ćwierć wieku temu w sobie wyzwolił, zresztą cholera go wie, może on tak już moralnie ścierpnięty, że mu to przeszło w trwały paraliż?

— Dojeżdżamy do rynku. Gdzie pana wyrzucić?

— Gdziekolwiek będzie dobrze.

— No to skacz pan!

— Dziękuję i dobranoc! — Zajdę do kantyny, ależ tych jeepów tu! szofer śpi nad kierownicą, kobiety w mundurach, zgrabne te Amerykanki, teraz mają dopiero wzięcie u mężczyzn, z Niemkami nie wolno, fraternizacja, no tak, ale czego oko widzi, gdybym wtedy nie był puścił Oleńki do Warszawy, nie miałem serca jej zatrzymywać, całymi dniami siedziała u siebie w pokoju jak skamieniała, z okna oko przesuwało się po parku, na kolanach książka, kilka rozciętych kartek, nawet nie czytała, wchodzi, mówię, Oleńko, kochanie moje, przecież tak nie można, cały dzień sama, dlaczego nie zejdziesz na dół? melancholia cię napadnie, stałem za jej plecami, gładziłem ją po głowie, czułem jak pod moim dotykiem cała się kurczy, Pojadę, powiada, na pewien czas do Warszawy, ucieszyłem się, fakt, nawet sobie czytnie wyrzuty, że sam wcześniej o tym nie pomyślałem, oczywiście, niech jedzie, ależ tak, niech jedzie, dwa tygodnie w Warszawie, to jej dobrze zrobi, przewietrzy się trochę, teatry, kina, na koncert do filharmonii, ależ tak, niech jedzie, stoimy na peronie i czekamy na pociąg, unikała mojego wzroku, rozsadał ją jakiś wewnętrzny niepokój, za tym wyjazdem kryło się coś nieodwracalnego, co zamierzała uczynić, czego i ona sama może się bała, pociąg, wniosłem walizki do przedziału, wracam na peron, No za chwilę, Tak, podszedłem bliżej okna, wystarczyło jej trochę głowę schylić, żeby mnie pocałować, nie zrobiła tego, to było tak jakbym już jej nigdy więcej nie miał zobaczyć, a przecież wróciła, zawsze wracała, inna jakaś, wesoła, lekka, beztraska, ale jakby już do mnie nie przynależała, jakby będąc już uniezależniona ode mnie mogła sobie pozwolić na to, żeby być dla mnie dobra, przerażało mnie to, Żebyś wiedział, powiedziała, jakich ja rzeczy nie robiłam, żeby się tego dziecka, Ukarzę cię za to, wyrodna matka, ty! toś ty mi chciała moje dziecko zabić! ach Boże, dlaczego ciągle do tego nawracam, no już przestań, przestań! ile razy sobie przypomnę, tylko bym ręce do jej gardła, nagle w środku zupełnie innej myśli łąpię się na tym, że trzy-

mam palce zaciśnięte na jej gardle, cały się sprężam w sobie, skąd się to we mnie bierze tyle tej złości, tej nienawiści? przecież ja wcale jej nie nienawidzę, jeszcze dziś nieba bym jej przychylił, nawet dziecka nigdy bym przeciwko niej nie obrócił, to dziecko ją kocha i nigdy się nie dowie jaka była jej matka, ani ja, ani nikt inny nie będzie wsączał w jej serce żadnej trucizny, kiedyś jednak będę musiał wszystko Joasi wytłumaczyć, Tatusz mnie przez całe te lata okłamywał! Bój się Boga, dziecko kochane, jak możesz mi coś podobnego zarzucać? ja ciebie okłamywałem? w czym? domyślał się, co mi powie, zawsze drżałem na myśl, że kiedyś stanie przede mną w roli oskarżyciela, z twarzą zmienioną przez cierpienie, przed którym mimo wszystkie moje wysiłki nie zdołałem jej ochronić, wszystko zdało się na nic, gorzej, obróciło się przeciwko mnie, Tatusz zawsze mówił, że mamusia zginęła w obozie, Tak, mówię powoli, tak istotnie było, mówię powoli cedząc każdą zgłoskę, spychając w dół nagły popłoch, który podłaził mi do ust, twoja mama umarła w obozie, Tatusz kłamał, mamusia żyje, dostałam od niej list, mieszka w Francji, dlaczego tatusz nie chciał, żeby ona do nas po wojnie wróciła? sama tatusiowi na to odpowiem, bo tatusz jej nigdy nie kochał! co by tu wziąć? no co mają? pieczeń wołowa, dobrze, może być pieczeń wołowa, do tego kartofelki z jarzynką, świetnie.

— *And a bottle of beer, please.*

— *Pay at the cash desk.*

— *Right.* — Pociąg zatrzymuje się, w wagonie pod ścianą leży troje nieżywych ludzi, powietrze przesycone smrodem ludzkiego kału, mocz, kobieta na głos odmawia litanię do Matki Boskiej, okrzyki z zewnątrz, widocznie jesteśmy na miejscu, słychać ujadanie psów, Co się stanie z Joasią? Wszystko będzie dobrze, mówię, mama się nią zaopiekuje do naszego powrotu, otwierają wagony, trzeba się zorientować w sytuacji, gdzie jesteśmy? żołnierze uzbrojeni w automaty, dwóch oficerów z pejcami w rękę, Oleńka, pamiętaj, cokolwiek się stanie, masz się mnie trzymać, na krok nie wolno ci się ode mnie oddalić, zeskakujemy na rampę, ludzie mdleją przy nagłym zachłysnięciu się świeżym powietrzem, Oleńka ślania się na nogach, wzdłuż pociągu stoją żołnierze z karabinami i psami, z prawej wysoki żywoplot, ustawiają nas w czwórki, ludzie płaczą, przekrzykują się wzajemnie, gdzieś zgubiło się dziecko, Spokojnie, Oleńka, jeszcze nic nie wiadomo, tylko trzymajmy się razem, powoli ruszamy naprzód, kolejarz dmie w gwizdek, maszynista wychyla się z okna lokomotywy, z głośnym sapnięciem, z kłębami pary wydobywającej się spod kół parowozu pociąg cofa się do tyłu, zwołna odsłania się przed nami zasłonięty przedtem widok, druty

kolczaste, wieże strażnicze na wysokich słupach, z których mierzą w nas karabiny maszynowe, żółtym krokiem posuwamy się do przodu, szmer potężniejszej z chwili na chwilę modlitwy przebiega przez kolumnę, na przejeździe kolejowym oficerowie rozdzielają tłum na dwa strumienie, jeden odchodzi na lewo w stronę zagajnika, znad którego nieprzerwanie wznoszą się w górę zwały czarnego dymu, drugi na prawo przez przejście w żywopłocie, Nie bój się, Oleńka, oczy esesmanów myszkują po niej, znak pejczem, na lewo! Oleńka rzuca na mnie przerażone spojrzenie, udaje, że nie widzę, nie powinna, oni nie mogą się domyślać, że nam zależy na tym, aby być razem, specjalnie nas rozdzielą, teraz ja, gest pejczem na lewo, udało się, już na zawsze będziemy razem, już nic nas nie rozłączy, droga obrzeżona krzewami rozszerza się w okrągły placyk zamknięty na końcu przysadzistym budynkiem o jednodrzwiowym wejściu, w drzwiach wziernik ze szkła, esesmani odliczają szeregi, potąd! my pójdziemy w następnej kolejności, Oleńko, mówię, to już koniec, rozumiesz? potakuję głową, w oczach lśnią łzy, sięgam ostrożnie do kamizelki, Ale nic się nie bój, oni nie są w stanie nam zrobić nic złego, włóż to do ust, ale jeszcze nie rozgryzaj, trzeba żebyśmy razem, obejmij mnie, przyciśnij do siebie, zawsze, mówię, zawsze cię kochałem, Oleńko, popatrz mi w oczy, kochałaś mnie jednak, prawda? Kochałam, Romku, przebac jeśli czasami, Nie, nie, to nie jest ważne, nie ma nic do przebaczenia, przyciśnij mnie do siebie, pocałujemy się i razem zgryziemy fiołki, śmierć jest natychmiastowa, słyszę chrupnięcie, którym nagryza swoją fiołkę, teraz nagryzę moją, nie! nie! ja chcę żyć! wypływam fiołkę, Oleńka pada na ziemię, tylko nie patrzeć na nią! ale nie mogę się powściągnąć, wbija we mnie szeroko otwarte oczy, Zabijeś mnie! zawsze chciałaś się mnie pozbyć! nie smakuje mi to jedzenie, papierosa zapalę, jeszcze co w tej butelce zostało? nie, trzeba przynieść nową, czy tu się odnosi talerze? chyba nie, nikt nie, nie widzę nikogo żeby odnosił, zostawię. — *A bottle of beer, please.*

— *The other counter.*

Racja, zapomniałem, przy drugim bufecie. — *I'll have another bottle of beer, please.* — A potem co? potem? potem wyrывam się z szeregu i do tych oficerów na przejeździe, Znalazłem się tu przez pomyłkę, wszystkim wyznam, tylko mnie nie zabijajcie! prowadzą mnie do kancelarii, spisują protokół, po kilku dniach odsyłają mnie do Warszawy, ręce mam wprawdzie skute kajdanekami, ale tylko jeden żołnierz mnie eskortuje, to nie będzie żaden problem, po drodze pociąg się gdzieś zatrzyma albo przynajmniej zwolni, wtedy ja tego żołnierza, już sobie obmyśliłem jak to

zrobię, stoi przy oknie, podejść do niego z tyłu, zarzucić ręce przez głowę, kajdankami go uduszę, potem przez okno, przez pola do najbliższej wioski, tam mi przecinają kajdanki i jestem wolny! i niech mi kto teraz powie, że ja nie jestem skurwysyn! włosy człowiekowi stają na głowie, jak spojrzy w głąb siebie, przecież Bóg mi świadkiem, że nigdy bym czegoś podobnego

— *Anyone sitting here?*

— *What?*

— *I said anyone sitting here?*

— *No, go ahead, take it.*

— *You speak very good English.*

— *Why shouldn't I? What am I, a monkey?*

— *Okey, okey, you don't have to take it out on me.*

Excuse me.

— *You're welcome.* — Idiota! niech idzie gdzie indziej, mnie zależy? mam rozmawiać z każdym bałwanem, który się przysiadzie do stolika? bezczelność! ja się na nim odgryzam! kto go upoważnił do takich uwag? Kto was upoważnił do? e, daj mu spokój, to biedny człowiek, widzisz przecież, że wieśniak jakiś, trzeba sobie nerwy oszczędzać, już i tak strzępy z nich tylko zostały, czy ja mu zabraniam, żeby się przysiadł? ale niech nie oczekuje ode mnie, żebym mu czas urozmaicał rozmową, idiota! ja na nim mój zły humor wyładowuję! kto go upoważnił do takich uwag? Kto was upoważnił do? ależ zajoba znowu dostałem, no już koniec, koniec! trzeba wracać do hotelu, a nuż Oleńka? mało prawdopodobne, ale mimo to, Zawsze, powiedziałem jej, będę przy tobie gdy będziesz mnie potrzebowała.

— *A whisky, please.*

— *Soda? Water?*

— *Soda, please.* — Ten człowiek tam, przecież to, zaraz, zgubił mi się, gdzie on? tam jest, niemożliwe, żeby to był on, zauważył mnie, idzie do mnie.

— Pan Niesztor, prawda? No niech mi pan nie mówi, że się pomyliłem. Nie poznaje mnie pan? Kostelnicki.

— Rzeczywiście. W pierwszej chwili...

— Niech pan nie buja, poznał pan od razu, tylko chciał pan udać, że pan nie poznaje.

Ta jego cholerna poufałość, niech zdejmie rękę z mojego ramienia, bo mu kieliszkiem w pysk rzucę, żadnego wstydu po wszystkim, co między nami zaszło, ja bym nie miał odwagi, honor by mi nie pozwolił, a dla takiego to nic.

— Czego się napijemy? Whisky? No niechże się pan nie wzbrania, to dla mnie taka przyjemność spotkać kogoś z dawnych czasów. *Two double ones, please!* Postoimy czy usiądziemy?

No to *chin! chin!* Ależ się ucieszyłem, nie wyobraża pan sobie, jak się ucieszyłem, gdy pana zobaczyłem. Pan, widzę, w wojsku. U Andersa?

— Maczka.

— Gdzie pana tak urządzili?

— W Normandii.

— Czym pan dostał?

— Z karabinu.

— Ale, widzę, już pan chodzi.

— Chodzę. — To się nazywa mieć kurewskie szczęście, ostatnia osoba, jakiej spodziewałbym się tu spotkać, dwa razy w życiu z nim rozmawiałem, za każdym razem ten człowiek mnie zniewazył, wojna się skończyła, pół świata zjechałem i nie mogę się od niego odczepić.

— Pan mnie nie lubi, prawda, panie Romanie?

— Pan się chyba temu nie dziwi.

— Nie lubi mnie pan, widzę.

Na miły Bóg, czegoż ten człowiek chce ode mnie, żebym mu w pysk plunął? jak można mu to dać odczuć jeszcze wyraźniej?

— Lepiej o tym nie mówić.

— Myślałem, że ta wojna, tyle lat.... Wiem, że postąpiłem w stosunku do pana nietaktownie, ale...

— Nie mówmy o tym!

— Słusznie, stare czasy, panie Romanie, po co sobie robić złą krew z powodu czegoś, co miało miejsce tyle lat temu?

— Nie mówmy o tym!

— Ależ pan rozeźlony na mnie!

— Dziękuję za whisky. Pan wybaczy, że się nie zrewanżuję. Już muszę iść.

— Gdzie się panu tak śpieszy? Do Oleńki?

Nie, to już, tego to już za dużo, przecież, czy ja go mam własnoręcznie zamordować, żeby wreszcie zniknął z mojego życia?

— Ona tu jest?

— Myślałem, że panu o tym wiadomo.

— Nie. Wiedziałem tylko, że była tu w obozie, ale... No i jak? Niech pan powie, co z nią jest? Jak żyje? Dlaczego...

— Wiem, panie Romanie, o co chciałby pan zapytać, ale cóż mogę panu powiedzieć? To są pańskie prywatne sprawy, do których nie chcę się mieszać.

— Czy może pan mi dać jej adres?

— Warburstrasse 41. W podwórzu jest taka stara oficyna, ona tam mieszka.

— Dziękuję. Gdzie to jest? Daleko stąd? W której stronie miasta?

— Niedaleko. Odprowadzę pana. Też idę w tym kierunku.

— Nie chciałbym pana kłopotać.

— Żaden kłopot, panie Romanie.

Przestań mnie, człowieku, nazywać po imieniu, bo mnie już krew zaczyna na to zalewać. — Wobec tego chodźmy. Niech mi pan powie, czy Oleńka jest zdrowa.

— O tak, zdrowa.

— Pan też był tutaj w obozie?

— Byłem w obozie, ale nie tutaj, bardziej na północ. Panie Romanie, chciałbym panu coś powiedzieć, ale bardzo proszę, żeby pan mnie źle nie zrozumiał. Nie chcę, już panu powiedziałem, wtrącać się w pańskie prywatne życie, ale narzuca mi się mimo woli pytanie, czy aby pan dobrze zrobił przyjeżdżając tutaj.

— Wolałbym, żebyśmy na ten temat nie rozmawiali.

— Mnie chodzi o Oleńkę.

— A mnie o nią nie chodzi?

— Pan jej od szeregu lat nie widział.

— No więc?

— Niech mi pan pozwoli być z panem szczerzy. Pan sobie chyba zdaje sprawę, że wiem, jak wyglądały stosunki między panem a Oleńką jeszcze przed wojną. Otóż gdybym był na pana miejscu...

— Co pan może wiedzieć? Nie jest pan na moim miejscu i nic pan nie może wiedzieć.

— Niech pan jednak pozwoli. Gdybym był na pana miejscu, proszę wybaczyć szczerzość, ja bym ją zostawił w spokoju, wcale bym się jej przed oczy nie pchał. Żałuję teraz, że dałem panu jej adres. Zależy mi na tym, żeby Oleńka więcej nie cierpiała.

— Pan nie ma prawa do mnie tak mówić.

— Oleńka pogodziła się ze swoim losem, dlaczego jej mącić spokój, wystawiać ją na nowe wstrząsy?

— Nie prosiłem pana o radę.

— Oleńka nie jest już tą samą osobą, którą pan zachował w pamięci. Ludzie, którzy przeszli przez obóz, zmienili się, na każdym z nich obóz wycisnął niewymazalne piętno i dzisiaj trzeba mieć dużo wyrozumienia, współczucia, żeby...

— Cała ta rozmowa mi się nie podoba. Byłbym panu wdzięczny, gdybyśmy w ogóle przestali rozmawiać.

— Chciałbym pana tylko uprzedzić, żeby, gdy pan ją zobaczy, niczemu się panu nie dziwił. Pan nie ma pojęcia co obóz robił z ludźmi. Tam trzeba było żyć, żyć za wszelką cenę, a proszę mi wierzyć, jest mało rzeczy na świecie, których by człowiek nie zrobił, aby się tylko utrzymać przy życiu.

— Jeśli pan ma mi coś konkretnego do powiedzenia, niech

mi pan to powie otwarcie, nie lubię takiego bawienia się w ciuciu babkę.

— Nie, panie Romanie, nic panu nie powiem. Tylko powtórzę moją radę. Niech pan się niczemu nie dziwi gdy pan ją zobaczy. Tu skręcimy na prawo. Już niedaleko.

— Co pan? Dlaczego pan się tak nagle zatrzymał?

— Nic, nic, myślałem tylko, zdawało mi się, że, ale to nic, mniejsza o to, po prostu nie lubię takich pustych ulic, nigdy nie wiadomo na kogo się można nadziać. Chodźmy dalej.

On się czegoś nagle przełęknął, tych trzech facetów, którzy idą z naprzeciwka? stanął akurat gdy byli pod latarnią, ciekawe, no co? znowu ta jego łapa na moim ramieniu — Co jest?

— Może teraz przejdziemy na drugą stronę, będzie nam bliżej. Odprowadzę pana do rogu, stamtąd będzie pan miał dosłownie dwa kroki.

Zaraz, co on? co się stało? czegoż ci ludzie z nim? — Puść pan!

— Spokojnie, tylko niech pan nie wrzeszczy!

— Zabili go? Zabili? Ależ, panowie, przecież...

— Pan go znał, tego gościa?

— Trochę sprzed wojny, ale co to ma do rzeczy?

— Nie wielka dla pana strata. To był skurwysyn, jakiego drugiego święta ziemia nie nosiła. A teraz spierdalaj pan stąd w podskokach, nic pan nie wie, nic pan nie widział, jeśli pan nie chce, żebyśmy i pana pokrajali.

— Ale to przecież był człowiek, nie można tak człowieka...

— Panie, nie słyszał pan, powiedziałem panu, żebyś pan stąd spierdalał, co pan tu jeszcze robi? Jazda!

To jest nie do wiary, odchodzą, za tamten róg skręcili, na moich oczach zabili człowieka, no zabili, gdybym sam nie był świadkiem, gdyby mi ktoś o tym opowiedział, nie uwierzyłbym, no żył, no żył jeszcze chwilę temu, rozmawiał ze mną, i już nie żyje, bagnetem go, tych dwóch przeszło na ten chodnik, trzeci bokiem obiegł i zastąpił drogę z tyłu, wtedy ci dwaj podskoczyli i bagnetem go, nawet nie miał czasu jęknąć, potem do tej wnęki go zaciągnęli i tam dorżnęli, nie, nie mogłem nic zrobić, bo nóż mi podetknął pod gardło, ale dlaczego? coś musiało między nimi być, on ich poznał, dlatego tam się zatrzymał, dlatego chciał, żebyśmy przeszli na drugą stronę, myślał, że go nie zobaczyli, na moich oczach, pół minuty, minutę trwało, na moich oczach zamordowali człowieka, Warburgstrasse, to tutaj, tak, parzyste numery, trzeba przejść na drugą stronę, tak, nieparzyste, żeby bandziory jakie, to bym jeszcze rozumiał, dla rabunku, ale, jak on to powiedział? to był skurwysyn, jakiego drugiego święta

ziemia nie nosiła, że był skurwysyn, to ja wiem, to mnie o tym nikt nie potrzebuje przekonywać, ale żeby aż taki? oni widocznie wiedzieli, że tędy będzie przechodził i zasadzili się na niego, mieli z nim jakieś porachunki, poznał ich gdy byli pod latarnią, myślał, że im umknie, nie wielka dla pana strata, dla mnie żadna strata, bo cóż mnie ten człowiek obchodził? wolałbym, żeby go nigdy w życiu nie był spotkał, ale zawsze, przecież człowiek, nie można tak człowieka, który tu numer? trzydzieści dziewięć, następna brama, może się wycofać? może tam jednak nie iść, co? nie, muszę, przecież, no muszę, przecież

CZĘŚĆ TRZECIA

24 grudnia 1957

Ja im mam być wdzięczny? miejcie litość, panowie! za to, że po jedenastu latach wielkodusznie mnie zwolnili z więzienia? no nie, żarty na stronę, dobrze? a o odszkodowaniu też lepiej nie mówmy, tak nisko jeszcze nie upadłem, żeby się dopraszać ich łaski, ja ich nie uznaję, dla mnie to jest banda uzurpatorów nasłana z Moskwy, z którą naród nigdy nie przestanie walczyć, wtedy nam się nie powiodło, ale historia jest cierpliwa, nie martwmy się, stał z podniesionymi do góry rękami, Tak, to ten, na pewno, rękę dałbym sobie uciąć, dajcie mi go, towarzyszu, rozwałę go, aż go ponosiło, porwał za pepeszę, lufę mi przytknął do piersi, myślałem, strzeli i tyle się tego słońca naogłądał, ale ten drugi go powstrzymał, Zostaw, coś taki narwany? jego życie może nam się jeszcze przydać, potem i tak się go wykończy, przeliczył się, ani się nie przydało, ani mnie nie wykończyli.

Antoni dorzucił bierwion na kominek, trochę zgarbiony ogrzewa sobie przez chwilę ręce nad płaszącymi płomieniami, potem obraca się plecami do ognia wywołując krótkotrwałe zamieszanie wśród cieni na ścianach — Trzeba ci, Roman, pogratulować, mieszkasz tu jak król w pałacu.

— Żadnej w tym mojej zasługi. Pałacyk należy do gospodarstwa. Zresztą nie przesadzajmy, nie taki on znowu okazały.

Banda uzurpatorów, powiedziałem, bez Rosji nie zagrzaliby tu miejsca przez dwadzieścia cztery godziny, widzieliśmy co się działo w zeszłym roku w Poznaniu, wystarczyło dwóch godzin, żeby cały ten kram się zawalił, ot była Polska Ludowa, po dwóch godzinach nie ma Polski Ludowej, jakto nie ma, przez jedenaście lat budowaliśmy i nie ma? a gdzie jest? ano tak,

nie ma, rozleciała się, przez dwie godziny? no tak, przez dwie godziny się rozleciała, jest nad czym się zastanawiać, co? dlatego teraz zmienili melodię, teraz krzyczą, wszyscy jesteście patriotami! to znaczy oni, chcą przez to powiedzieć, też są patriotami, dotychczas byli pacholkami, z Moskwy brali pieniądze, skąd ta zmiana? a bo doznaliśmy nagłego olśnienia, proszę! proszę! olśnienia, co? tak, w naszych sercach zbudziła się miłość ojczyzny, najważniejsza jest obecnie nie ideologia, lecz Polska, żeby zaś nie było wątpliwości o co w tej szopce chodzi, dodają, taka jest polska racja stanu, *ponimajecie?* i tym argumentem chcą ludziom zatkać gęby, bo jak co, to my tu czołgi rosyjskie sprowadzimy i takie wam spuścimy manto, że drugi raz odechce wam się szurać!

Antoni wraca do stołu, machinalnie serwetką dotyka ust, prawą rękę kładzie na karku Heleny, chowa pod jej włosami, Helena mruży oczy, Jerzy zdejmując spojrzenie z jego ręki i znowu wpatruje się w ogień na kominku, ja go nie zabiłem, zamknąłem mu usta dłonią, musiałem, żeby nie krzyknął, bałem się, że na dole usłyszą, on już wtedy nie żył, mama musi mi uwierzyć, ja go nie zabiłem! cała seria pocisków przeszła po nim, jednocześnie Leon się szarpnął, otworzył usta jak do krzyku, musiałem! no dobrze, teraz wiem, że i tak by nie słyszeli, ale wtedy? czy w takiej chwili człowiek myśli logicznie? to był odruch, szarpnął się, otworzył usta, myślałem, krzyknie, i automatycznie

— Cud, że to wszystko się zachowało w tak dobrym stanie. Nie było tu Sowietów?

— Opowiadano mi — mówi Roman — że po przejściu frontu zawieruszyła się tu jakaś wataha. Narozrabiali trochę, powybijali szyby, w kilku pokojach pozrywali podłogi, widocznie szukali ukrytych skarbów, w końcu to skrzydło, gdzie teraz jest szkoła rolnicza, podpalili. Na szczęście zjechała się tu akurat jakaś ich generalicja, która upatrzyła sobie miejsce na kwatery i na czas zdołano ogień ugasić. A watahę popędzono do lasu i tam wszystkich co do nogi powystrzelano.

— U nich tak jest, zawiniłeś, kula w łeb! Kto by tam sobie zawracał głowę sądem?

— Najzabawniejsze jest jednak to, że od kilku lat ich zbiorowy grób przejął pod opiekę tutejszy oddział Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, dzisiaj tam stoi okazały pomnik ku czci bohaterów Armii Czerwonej, którzy oddali swe życie w walce o wyzwolenie Polski spod jarzma faszystowskiej okupacji, tak na nim brzmi napis.

— Nie!

— No mówię ci! Chcesz, to cię tam któregoś dnia zaprowadzę, niedaleko, kilometr.

Nacisnął dzwonek, czekał, po chwili posłyszał kroki, drzwi uchyliły się, nad łańcuchem ukazała się wylękniona twarz Krys-tyny, może myślała, że jakieś bydłę z Urzędu Bezpieczeństwa? nie, byłoby ich dwóch, oni nigdy w pojedynkę, zawsze dwóch, jak nędza z nieszczęściem, nie poznała mnie w pierwszej chwili, Pan do mnie? w jakiej sprawie? ja też zrazu zapomniałem języka w gębie, nigdy nie przypuszczałem, że mogłaby mnie nie poznać, tyle człowiek o niej myślał, marzył, w więzieniu, po pięciu min-utach nie czułem do niej nic, absolutnie nic, mieszkanie pachniało wilgotnymi jeszcze tynkami, Przedtem mieszkaliśmy na Woli, mieliśmy jeden pokój, mniejszy od tego, najgorzej było dzieciom, nigdzie pobiegać, bo korytarz też zapchany meblami, zgasła lam-pę z seledynowym abażurem stojącą na szafie bibliotecznej, włą-czyła pająka pod sufitem, żeby zbyt intymny nastrój nie skłonił nas do zwierzeń i rozpamiętywania przeszłości, podniosła z eta-żerki oprawioną w ramki fotografię, To mój mąż, Karol, pozna-liśmy się w czterdziestym piątym, kiedy wróciłem z Ravensbrück, dobry człowiek, bokami robi, noce zarywa, żeby tylko dzieciom i mnie niczego nie zabrakło, potem coś o agrafkach, chciała kupić agrafki, szukała po całym mieście, nigdzie nie było można kupić agrafek, w kinie byli na jakimś meksykańskim filmie, co mnie to obchodziło? potem, że w drodze powrotnej byli świadkami wypadku tramwajowego, tą paplaniną błagała mnie, żebym jej nie przedstawiał rachunku do zapłacenia, jakbym ja miał do niej jakieś pretensje! Bo już nie mogłam wytrzymać, przez kilka ty-godni co noc przesłuchiwania, bili mnie, mdlałam, cucili mnie i znowu, rano wlekli mnie z powrotem do celi, już się modliłam, żeby ten gestapowiec wyjął rewolwer i po prostu mnie zastrzelił, w końcu coś we mnie trzasnęło, powiedziałam wszystko, nazwis-ka, adresy, łzy popłynęły z jej oczu, Tak się cieszę, że żyjesz, byłam przekonana, że ciebie też zabrali, powiadasz, że nie było cię w domu kiedy po ciebie przyszli, widzisz, jak to Pan Bóg nade mną się zlitował, a tamtym, okazało się, też nie zaszko-dziłam, bo tymczasem zdążyli pozmienić adresy, stracić się z widoku na kilka tygodni, nawet nie próbowałem wyprowadzić jej z błędu, przecież nie powiem kobiecie, że to za jej przyczyną wtedy Gestapo

— No Wanda, co z tobą jest? — pyta Roman. — Tak jesz jakby ci nic nie smakowało. Pani Marynia jeszcze gotowa po-myśleć, że nosem kręcisz nad jej jedzeniem. Pośpiesz się, wszyscy już skończyli, a ty ciągle się jeszcze guzdrasz nad swoim talerzem.

— Wcale się nie guzdram, proszę tatusia. Nie potrafię jeść szybko.

— Nie trzeba dziecka ponaglać, panie kierowniku, po co ma sobie psuć żołądek?

— Dziecka! — Wanda odyma policzki i demonstracyjnie odkłada sztucce. — Skończyłam!

— I widzi pan, co pan dobrego narobił?

— Ja narobiłem?

— A kto? Ja? No co tu jest do śmiechu? Wandziu, jeszcze zjesz trochę, prawda? Dla mnie!

— Brzuszek nie pozwala, pani Maryniu. Objadłam się jak bąk.

— To może i na kompot nie znajdzie się miejsca?

— Znajdzie się!

Nie jej wina, że się załamała i wydała mój adres, ciało ją zawiodło, zresztą po co jej go dawałem? z mojej strony to był szczyt lekkomyślności, a jak się potem okazało, i zbrodnia, dwa, trzy tygodnie nie mogłem wytrzymać bez kobiety? Muszę przyskać z Warszawy na jakiś czas, powiedział, po dzisiejszej akcji może być wpadka, Witek został ranny, nie udało nam się go zabrać, i jak Niemcy się do niego zaborą, chodź, pojedziesz ze mną, w Prutach spokój, będziemy chodzili nad gliniarki, Nie mogę, obiecałam, że jutro wpadnę do mamy, nie mogę jej sprawić zawodu, ona tak się o mnie martwi, zaraz by pomyślała, że mi się coś niedobrego przytrafiło, Dasz znać przez koleżankę, Nie, ty nie znasz mojej mamy.

— Wszystkich was na chwilę teraz przeproszę — mówi Roman gasząc papierosa o brzeg popielniczki i odsuwając od siebie krzesło — muszę pójść zobaczyć...

— Oj tatuś! — woła Wanda. — Taki stary a ciągle się go dziecinada trzyma! Jakbyśmy nie wiedzieli, że tatuś idzie do salonu zapalić świeczki na choince i porozkładać podarunki.

— Już ty siedź cicho, mała, i tak nie pytluj, bo jeszcze gwiazdor posłyszysz i nic dla ciebie nie zostawi.

— Klituś-bajduś, módl się za nami!

— Tatusiowi trzeba wybaczyć — mówi Joasia — w tym wieku niektórzy mężczyźni już dziecinieją.

— Chodź, Antoś — mówi Helena — przyniesiemy z góry nasze maleństwa.

Nasze maleństwa, mówi, moja siostra, a tak wyrosła od tego czasu, tycia była gdy m ją ostatni raz widział, nie poznałbym, minąłbym ją na ulicy i nie poznał, ale na pewno bym się za nią obejrzał, piękna się z niej zrobiła kobieta, wcale bym się tego nie spodziewał, taka chłopcowata wtedy była, gdzie jej tam lalki, misie? łuki jej dawaj, strzelby, w podchody się bawić,

w Indian! teraz mówi, nasze maleństwa, wejdzie za chwilę z dzieckiem na rękę, da mu piersi, może jednak bym poznał? zatrzymał się nagle na chodniku, ta kobieta, która go minęła, coś w niej, zastanawia się, jakby w niej coś znajomego, podniósł rękę do czoła, zgarnął palcami skórę nad brwiami, kto to jest? odwrócił się, poszukał jej w tłumie przechodniów, zatrzymała się przed księgarnią, półbiegiem rzucił się w jej kierunku, żeby jej tylko nie stracić z oczu! jeszcze stoi, zrównał się z nią, stanął po wewnętrznej stronie chodnika, gdy ruszy z miejsca, wówczas zobaczę z bliska jej twarz, tak, nie ulega wątpliwości, to ona, zagroził jej drogę, uchylił kapelusza, Heła, nie poznajesz mnie? Jurek, twój brat, dzisiaj mnie zwolnili z więzienia, właśnie szedłem na dworzec, chciałem pojechać do Prutów na cmentarz, kobieta zagryza wargi, jej oczy przesuwają się po nim z wyrazem źle tajonego niesmaku, Pan wybaczy, pan moim bratem? to jakaś pomyłka, ja pana nie znam.

— Chodźcie wszyscy zobaczyć — mówi Roman pokazując się w otwartych drzwiach salonu — co nam gwiazdor przyniósł na gwiazdkę.

— A nie mówiłam?

Nikt się nawet nie domyśla, że oni wszyscy poginęli z powodu mnie, ojciec wiedział, wiem, słyszałem jak się o mnie pytali gdy im poszedł otworzyć drzwi, ale czy komu by przyszło do głowy, że nie zastawszy mnie powystrzelają wszystkich domowników? każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo, nie mogę uwierzyć, żeby się mnie wyparła, była wtedy za mała, żeby skojarzyć to, co się stało, z moją bytnością w domu, a nawet, przecież jesteśmy rodzeństwem, Heluniu, to ja, Jurek, twój brat! Pan wybaczy, pan się pomylił, już raz panu powiedziałam, ja pana nie znam, gałąź obciążona śniegiem napierała na szyby w oknie, ślady wróblích nóżek na parapecie, na dworze wszystko się skrzyło od słońca, na korytarzu rozległy się kroki, szybko wskoczyłem z powrotem do łóżka i wsunąłem się pod kołdrę, gdy posłyszałem jak otwierają się drzwi zamknąłem oczy, w piecu huczał ogień, mama zatrzymała się na progu, prawie zamarłem w oczekiwaniu, potem przeszła miękko przez pokój, stanęła przy łóżku, pochyliła się nade mną, fala ciepłego oddechu rozlała się po mojej twarzy, na policzku poczułem dotyk jej ust, zarzuciłem jej wtedy ręce na szyję, przycisnąłem do siebie i trzymałem! trzymałem! mama by zrozumiała, mama by mnie nie potępiła, przecież nikt na moim miejscu nie zrobiłby inaczej, trzeba by było być niespełna rozumu, żeby mając szansę ucieczki samemu włożyć w ręce Gestapo, myślałem, przyszli po mnie, w porządku, ale mnie nie ma, więc odjadą, wrócą kiedy indziej, a ja będę odtąd

wiedział, że w domu już się nie należy pokazywać, kto by przypuścił, że w odwet za to, że mnie

Helena wchodzi do pokoju trzymając Jadwisię na ręku, zaspane dziecko niechętnie otwiera oczka, otworzy i zaraz zamyka pod naporem światła, Helena śmieje się — Popatrz, jaka ładna choinka! Świeczki, widzisz? Dmuchnij! Jeszcze nie potrafi. To ja dmuchnę. Prawda, jakie ładne? A teraz usiądziemy sobie na podłodze i poszukamy jakie tu dla ciebie są prezenty.

Z okna rozprzestrzeniał się widok na daleki staw, stryj zabronił tam się kąpać, zupełnie słusznie, na takich głębinach? Jeszcze się potopicie! później tak, jak już trochę podrośliśmy, a ta idiotka, umie pływać, powiada, taka smarkula! stał na brzegu wycierając się ręcznikiem, zamknął oczy, pod powiekami zawirowały białe punkciki, usłyszał plusk wody i nie odwracając się krzyknął, Tylko nie odbijaj za daleko od brzegu! położył się na rozłożonym na trawie ręczniku, brodę oparł na skrzyżowanych przed sobą ramionach, raz po raz cisze przecinały odgłosy ludzi pracujących na polach, wdzierał się w nią furkot młocarni z tyłów zabudowań folwarcznych, obserwował żdźbło trawy, po którym wspinąca się mrówka, mrużył oczy i widział wszystko jakby w powiększeniu, skądś doleciał do uszu nagle urwany krzyk, tak słaby, że zaledwie otarł się o świadomość i natychmiast przepadł, na pewno jakiś ptak, dmuchnął w mrówkę, mrówka wpadła w panikę i prędko zbiegła na dół, raptem przypomniał mi się krzyk, ptak? to był ptak? zerwał się na nogi, na moment doznał zawrotu głowy, przecież Helena! zobaczył ją na środku stawu, kilkoma susami znalazł się w wodzie, taka wariatka! a mówiłem jej, żeby! jak ją dociągnąłem do brzegu sam do dziś nie wiem, byłaby niechybnie utonęła, umie pływać! każde dziecko się chwali, że umie pływać, ale żeby takie jezioro przepłynąć trzeba coś więcej niż zwykłej umiejętności pływania, tak jej dupę trzeba było wtedy przetrzepać, żeby się już nigdy więcej nie odważyła na coś podobnego, No nic się nie stało, czego się drzesz? potem jeszcze się śmiała ze mnie, z mojego strachu o nią, z mojego płaczu, A po co się bałeś? A po coś wołała o pomoc? Ja wołałam? coś ci się w głowie pomyliło, pływałam sobie spokojnie na plecach, mogłam tak jeszcze przez godzinę, Nie wygłupiaj się, Hela, wyraźnie słyszałem jak wołałaś, Nieprawda, nie wołałam, Jakto nie wołałaś, skoro wyraźnie słyszałem, że wołałaś? Nie wołałam, co ja, pływać nie umiem? ach, Boże, jaki ja byłem zły na nią wtedy!

Stefek siedzi na piętach obwarowany zwałami papieru pakunkowego, wśród których walają się zabawki. — Mamuś, popatrz! — Podnosi kolorowego bączka, stawia na podłodze, na

ciska, żeby wprowadzić w wirowy ruch, po kilku słabych obrotach bączek zaczyna się kolebać, wreszcie nieruchomieje.

— Ja ci go puszczę — powiada Antoni. — Daj! — Bączek kręci się teraz z olbrzymią szybkością wydając z siebie przeciągłe buczenie.

Helena przysłuchuje się przechyliwszy głowę na bok, kołysząc na rękach usypiającą Jadwisię. — Zdaje się, że ojciec będzie miał z tych zabawek więcej uciechy niż dzieci.

A jakież to prawo ty sobie usurpujesz, żeby własnego ojca sądzić? Jeśli twoja matka potrafiła mi przebaczyć, to dlaczego ty

Pani Marynia wnosi do pokoju tacę z dzbankiem kawy i filiżankami, ustawia ją na stole. Bożena podnosi się z kanapy. — To ja już ponalewam, niech pani Marynia się nie trudzi.

— Wobec tego — mówi Roman — nadeszła pora, żebym wyciągnął tę butelkę francuskiego koniaku. Specjalnie zachowałem na Święta. Bożenko, bądź łaskawa, podaj nam kieliszki.

— Może najpierw zaśpiewamy kolędę? Roman, bardzo cię proszę, zostaw na razie koniak i podejdź bliżej choinki. Joasia, Wanda, co wy, głuche? Wyłączcie adapter, jeszcze się dość nasłuchacie. Pani Bożenko! Dlaczego pani jeszcze tu nie ma?

— Już idę.

— A gdzie pani Marynia? Pani Maryniu, pani natychmiast rzuci kuchnię i przyłączy się do nas. Jesteśmy gotowi? Co zaśpiewamy?

— Może „Przybieżeli”?

— Więc już, zaczynajmy!

Przybieżeli do Betlejem pasterze,

Grają skocznie dzieciąteczku na lirze,

Chwała na wysokości,

Chwała na wysokości,

A pokój — Zapukał, wszedł do gabinetu, ojciec uniósł głowę znad biurka, Zaraz, tylko jeszcze to skończę i porozmawiamy, Jerzy usiadł w fotelu, oczy wlepił w deseń dywanu zaścielającego podłogę, taka zdzira! przecież to była ordynarna zdzira! jak mógł coś takiego zrobić? pomijając już wszystko inne to ubliżało mamie, nie rozumiał tego? żeby to jeszcze było coś nadzwyczajnego, jakaś niezwykła piękność, inteligencja, ja wiem co jeszcze? i tak by go to nie usprawiedliwiało, ale taka pospolita szantrapa o mózdzku kanarka! przecież trzeba mieć jednak trochę wstydu, szacunku do siebie, nie zdawał sobie sprawy z tego co robi? rozumiem, przewróciła mu w głowie, młoda, ładna, no dobrze, ale od czego miał rozsądek? nie mógł się na czas wycofać? przecież nie wolno mu było tak postępować, Dlaczegoż to? No nie, jeśli w ten sposób mamy rozmawiać, to lepiej

nawet nie zaczynać, bo nas to nigdzie nie zaprowadzi, zza ściany przebijał stukot maszyny do pisania, cwaniara, cholera! celowo waliła tak w klawisze, żebym słyszał, żebym nie zapomniał, że ona też się w tym rachunku liczy, woda sodowa jej uderzyła do głowy, ona się liczy! Nic się pani nie liczy, ot odrobina pyłu na klapie marynarki, palcem strzepnąć, już nie ma, tyle się pani liczy!

— Jurek! — Helena szturcha go w łokieć — Dlaczego nie śpiewasz?

Chwała na wysokości,

Chwała na wysokości,

A pokój na ziemi! — Był już w takim wieku, przecież, przecież w takim wieku już się tych rzeczy nie robi, już się na tyle panuje nad sobą, nad swoimi namiętnościami, na miły Bóg, miał już dorosłych synów, co, nie zastanowił się nigdy jak nam będzie mógł spojrzeć w oczy? nie wiedziałem jak do niego mówić, od czego zacząć, jakąłem się, trzeba było sobie rozmowę przygotować punkt po punkcie, z karteczką w rękę, zagadnienie posiada takie a takie aspekty, proszę, zanalizujemy je wspólnie, może znajdziemy jakieś rozsądne wyjście, No słucham ciebie, jakie? Jest tylko jedno, tato powinien cały ten romans sobie wybić z głowy i wrócić do domu, to nie ma najmniejszego sensu, sprawa jest po prostu idiotyczna! taki stary jelen! żeby taka, za przeproszeniem, dupa w głowie mu do tego stopnia zamieszalała, żeby poza nią świata nie widział! zidiociał na starość, nie mógł zajrzeć do byle podręcznika psychologii, żeby uzyskać na siebie właściwe spojrzenie? ojciec odłożył pióro, popatrzał przelotnie na niego, następnie skierował wzrok ku oknu, Nie wiem, powiedział Jerzy, jak to wszystko, za wielki jeszcze mętlik mam w głowie, to był dla mnie taki cios, proszę taty, jeszcze się po nim nie opamiętałem, myślałem, że ziemia się pode mną zapadnie gdy się zorientowałem co się stało, tato nie wie jak ja to przeżywam, nie mogę w to uwierzyć, to jakiś koszmarny sen, z którego nie umiem się obudzić, niech tato powie, że to wszystko nieprawda! dlaczego tato nic nie mówi? Masz absolutnie rację, drogi chłopcze, chodźmy, zamkniemy biuro i pojedziemy do mamy, nie mógł tego powiedzieć? nie mógł? po prostu, Zamkniemy biuro i pojedziemy do mamy, nie mógł tak powiedzieć? czy żądałem od niego, żeby się przede mną tłumaczył, usprawiedliwiał? to nie było dla niego wyjście? i co by go to kosztowało? i w ten sposób uniknęlibyśmy tego, co się potem stało, A jakież to prawo ty sobie usurpujesz, żeby własnego ojca sądzić? Jakież tato się pyta jakież? a takie, że ja dałem ojcu szansę wycofania się z honorem z sytuacji, ale

ojciec ją odrzucił, dlatego mam prawo go sądzić! Nie masz prawa mnie sądzić, żaden syn nie ma prawa! twoja mama miała prawo mnie sądzić, ale nawet ona się tego prawa wyrzekła, miłości w twoim sercu nie ma do ojca, tu leży pies pogrzebany, zawsze na mnie krzywym okiem patrzałeś, zawsze! od maleńkości! jakbym ci kiedy jakąś straszną krzywdę wyrządził, myślisz, że ja ślepy przez wszystkie te lata byłem? wszystkie dzieci zawsze się do mnie garnęły, ty siedziałeś z boku i złym okiem na mnie patrzałeś, co ja tobie takiego zrobiłem, synu, powiedz mi, co ja takiego zrobiłem?

— Pośpiewaliśmy sobie trochę i tak tradycji stało się zadość. Teraz zaniesiemy Jadwisię na górę, położymy do łóżeczka, okutamy dobrze, żeby nie było zimno i będziesz sobie spała. A jakie zmęczone to biedactwo! Jakie to śpiące, jak jej się oczka kleją! Za chwilę już będziesz spała.

— Pójdę z tobą — mówi Jerzy, wychodzą do hallu, hall jest kwadratowy, wysoki na całą wysokość domu, zwieńczony ostro sklepionym dachem w kształcie stożka, na pierwszym piętrze obiega go drewniana galeryjka, na którą prowadzą szerokie schody o rzeźbionych z drzewa balaskach, trochę przypomina gmach sądu, gdzie mnie sądzili, takimi schodami wchodziło się na piętro, Zdrada? kto mówi, że zdrada? ja protestuję przeciwko podobnej insynuacji, nikt nie ma prawa! Tylko nie takim tonem! niech oskarżony nie zapomina, gdzie się znajduje, Przepraszam, ale jeszcze raz chciałbym podkreślić, że zrobiłem tylko to, co mi dyktoowało sumienie, no co? co to za śmiech? bo powiedziałem, że sumienie? nawet na wojnie obowiązuje pewne minimum moralności, nie mogłem dopuścić, żeby świadomie zamordowano niewinnych ludzi, to co że komuniści? przepraszam, proszę mi nie mówić, że oni mordują, ja wiem, że oni mordują, ale to nie jest argument, zastrzelić komendanta UB? a tak, dlaczego nie? to jest zupełnie inna rzecz, wiadomo co to jest Urząd Bezpieczeństwa, sam brałem udział w takich akcjach, właśnie przy takiej akcji mnie złapano, ale niewinnego człowieka?

— Chłodno tu — skarży się Helena tuląc dziecko ciasniej do piersi.

Jerzy dotyka dłonią kaloryferu — Pałą.

— Tak, ale ogrzać taki dom! Nawet większy niż u stryja w Szaropyszkach. Pamiętasz Szaropyszki?

— Ba! — Gdyby tak przed nią stworzyć serce? Więc to ty sprowadziłaś na nas to nieszczęście! chyba masz serce z kamienia, jak możesz komukolwiek z nas patrzeć w oczy? jak możesz żyć z czymś takim na sumieniu?

— Otwórz mi drzwi, Jurek, bo obie ręce mam zajęte.

Potem przeszła miękko przez pokój, stanęła przy łóżku, pochyliła się nade mną, fala ciepłego oddechu rozlała się po mojej twarzy, na policzku poczułem dotyk jej ust, zarzuciłem jej wtedy ręce na szyję, przycisnąłem do siebie i trzymałem! trzymałem!

— Nie, nie, nie zapalaj światła, wystarczy z korytarza.

Gdy wyszła, otworzyłem oczy i długo uśmiechałem się do siebie, jabłka! rzeczywiście, jabłka, na szafie leżały jabłka z poprzedniej jesieni, powietrze w całym pokoju było nasycone ich zapachem, A bo ty myślisz, że mnie łatwo żyć? pytasz, jak mogę wam patrzeć w oczy, a czy zauważyłaś kiedy, żebym komukolwiek z was spojrział prosto w oczy?

— Widzisz, już zasnęła. Zaczekaj, ja wyjdę pierwsza i zapalę światło. — Przechodzi do wewnętrznych drzwi, naciska klamkę, po omacku znajduje kontakt. Ostry klin światła pada na podłogę. Jerzy stąpając na palcach wychodzi za nią. Helena usiadła przed toaletką, zbliżywszy twarz do lustra bacznie przygląda się swemu odbiciu. — Może jednak zrezygnuję z pasterki, zmęczona jestem. Nie wiem, jeszcze zobaczę.

Jerzy zatrzymuje się przy oknie, odciąga na bok zasłonę, na dworze jest ciemna noc, niedaleko domu bieleją drzewa okładzone śniegiem, przytyka twarz do szyby, czuje jak wartki nurt ziąbu wdziera mu się do ciała, nie trzeba było wtedy proponować Krystynie, żeby przyjechała do Prutów, a w ogóle to nie powinienem był do niej tego wieczora zachodzić, chciałem ją uprzedzić, że na pewien czas nie będzie mnie w Warszawie, Nieprawda! Prawda!

— Antoś wspominał niedawno, że gdybyś chciał wyjechać za granicę, sprawę dałoby się załatwić, on ma znajomych w biurze paszportowym.

— Co ja bym robił za granicą?

— Antoś nalegał, żeby ci o tym powiedzieć. Myślał, że może ci już tak wszystko tu obrzydło, że będziesz chciał...

— Obrzydło, oczywiście, że mi obrzydło, komu by nie obrzydło, ale co ja bym szukał za granicą?

— Tak przypuszczałam, bo gdybyś chciał stąd nawiać, byłbyś to zrobił zanim cię aresztowali.

— Mogłem, wtedy to nie był żaden problem, ale nie chciałem. Nigdy nie myślałem o tym, żeby stąd nawiewać. — Nie tylko że sprowadziłeś na nas wszystkie nieszczęścia, ale teraz żyjesz sobie wygodnie w Ameryce, po ludzku, niczego ci nie brakuje, podczas gdy my tutaj ciągle się musimy męczyć, gdybym nawiał, miałaby prawo rzucić mi w twarz takie oskarżenie, przecież jednak nie nawiałem, jak najdalej jestem, zawsze byłem, od takiej myśli, w moim przypadku to byłaby zwykła podłość,

jestem tutaj i tutaj pozostanę cokolwiek by się jeszcze miało stać, nie boję się kary, jedenaście lat już przesiedziałem w więzieniu, Ale żyjesz! Jerzy zaciska palce na ramie okna, odwraca się powoli i patrzy na Helenę, która, zgarbiona w plecach, siedzi nieruchomo przed toaletką, ręce, jakby nie do niej należały, leżą bezwładnie na kolanach, nie, ona by na pewno nie wołała, żebym nie żył, moja śmierć niczego by tu nie zmieniła, ona nie taka również, żeby myśleć o zemście, odchodzi od okna i stając za jej plecami kładzie ręce na jej ramiona, w lustrze widzi podniesioną do góry twarz Heleny, jej oczy lśnią wilgotnym blaskiem, nie byłaby bardziej szczęśliwa lub mniej nieszczęśliwa gdybym nie żył, dostrzega jak wargi Heleny zaczynają drżeć, zwierza mocno palce na jej ramionach, Helena odchyła się do tyłu i opiera głowę o jego pierś, podnosi prawą rękę, zdejmuje jego dłoń ze swego ramienia i przykłada sobie do policzka, tak, ale przynajmniej mnie by tu nie było, łatwiej byłoby jej zapomnieć, jedna chwila nieroztropności, potem konsekwencje wloką się przez całe życie, rozprzeźrzeniają się jak kręgi na wodzie, coraz większe, coraz więcej zagarniające ludzi, których los został nieopatrznie wprzęgnięty w łańcuch przyczyn i skutków, z którymi nie mieli nic wspólnego, a chodziło tylko o to, żeby spłynąć na pewien czas z Warszawy, przycupnąć w Prutach i przeczekać okres kiedy Gestapo mogło mnie ewentualnie szukać, później wróciłbym z nową kennkartą na jakiś nowy adres, znowu bym się skontaktował z Krystyną, wszystko czego sytuacja ode mnie żądała to wyrzec się jej na krótki okres, najwyżej kilka tygodni, nawet na to nie potrafiłem się zdobyć, z lustra wpatrują się w niego zaczerwienione, błyszczące od łez oczy, Jerzy spuszcza głowę w dół, odwraca na bok, żeby ona wiedziała jak mi wstyd, żebyś wiedziała, siostró moja, jak bardzo mi wstyd, dotyka delikatnie jej włosów, trwożliwie, jakby nie miał do tego prawa lub jakby chciał ją tą pieśczołą nieśmiało przebłągać.

— Tak sobie pomyślałam, nie wiem skąd mi się to nagle wzięło, że gdyby oni wszyscy żyli... Przepraszam cię, Jurku.

Krystyna też jak suka w gorączce, zawsze jej było za mało, wcale nie miałem zamiaru zatrzymywać się tam na całą noc, chciałem się tylko z nią pożegnać i zaraz czmychać na Pragę, gdzie miałem zapewniony nocleg, powiedziałem, Kochanie, ja tylko na pięć minut, zaraz muszę lecieć, nawet jej nie pocałowałem kiedy mnie wpuściła do środka, nie dotknąłem się jej, usiadłem na krześle za stołem w rogu pokoju, jakby za jakąś barykadą, specjalnie tak, bo nie chciałem, żeby jej łatwo było do mnie dostąpić, przecież wiedziałem, że gdyby się tylko do mnie przycisnęła, otarła się o mnie, chciałem uniknąć wszelkich zbliżeń,

powiedziałem, Ja tylko na chwilkę, zaraz muszę lecieć na Pragę, Zaraz? zaraz? stanęła na środku pokoju, zaczęła zdejmować sukienkę, Krysiu, nie, naprawdę, nie rozbieraj się, nie mogę dzisiaj, zaraz muszę iść, Dobrze, jeśli nie możesz, czy ja cię zmuszam? zrzuciła z siebie sukienkę, halkę, założyła ręce do tyłu i rozpięta biustonosz, przechyliła się trochę do przodu zsuwając ramiączka, jej piersi nagle wyskoczyły mu przed oczy, zakowały się ciężko, patrzyła na niego śmiejąc się, Jeśli tak sobie postanowiłeś, że nie zostaniesz ze mną, trudno, nie musisz, czy ja cię zatrzymuję? idź! mówiła ściągając pończochy, majtki, na co czekasz? naga położyła się na tapczanie, głowę oparła na splecionych na karku palcach, kolana uniosła do góry, rozchyliła trochę, dlaczego nie idziesz? idź! idź! nie chcesz? już cię odeszła ochota iść na Pragę? widzisz, jaki ty jesteś, a myślałeś, że mi się oprzesz, mnie? ty mnie? tak, i jeszcze i tego było mi mało, całą noc z nią i jeszcze się nie nasyciłem, rano powiadam, Wiesz co, przyjedź do Prutów, będziemy chodzili sobie nad glinianki, a w nocy u mnie w pokoju, nikt nawet nie zauważy jak z jednego pokoju przesmykniesz się do drugiego, potem leżałem na strychu obok Leona, on już nie żył, i mówiłem sobie, co ja zrobiłem! o Boże, co ja zrobiłem! bo jak tylko posłyszałem samochody zatrzymujące się na drodze, jak przez okno zobaczyłem pierwszego gestapowca wyskakującego na chodnik, od razu wiedziałem, Krysytę aresztowali, bo skąd wiedzieliby inaczej gdzie mnie szukać?

— Najbardziej — mówi Helena — było mi żal mamy, jak ta kobieta cierpiała, Boże drogi, jak ona! Wiesz, czasami dosłownie serce mi się krajało, gdym na nią patrzyła. A ja jeszcze taka niedobra dla niej byłam niekiedy.

Panowie po kogo przyjechali? Czy pan Jerzy Niesztor? Tak, to ja, Pan pójdzie z nami, Proszę, bardzo chętnie, wyciągam ręce, zakładają mi kajdanki, tylko w krytycznej chwili należało opanować odruch strachu i myśleć nie o sobie lecz o rodzinie, Leona trzeba było pchnąć na górę, bo już był w takim wieku, że mogli podejrzewać, że również w podziemiu zaangażowany, wzięliby mnie na Pawiak, no więc co? wzięliby, małoż to ludzi wzięli? zresztą nawet z Pawiaka ludzie się wydostawali, chłopcy nie byliby o mnie zapomnieli, pewnie że to by potrwało, ale

— Czy poznać po mnie, że płakałam?

— Nie.

— Jakoś to mówisz bez większego przekonania. Lepiej jednak przypudruję sobie twarz. Nie czekaj na mnie, idź już.

— Dobrze, zobaczymy się na dole, po drodze jeszcze wstąpię do mojego pokoju.

— Tylko, bardzo cię proszę, nie zasiedź się znowu, takim się stałeś odludkiem, nie podoba mi się to.

— Zaraz zejść na dół, nie martw się. — Odludkiem, powiada, ma rację, nie przeczę, nic na to nie poradzę, trudno mi teraz jakoś przebywać z ludźmi, wszystko mnie mierzi, włazi na nerwy, a tak sobie obiecywałem w więzieniu, że jeśli kiedy wyjdę, to się solidnie przez kilka pierwszych tygodni pobawię, pohulam sobie za wszystkie czasy, po kilku dniach wszystko zbladło, jeden raz byłem z kobietą, studentka, powiedziała, dorabia sobie do stypendium, sześć razy ją wziąłem pod rząd, przy czwartym razie i ona się rozochociła, byłem jej wdzięczny za to, że się dała podniecić, Ty chyba już dawno nie miałeś kobiety, taki pazerny na to ciało! ale najprzyjemniej było kiedy mi się potem położyła na piersiach, objęła mnie i tak zasnęła, taką czułość poczułem do niej, po jedenastu latach znowu byłem z kobietą, która zasnęła w moich ramionach, aż mi się kilka łez stoczyło z oczu, tak byłem wzruszony, Magda, mam jej adres, powiedziała, żeby jak będę znowu w Warszawie, nawet nie chciała pieniędzy, Z więzienia, to i tobie też będą potrzebne, sześć razy ją wziąłem pod rząd, ale najprzyjemniej było kiedy mi zasnęła w ramionach, wiedziałem, że znowu jestem człowiekiem, nigdy jej tego nie zapomnę, głowę położyła mi na piersi, objęła mnie i ani się obejrzałem kiedy zasnęła, ona mi przywróciła człowieczeństwo a nie ten idiota, który, Polska Ludowa, powiada, postanowiła wam okazać łaskę i wielkodusznie dać wam możność rozpoczęcia nowego życia, stania się nowym, pełnowartościowym człowiekiem, komendant więzienia siedział za biurkiem, Jerzy przed nim w postawie zasadniczej, ale wy sobie nie wyobrażajcie, Niesztor, że władza ludowa puściła w niepamięć wasze zbrodnie, my o nich pamiętamy i dopóki życie też byłoby dobrze, żebyście nie zapomnieli, wy sobie nie myślcie, że zeszłoroczny październik i zmiany polityczne, jakie wówczas nastąpiły, oznaczają, że daliśmy wrogom Polski Ludowej wolne pole do działania, o nie! wrogów władzy ludowej my będziemy w dalszym ciągu tępić z taką samą bezwzględnością i zaciekłością jak dotychczas, dobrze to sobie, Niesztor, zakarbujcie w pamięci, bo następnym razem łaski już dla was nie będzie, będziecie to pamiętali, Niesztor? Niesztor, pytam się was, będziecie to pamiętali? Tak jest, obywatelu komendancie! Ładnie, Niesztor, bardzo ładnie, widzę, że więzienie was jednak czegoś nauczyło, tylko uważajcie, żeby nauka nie poszła w las! wy chcecie żyć, Niesztor? Niesztor! ja się was zapytałem, wy chcecie żyć? Chcę, obywatelu komendancie, No to sobie zapamiętajcie, że chcecie żyć! taki skurwysyn, powiada, wrogów władzy ludowej będziemy tępić, a ja zawsze byłem

przeświadczony, że z wrogami się walczy, szkodniki na polu się tępi, wy sobie zapamiętajcie, że chcecie żyć, powiada, tak mnie zelżyć, zbrukać! dosłownie na godzinę przed wypuszczeniem a nie mógł sobie podarować sposobności, żeby mi jeszcze raz dać odczuć, że jestem zero, mrówka, wesz, w każdej chwili mogą mnie zgnieść, zetrzeć w proch, ej, brachu, myśmy się kilkanaście lat za późno spotkali, bo ja bym się z tobą inaczej rozprawił, Jerzy podchodzi do nocnej szafki, wyjmuje butelkę wódki i szklanke, nalewa sobie na dwa palce i wypija jednym haustem, Jesteście zero, Niesztor, rozumiecie? Niesztor! ja do was mówię! Tak jest, obywatelu komendancie! Co wam powiedziałem, Niesztor? Że jestem zerem, obywatelu komendancie! No to wy to sobie dobrze zapamiętajcie! skurwysyn taki! powiada, zmiany polityczne, jakie zmiany? kto słyszał o jakich zmianach? czy był choć jeden publiczny proces ubowskich katów, którzy w piwnicach mordowali ludzi, zakopywali trupy pod podłogą, którzy, zresztą po co o tym gadać, wszyscy wiedzą, co UB z ludźmi wyprawiało, a ci, co organizowali wywózki akowców do Rosji, czy którykolwiek z nich odpowiadał przed sądem? a ci, co podpisywali papierki legalizujące mord, tortury, sądy kapturowe, czy któregokolwiek z nich pociągnięto do odpowiedzialności sądowej? jasne że nie, w rządzie wszyscy jak siedzieli tak siedzą, w Komitecie Centralnym partii, Cyrankiewicz, ten Judasz, który dostał premierostwo w dożywocie, jako te trzydzieści srebrników, za sprzedanie Polskiej Partii Socjalistycznej komunistom, nadal jest premierem, a inni? przesunięto na mniej eksponowane stanowiska, wysłano na zagraniczne placówki dyplomatyczne, żeby w oczy nie bodło, bo to widzicie, towarzyszu, ludzi trzeba uspokoić, nie należy zaostrzać sytuacji, po kilku latach wrócicie, do tego czasu ludzie zapomną, zresztą Polacy nigdy nie byli zawzięci na dawnych wrogów, wiadomo, ręka rękę myje, ja tobie pomogę dzisiaj, kto wie, za kilka lat może sam będę od ciebie potrzebował pomocy? a jaka jest gwarancja, że to się nie powtórzy? Polska Ludowa wielkodusznie postanowiła wam, Niesztor, okazać łaskę, Polska Ludowa, obywatelu komendancie, może sobie za przeproszeniem łaską dupę otrzeć, nikt łaski i wielkoduszności nie potrzebuje, powinno być prawo a nie głośowne zapewnienia, bo jakto? nagle morderca oświadcza, że od dziś nie będzie mordował? przez lata ta banda gangsterów kąpała się we krwi narodu, nagle powiada, że więcej się we krwi kąpać nie będzie, ale wy sobie nie myślcie, Polacy, że przestaniemy wami rządzić! wybijcie sobie z głowy mrzonki, żeby ktoś inny mógł nas zastąpić! No nie, Niesztor, wy bujacie w obłokach, wam się demokracji zachciewa! pewnie, a oni demokracji się boją jak diabeł święconej wody, bo z chwilą gdyby

w Polsce zapanowała demokracja, to taki Gomułka czy Cyrankiewicz, ten Judasz co Polską Partię Socjalistyczną Kremlowi sprzedał za dożywotnie premierostwo, cała ta banda gangsterów musiałaby odejść, dupę w troki i zmiatać przed gniewem narodu, ale jeszcze będą zmiatali stąd, spokojna wasza głowa, nie dziś, to za dziesięć lat, nie za dziesięć, to za dwadzieścia, aż się będzie za nimi kurzyło, bo Polak już taki, że nigdy nie da za wygraną, nikt go nie przekona, że niewola jest najwyższą formą wolności, jeszcze ździebko wódki? nie, już nie, ale dobra była? o tak, dobra była!

*Dobra była ta pularda,
Ta pularda, ta pulardaaaa,
Ani miękka, ani twarda,*

Ani twarda, w sam raz! — A może jednak, co? może jednak co? no może się jednak jeszcze napijemy? tak bez żadnej okazji? napijemy się za zdrowie robotników warszawskich, przyszych budowniczych szubienic, na których kiedyś przed wejściem do Komitetu Centralnego zawisną ci wszyscy zdrajcy narodu! a! to co innego! nie można było tak od razu powiedzieć? no to cyk!

Drżycie, panowie magnaci!

Taram tam tam tam ta tarara — Ale to trzeba będzie przeprowadzić z zachowaniem wszystkich reguł praworządności, żadnych samosądów, żadnego mordowania nocą po piwnicach, z komunistycznymi praktykami skończyliśmy na zawsze, wszystko musi być legalnie, rozprawy będą publiczne, oskarżenia, jeśli tego zechcą, będą mogli sobie zaangażować najlepszych adwokatów na świecie, Cyrankiewicz też? Proszę pana, dlaczego pan zadaje głupie pytanie? czy Cyrankiewicz nie człowiek? dalej, egzekucje będą publiczne, konieczne przed gmachem Komitetu Centralnego, to będzie symboliczne wycięcie gangreny z żywego ciała narodu polskiego, więc to trzeba odstawić z odpowiednią pompą, zresztą społeczeństwo musi mieć naoczny dowód, że się ich naprawdę powiesiło, że tu żadnego cygaństwa nie ma, i to będą ostatnie wyroki śmierci w Polsce, potem się karę śmierci zniesie, bo to jest średniowieczne barbarzyństwo,

Drżycie, panowie magnaci!

Taram tam tam tam ta tarara — No nie, dlaczego niemożliwe? historia widziała większe niespodzianki, tylko trzeba czekać, proszę panów, na razie niech każdy cierpliwie robi swoje i wygląda aż odpowiedni moment się nadarzy, kiedy trąbka znów do boju, wtedy hej! kto Polak, na bagnety! tylko trzeba uważać, żeby tego momentu nie przegapić, ale o to sobie specjalnie głowy suszyć nie będziemy, prawda? ja też tak myślę,

nasz naród ma nieomylnego nosa w tych sprawach, Czy na zakończenie wywiadu zechciałby pan jeszcze odpowiedzieć na dwa pytania? Proszę bardzo, Czy w przyszłej wolnej i demokratycznej Polsce partia komunistyczna będzie mogła funkcjonować legalnie? Proszę pana, to jest naiwne pytanie świadczące o pańskim politycznym infantyлизmie, Proszę się nie dziwić, zostałem wychowany przez Polskę Ludową, To pana nie usprawiedliwia, ale mniejsza z tym, Polska, jak powiedziałem, będzie państwem demokratycznym, z tego zaś wynika, że wszystkie partie polityczne, a więc w tym również partia komunistyczna albo dajmy na to jakaś inna podobna partia, na przykład, faszystowska, jeśli kto zechce sobie taką założyć, będą miały konstytucyjnie zagwarantowaną swobodę działania i wpływania na opinię publiczną w celu realizacji swych politycznych celów, a więc będą miały wolność zebrań, publikacji, będą mogły się ubiegać w wyborach powszechnych o zdobycie mandatów do Sejmu, czy to pana zadowala? Owszem, dziękuję, wreszcie ostatnie pytanie, które jest zresztą pochodną poprzedniego, czy nie sądzi pan, że tak szeroko pojęta swoboda może zagrozić samym podstawom ustroju demokratycznego? Naturalnie, ale to jest ryzyko, jakie ustrój demokratyczny musi na siebie przyjąć jeśli się nie chce stoczyć w bagno czerwonego lub brunatnego totalizmu, Dziękuję panu w imieniu wszystkich słuchaczy Polskiego Radia i widzów Telewizji, aha! jeszcze jedna rzecz! Ej, zaczyna pan już nudzić, no co takiego? Co zrobimy z Logą-Sowińskim? przecież on ze związków zawodowych wykuwa narzędzie do ujarznienia klasy robotniczej, Kochany panie, niech pan mnie nie zawraca głowy jakimś tam Logą-Sowińskim, dobrze? łba mu się przecież nie ukręci, normalnie stanie przed sądem jak cała reszta tych gangsterów, sąd rozpatrzy i zadecyduje czy i jak winno się go ukarać, a teraz proszę mnie już zostawić w spokoju, wszystko chcieliby z góry wiedzieć, za wcześniej na takie pytania, już raz powiedziałem, niech każdy robi swoje, pcha życie naprzód, a jak przyjdzie czas, wtedy zobaczymy,

Drżycie, panowie magnaci!

Taram tam tam tam ta tarara — Co proszę? nie, dziękuję bardzo, wypilem już dwa kieliszki i na tym na razie skończę, noc jeszcze jest młoda,

Noc taka cudna, że szkoda jej zmarnować,

Usta twoje chciałbym całować,

Dziewczę, ach! lube dziewczę — Powiedziałem Heluni, siostrze mojej kochanej, że zaraz wracam na dół, czas na mnie, nie trzeba żeby się martwiła, zamyka za sobą drzwi, na dół po schodach, wchodzi do salonu, muzyka atakuje mu uszy, ach Boże!

te dziewczęta! dlaczego tak głośno? bębni mi w uszach po-
pękają.

— No bo już chciałam po ciebie iść — mówi Helena podno-
sząc ku niemu głowę.

— Twój koniak, Jurek, pij póki nie wystygnie.

Smakowałoby lepiej, gdybym sobie podniebienia nie był zep-
suł wódką, w drugim kącie pokoju Joasia i Wanda tańczą rock
and roll'a, ładne te dziewczęta, Joasia mnie nie pamięta, Wanda
nie zna zupełnie, dla obu jestem obcym człowiekiem, już nigdy
nie będziemy z sobą blisko, nie będzie czasu, nie będzie czasu
na co? idiotyczne myśli szwendają mi się dziś po głowie, Joasia
ma dwadzieścia lat, tyle samo liczyła sobie Mira, może dwadzieś-
cia jeden, nie wiele więcej, Jakże prawo? tato się pyta, jakie
prawo? a takie, że ja dałem ojcu szansę wycofania się z honorem
z sytuacji, ale ojciec ją odrzucił, dlatego mam prawo go sądzić,
Nie masz prawa mnie sądzić! żaden syn nie ma prawa! co mi
strzeżliło wtedy do głowy, żeby do niej pójść? rozumowałem jak
dziecko, popłaczę, poprosi, kobieta pogłaska go po głowie, Tak
mnie, chłopcze, wzruszyły twoje łzy, że nie miałabym serca zabie-
rać ci tatusia, oddaję ci go z powrotem, no masz, masz, tylko
już przestań beczeć! z chodnika po przeciwnej stronie domu, sku-
lony w ciemnej bramie, zadzierał głowę ku oknom na drugim
piętrze, nie mogłem się zdecydować ruszyć przez jezdnię i wejść
do kamienicy, nagle tknęła mnie obawa, wieczór się zbliża, może
ona będzie chciała wyjść na miasto i jakżeż do niej podejść na
ulicy? idziemy chodnikiem, ja do niej, Niech pani mi odda mojego
ojca! wyśmiałaby się ze mnie, Idź sobie, chłopczyku, do domu,
nie wtrącaj się do starszych, nie widzisz, że mi się śpieszy? biegnę
zdyszany obok niej, wymijam ludzi, krzyczę ze łzami w oczach,
Niech pani mi odda mojego ojca! na chodniku robi się cyrk,
ludzie przystają, uśmiechają się z politowaniem

— Wypijmy — Roman podnosi do góry kieliszek — zdrowie
Jurka, który po tylu latach — nie kończy, zaczyna inaczej —
żeby zapomniał wszystkie swoje smutne przejścia i żeby...

— Po prostu za twoje zdrowie, Jurku — mówi Antoni.
— I pomyślność! Zresztą będziesz teraz bogatym człowiekiem,
bo wniesiesz chyba sprawę o rehabilitację i przyznanie ci jakie-
goś solidnego odszkodowania. Niech zapłacą, dranie, za wszystko.
Jednego grosza bym im nie darował.

— Mniejsza o odszkodowanie — mówi Helena — żeby życie
mu się szczęśliwie ułożyło!

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, przeciwnie, jeśli mu wy-
płacą odszkodowanie, tym łatwiej będzie mu ułożyć sobie godziwe
życie.

— Dyskusja jest nieistotna — mówi Jerzy. — Rehabilitacja nie wchodzi w rachubę. Trzeba pamiętać, że mnie zwolnili z więzienia nie dlatego, że zostałem skazany niesłusznie, ale po prostu na mocy ustawy o amnestii.

— Zgoda, zgoda, ale wiadomo jak wtedy odbywały się te procesy.

— Procesowi, w którym występowałem, nie można było nic zarzucić. Procesowi, bo co innego śledztwo, które trwało z górą dwa lata i w czasie którego trzech moich kolegów zamordowano. Oskarżenie mówiło o wzięciu udziału w zbrojnym napadzie na placówkę Urzędu Bezpieczeństwa. Udowodniono mi to i skazano na dwadzieścia pięć lat, jedenaście odsiedziałem, resztę mi amnestiowano, to wszystko. To że ja uważam, jak zresztą większość ludzi w Polsce, że zabicie kilkunastu katów bezpieki, nie jest, z punktu widzenia moralnego, przestępstwem, to nie ma nic do rzeczy. O rehabilitację mógłbym się starać wówczas, gdyby nie było prawdą, że napadłem na Urząd Bezpieczeństwa, albo gdyby teraz miało się okazać, co mogłoby się zdarzyć, gdyby z pomocą jakiegoś cudu boskiego Polska stała się nagle wolnym krajem, że udział w napadzie na dozorców niewolników nie był przestępstwem, a przeciwnie moim obowiązkiem jako Polaka.

— Niech stryjek opowie jak to było z tym napadem.

— Wandziu — mówi Roman — to nie są sprawy, które ciebie powinny interesować.

— Kiedy ja chcę wiedzieć. Jestem ciekawa. Tyle nas w szkole uczą o naszej wojnie domowej...

— Nasza wojna domowa! O tak, im bardzo by odpowiadało, gdyby się mogli powołać na to, że uzyskali władzę dzięki wygraniu wojny domowej. Nie było żadnej wojny domowej. Po prostu Rosjanie dali im, jako swoim mianowañcom, władzę do ręki. Teraz im wstyd. Komu by nie było? Więc na gwałt przeinaczeniem historii próbują sobie dorobić legendę.

— Święta racja — mówi Antoni.

— W każdym razie, Jurku, twoje zdrowie jeszcze raz — mówi Roman rozlewając do kieliszków.

Ja go nie zabiłem, mama mi musi uwierzyć, szarpnął się, otworzył usta, myślałem, krzyknie, i automatycznie zamknąłem mu je dłońią, gdy ją cofnąłem, chlusnęła krew, tą krwią się zadusił, tak, ale ja przecież — Dziękuję.

— Jurkowi zatem na zdrowie a im wszystkim na pohybel!

Drzwi otworzyły się, Mira patrzyła na niego z wyrazem lekkiego, zdaje się, że nawet udanego, zdziwienia w oczach, widziała mnie z okna, na pewno, dlatego, dlatego też od początku

była taka opanowana, swobodna, pewna siebie, bo miała czas się przygotować.

— Stryjku!

— Co takiego?

— Niech stryjek ze mną zatańczy.

— Ależ ty masz pomysły, dziecko, ja i tańczyć!

— A dlaczego nie?

— No nie, daj spokój, Wanda, ja tam tych nowoczesnych tańców, takie to skomplikowane!

— Wcale nie skomplikowane, stryjek zobaczy, ja pokażę, jak to się tańczy. — Bierze go za rękę, ciągnie za sobą bliżej adaptera. — Niech stryjek robi tylko to co ja, nic więcej, i swobodnie, nie tak sztywno, o właśnie!

— Nie no, to jest śmieszne!

— Zawracanie głowy, stryjku! Co w tym śmiesznego? Bardzo dobrze stryjek tańczy! Tatko! Niech tatko popatrzy, prawda, że stryjek ładnie tańczy?

— Bajecznie!

— O widzi stryjek! Stryjek ma wrodzone wycucie rytmu.

— Ja mam?

— No!

— Ciągłe się czegoś nowego o sobie uczyć. — Uśmiechając się poruszyła rękami przy włosach, No niechżeż pan tak nie tkwi w drzwiach, panie Jurku, tylko wejdzie do środka! znalazł się w małym kwadratowym hallu, na lewo był pokój, wzorzysty dywanik na podłodze, niski okrągły stolik, koniec tapczana, jeden fotel pod oknem, z tyłu trochę książek, Mira zamknęła drzwi, zatrzymała się za jego plecami, czuł jej oddech na swoim karku, po całym mieszkaniu unosił się delikatny zapach perfum, Proszę, panie Jurku, niech pan wejdzie do pokoju, nie będziemy przecież rozmawiali tutaj, wysunęła się do przodu ocierając się lekko o niego, ale to chyba nie było naumyślne, zresztą kto ją tam wie? weszła do pokoju, obróciła się, popatrzała na niego z palcem na ustach, Gdzie my tu pana posadzimy, żeby było najwygodniej? w rozchylonych ustach pokazał się różowy koniuszek języka, przesunęła po nim brzuścem palca, Na tapczanie? zaśmiała się, Cóż pan taki nieśmiały, nigdy pan nie był w mieszkaniu młodej panienci? nie, posadzimy pana na fotelu, ja sobie usiądę na tapczanie, ale dla większego komfortu damy panu poduszkę, proszę, niech pan siada, panie Jurku! — Wiesz co, moja droga, już chyba skończymy, bo mi tchu zaczyna brakować. Wróć sobie na fotel. Dziękuję ci.

— Ależ stryjku!

— Nie nalegaj, bardzo cię proszę, bo ci to nic nie da.

— Szkoda, tak się ładnie tańczyło ze strykiem.

— To już nie na moje zdrowie. Dziękuję ci bardzo. — Zmachałem się, pot na czole, serce się tłucze, toż to trzeba mieć końskie zdrowie, żeby tak, proszę, jak mi nogi dygocą! taka zdzira! przecież to była ordynarna zdzira! jak mógł coś takiego zrobić? pomijając już wszystko inne to ubliżało mamie, nie rozumiał tego? żeby to jeszcze było coś nadzwyczajnego, jakaś niezwykła piękność, inteligencja, ja wiem co jeszcze? i tak by go to nie usprawiedliwiało, ale taka pospolita szantrapa o mózdzku kanarka! przecież trzeba mieć jednak trochę wstydu, szacunku do siebie! Dlaczego pan jest dla mnie taki niedobry, panie Jurku? czy zasłużyłam na to? spojrzaj na nią z niedowierzaniem, podniosła nogi na tapczan, podwinęła pod siebie, ramiona wyrzuciła ku niemu suplikacyjnym gestem, Czy to moja wina, że kocham pańskiego ojca? czy tam gdzie chodzi o miłość w ogóle można mówić o winie? jakaż to wina? że moje wygłodzone serce zapalało do niego najwyższym uczuciem, do jakiego jestem zdolna? że się rozpałiło do niego ogniem, który mnie spala bez reszty? przerwała i wlepiła we mnie swoje duże oczy unieszczęśliwionego cielęcia, wiecie, to było niewiarogodne, nie wiedziałem co z sobą zrobić, gdzie się podziąć, ze wszystkich sił zmuszałem się do tego, żeby nie wybuchnąć śmiechem, żołądek mi gulgotał jak indyk, Pan chce, żebym się go wyrzekła, ach! gdybyż to było możliwe! obie dłonie przycisnęła do piersi, zrobiła dramatyczną pauzę, Ale nawet gdyby to było możliwe, czy miałabym prawo unicestwić coś tak pięknego, tak szlachetnego, jak nasza miłość? dlaczego pan się śmieje? dlaczego chce pan odebrać mi szczęście, które po tak długich poszukiwaniach znalazłam u boku pańskiego ojca? dlaczego chce pan mnie zniszczyć, stracić w otchłań smutku i rozpacz? to był nieuleczalny *casus*, ona nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest chora, płakała, z szeroko otwartych i oskarżycielsko wpatrzonych we mnie oczu płynęły strugi autentycznych łez, Niech pani w tej chwili skończy z tą komedią! zachowuje się pani jak kucharka wychowana na zeszytowych romansidłach, od dziś zostawi pani mojego ojca w spokoju i na tym koniec, w przeciwnym razie! raptem przestała płakać, W przeciwnym razie co? zabije mnie pan? tak? zabije mnie pan? dobrze, zaraz będzie pan miał okazję! zerwała się z tapczana, wybiegła do kuchni, wróciła z dużym nożem do krajania chleba, Proszę, niech mnie pan zabije! zaraz! natychmiast! ma pan mnie natychmiast zabić! ma pan mnie zabić! ma pan mnie zabić! nie chce pan? wobec tego ja sama! uniosła do góry nóż ostrzem skierowany ku swojej piersi, Jerzy nie ruszał się z miejsca, mierzyli się chwilę wzrokiem, Mira rozluźniła palce, nóż upadł na

podłogę, zwała się na tapczan i zanosła jeszcze głośniejszym płaczem, ja ulegam rozpadowi kiedy kobieta płacze z mojego powodu, ryczała, teraz już chyba i dlatego również, że we własnych oczach się przede mną zbłaźniła, musiałem coś zrobić, nie mogłem jej zostawić w takim stanie, podszedł do niej, zawahał się, wreszcie położył dłoń na jej głowie, Niechżeż pani już przestanie, pani Miro, zaczął ją głaskać po włosach, No niechżeż pani, to zdawało się jednak wywierać na niej skutek wręcz przeciwny od zamierzonego, usiadł obok niej, rozłożył ręce, Bardzo mi przykro, przycisnął ją lekko do siebie, Przecież nie mówiłem tego, żeby pani dokuczyć, w tej samej chwili ona objęła go przez plecy, przylgnęła do niego piersiami, jej usta znalazły się tuż pod jego ustami, nie wiem, jak to się stało, w każdym razie leżałem na niej, zapomniałem o wszystkim, wiedziałem tylko, że mam to gorące ciało pod sobą, że, no stało się, samo się stało, wcale tego nie chciałem, po prostu sytuacja tak się

— Co nam pozostało? — Roman bezradnie wzruszył ramionami. — Co mogliśmy zrobić? Stracić jeszcze jedno pokolenie i popełnić narodowe samobójstwo? Tak jak Węgry? Przecież Chruszczow by tu taką rzeź urządził, że...

— Więc uważasz — pyta Antoni — że powinniśmy się pogodzić z tym co jest dlatego, że to nam zostało narzucone siłą, której nie potrafimy się przeciwstawić? Jeśli ja, na przykład, zabiorę ci pod groźbą rewolweru wszystkie pieniądze, to co, po prostu powiesz, że trudno, jestem silniejszy?

— Nie rzucę się na ciebie, żebyś mnie zabił.

— A co zrobisz?

— Nic. Będę protestował.

— Psu na budę zdadzą się twoje protesty.

— Nie powiedziałbym. Protestując daję wyraz przekonaniu, że nie uznaję siły, która mnie zniewala, utwierdzam wiarę w suwerenność zasady stojącej ponad tym, co mnie otacza.

— Dużo ci z tego przyjdzie!

— Niestety nic innego na razie nie możemy robić. Dawne metody walki są dziś nieużyteczne. Dotychczas jeszcze nikt nie wymyślił takiej metody walki z tym ustrojem, która nie równałaby się samobójstwu. Pod tym względem komunizm jest podobny do raka, niesposób go usunąć nie narażając pacjenta na prawie pewną śmierć. Natomiast bywały wypadki, że członkowie, wiedząc iż ma raka, wyleczyli się siłą własnej woli. Może tu gdzieś leży nasze przyszłe zbawienie.

Pociąg zwalniając pod górę zaczął wjeżdżać między nasypy, leżeli w krzewach, Jerzy jednym okiem patrzył na zbliżającą się lokomotywę, drugim zerkał na przeciwległy nasyp, gdzie przy-

płaszczony do ziemi czekał Wilczur ze swoimi ludźmi, lokomotywa pracowała ciężko, podjeżdżała coraz bliżej, Jerzy jeszcze niżej opuścił głowę, na dachach wagonów, na buforach, siedzieli sowieccy żołnierze z pepesami w rękę, ćmili papierosy, oczami przeszukiwali porośnięte krzakami zbocza, lokomotywa przejechała dołem na wprost niego, teraz jeszcze kilkanaście metrów i wjedzie na minę, Jerzy sprężył się w sobie, nacisnął spust karabinu maszynowego do pierwszego oporu

— Moi drodzy! — woła Helena — To jest takie przelewanie z pustego w próżne. Przestańcie, dobrze? Są Święta, a wy o niczym tylko o polityce. Zaśpiewajmy jeszcze jedną kolendę. Chodźcie, chodźcie! Co zaśpiewamy? „Bóg się rodzi”?

Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan w niebiosach obnażony,

Ogień krzepnie — Kościół pogrążał się coraz bardziej w mroku, nad głównym ołtarzem mżyła oliwna lampka w czerwono przeświecającej oprawce, wchodząc zamknął za sobą ciężkie drzwi, odciął się od zgiełku ulicy, zanurzył w ciszę, skupiony w sobie skierował oczy ku ołtarzowi, nad którym majaczyła bladotrupia figura Chrystusa rozpięta na krzyżu, przez dłuższą chwilę siedział w ławie nie myśląc o niczym, wchłaniałem w siebie ciszę, nastrój, byłem sam, ale powoli, niepostrzeżenie to na mnie spłynęło, poczułem całym sobą, że nie jestem sam, że jest przy mnie, wokoło mnie, nawet we mnie samym, jeszcze jakaś inna obecność, lepsza nieskończenie ode mnie, nie splamiona żadnym złym uczynkiem ni myślą, wychylona gestem naturalnej dobroci w stronę wszystkich ludzi na świecie, ofiarująca im, nie wiem, tę samą ciszę, która mnie spowijała, pokój niewysłowiony, kojący, którego smak właśnie poznawałem? zacząłem się modlić i

Podnieś rękę, Boże dziecię,

Błogostaw krainę miłą — Tylko w krytycznej chwili należało opanować odruch strachu, nie myśleć o sobie lecz o rodzinie, wzięliby mnie na Pawiak, no więc co? małoż to ludzi wzięli? zresztą nawet z Pawiaka ludzie się wydostawali, w najgorszym wypadku byłiby mnie tam zakatrupili.

Wspieraj jej siłę swą siłą,

Dom nasz i majątność całą,

I wszystkie wioski z miastami,

A słowo Boże ciałem się stało

I mieszkąło między nami. — Nawet na wojnie obowiązuje pewne minimum moralności, nie mogłem dopuścić do tego, żeby mordowano niewinnych ludzi, to co że komuniści?

przepraszam, proszę mi nie mówić, że oni mordują, ja wiem, że oni mordują, ale to nie jest argument, Pojutrze, powiedział Trutkowicz, ma się zjawić u Grochowiaka specjalny wysłannik Komitetu Centralnego PPR, temu spotkaniu trzeba zapobiec, za kilka tygodni front ruszy, wojska sowieckie zajmą miasteczko, musimy ich zaskoczyć faktami dokonanymi, z władzami już ukonstytuowanymi będą się jednak musieli liczyć, a nawet jeśli nie, to już lepiej żeby nas usunęli siłą niż żebyśmy im mieli wszystko oddać bez walki, jeśli tego nie zrobimy, Grochowiak, Kałuża i Worchol ogłoszą się władzą z ramienia Komitetu Lubelskiego, a to będzie oznaczało koniec, Jestem przeciwny temu, powiedział Jerzy, żeby ich zabijać, za dużo ostatnio tego bratobójstwa, najpierw oni zabijają kogoś z naszych ludzi, potem my zabijamy kogoś z ich ludzi, znowu oni naszych i tak to się ciągnie, robi się z tego kołowrotek, którego niesposób będzie zatrzymać, mnie ogarnia przerażenie, gdy sobie uzmysławiam do czego ta wojna może nas jeszcze doprowadzić, wiem, powiedziałem im, nikt z nas nie wyjdzie z tej wojny z czystymi rękami, to jest nieuniknione, do końca życia nasze sny będą zamieszkiwały koszmary, ale starajmy się przynajmniej zło, które popełniamy, ograniczać do niezbędnego minimum, zabijamy tylko wtedy, kiedy już inaczej nie można, mało mamy prawdziwych wrogów? Ci trzej, powiedział porucznik Klem, są dla mnie takimi samymi wrogami co Niemcy lub Sowietci, Sowietci użyją ich, nawet niezależnie od ich własnej woli, jako narzędzi do spętania narodu, my wiemy jak to wygląda za Wisłą, już ja wolę, żeby otwarcie okupowali kraj niż żeby się kryli za parawanem nielicznych polskich komunistów lub zwykłych oportunistów, Ale nie w tym przecież rzecz, to są ofiary własnych złudzeń, które prędzej czy później i tak się rozwieją, Czy śmierć kilku ludzi, zapytał Trutkowicz, jest aż tak wysoką ceną, Za co? przerwał mu Jerzy, czy to w najmniejszym stopniu zmieni sytuację? Sowietci wkroczyli do Polski z zamiarem narzucenia nam swojego ustroju, jesteście za słabi, aby do tego nie dopuścić, Zachód nam nie przyjdzie z pomocą, wobec tego powinniśmy zmienić sens i metody walki, czy panowie myślą, że naród przestanie myśleć o wolności, jeśli nie rzucimy go teraz do walki z Sowietami? Mnie się ta gadka nie podoba, powiedział Trutkowicz, to jest defetyzm, To jest realizm! Panowie, panowie, powiedział Samokorski, spokojnie, jest się o co kłócić? nagadaliście się, teraz możemy wrócić *ad rem*, pan Trutkowicz poda dokładnie adresy, my zrobimy resztę, on też politycznie był ślepy, ślepy, naiwny, bo przecież o złą wolę nie mogę go pomawiać, nie pojmuję w jaki sposób ten człowiek rozmawiał, jaką mieliśmy korzyść gdybyśmy tych trzech wtedy zabili? no jaką?

— Nie wiem jak z wami, córuchny, ale ja się położę na dwie godzinki — Roman podchodzi do choinki i zabiera się do gaszenia świeczek.

— Co tatuś robi? — woła Joasia. — Niech tatuś zostawi, same pogasimy.

— Wolałbym jednak, żebyście też trochę odpoczęły. Będziecie zmęczone, gdy przyjdzie czas jechać na pasterkę.

— Niech się tatko o nas nie martwi, dobrze? — powiada Wanda, podbiega do niego, unosi się trochę na palcach i całuje go w policzek. — Tatko się nie martwi, dobrze? Takie dwie duże przecież dziewczyny!

— Tylko uważajcie, żeby się choinka nie zapaliła.

— Za kogo nas tatko ma?

— Dobrze, dobrze. Ściszcie adapter, bo pobudzicie dzieci.

— O której godzinie tatusia zbudzić?

— O jedenastej trzeba się będzie zacząć zbierać.

— Za wcześniej, przecież to tylko trzy kilometry.

— Śnieg pada, sanna będzie ciężka.

— O jedenastej zatem.

— Jerzy?

— Tak, też się chyba położę. — To co pan Trutkowicz proponuje, powiedziałem, jest zwykłym morderstwem, Trutkowicz skrzywił się, oderwał dłoń od wyłogów płaszcz, zrobił nią nieokreślony ruch, coś takiego jakby się wzdygał przed dotknięciem jakiegoś obrzydlistwa, Dlaczego używać takich słów? czy nie lepiej powiedzieć, że eliminujemy zdrajców? Na razie oni nie są jeszcze zdrajcami, powiedział Jerzy, Trutkowicz rzucił okiem w stronę Samokorskiego, Nie wiedziałem, panie kapitanie, że pan chowa u siebie w oddziale komunę, Jerzy warknął, No! pan się liczy ze słowami! dlaczego akurat mnie Samokorski wyznaczał do zlikwidowania ich? może też podejrzewał, że mam jednak ciągoty komunistyczne i to miało być próbą mojej lojalności? Jutro, powiada, zejdzie pan z plutonem do miasteczka i, Nie zejdę, panie kapitanie, bardzo mi przykro, ale muszę odmówić wykonania rozkazu, Pan sobie zdaje sprawę z konsekwencji takiego stanowiska? W pełni, panie kapitanie, Samokorski wstał z pryczy, podszedł do drzwi, Zawołajcie mi porucznika Klema, jeszcze się łudził, że zmienię zdanie, jeśli powtórzy rozkaz przy świadku, Wobec tego wypada mi tylko oświadczyć panu porucznikowi, że przy najbliższej sposobności stanie przed sądem wojennym, tymczasem da mi pan słowo honoru, że nie będzie pan próbował opuścić oddziału, Takiego słowa honoru nie dam, Zostaje pan w takim razie aresztowany, panie poruczniku, zwrócił się do Klema, pan dopilnuje, żeby nie uciekł, po co mi groził sądem?

Więc co, miałem udać, że nic się nie stało? Nie trzeba było przeciągać struny, przecież pan z góry wiedział, że rozkazu nie wykonam, po co było prowokować? leżał na wyrku zasłanym suchą świerczyną, na zewnątrz zaszeleściły kroki, Robuz otworzył drzwi lepianki, pamiętam jak to mną wstrząsnęło gdym go potem rozpoznał wśród tych trupów przy drodze, leżał na plecach z podkurczonymi trochę i przekrzywionymi na prawo kolanami, z zakrzepłą plamą krwi na piersiach, miał oczy otwarte, już się mrowiły w nich muchy, Ja jestem winien jego śmierci? jeśli ja jestem winien jego śmierci, to jestem winien również śmierci całego plutonu, Tak, rzeczywiście, No nie, to już jest absurdem, Wcale nie, bo gdyby pan tam nie był poszedł, Grochowiak nie byłby się skontaktował z Kąkolem i Kąkol nie byłby urządził zasadzki, Ale i tak by doszło do starcia, Owszem, ale do starcia, w którym obie strony miałyby równe szanse, niech pan o tym nie zapomina, Co pan chciał, panie poruczniku? Do latryny możecie mnie zaprowadzić? A nie będzie pan porucznik próbował dać drapaką? Od czego macie pepeszę? wyszedł schylając się w drzwiach, w koronach drzew szumiał wiatr, skrzypiały rozchybotane konary, pod nogami pękały nadłamywane gałęzie, Miałem prawo przeciwstawić się rozkazowi, był niezgodny z moim sumieniem, Ależ z tego nikt nie robi kwestii, pan został skazany nie za odmowę wykonania rozkazu, lecz za przejście na stronę wroga, Nie przeszedłem na stronę wroga, Służył pan u Kąkola, Nie służyłem u Kąkola, zostałem przemocą zatrzymany, po miesiącu uciekłem i wstąpiłem do oddziału Wilczura, doszli do latryny, tu dał mocny wiatr idący od dołu z boczna, Jerzy usiadł na żerdce nie spuszcżając spodni, odlał się kierując strumień moczu na suche liście, zaczął stękać, sapać, Robuz stał w odległości kilku metrów, jego zwalista sylwetka niemal się zlewała z tłem lasu pogrążonego w ciemnościach, Ciężko, panie poruczniku? niech się pan porucznik nie spieszy, mnie obojętne czy stoję tu czy tam, odwrócił się od niego plecami, rozkroczył nogi, pepeszę powiesił na lewym ramieniu, zasyczała struga moczu rozpryskującego się o pień drzewa, Jerzy wymacał nogą kamień, podniósł go, skoczył, uderzył w głowę, Robuz zwałił się na ziemię, Jerzy zerwał mu pepeszę z ramienia, obszedł latrynę i zaczął zbiegać w dół z boczna w kierunku miasteczka, Robuzowi nic się nie stało, ogłuszyłem go tylko, po pięciu minutach chyba już przyszedł do siebie, nie można robić przestępstwa z tego, że ostrzegłem Grochowiaka, ja nie mogę być odpowiedzialny za niezamierzone skutki mojego działania, myślałem, że zrobi tak jak mu sugerowałem, wyniesie się na dzień, na dwa, z miasteczka, czy mogłem przypuszczać, że zamiast tego natychmiast skontaktuje się z oddziałem

Kąkola, o którego bytności w okolicy nikt z nas nie wiedział, to też proszę wziąć pod uwagę, i że wspólnie obmyślą zasadzkę? jasne że nie, dlatego nie mówmy o czyjejkolwiek winie, dobrze? Na tym odcinku tor podnosił się do góry, pociąg zwolnił biegu, patrzeli przyczajeni w krzewach na przesuwające się dołem wydłace wagony, których okienka omotywały kolczaste druty, w głębi bielily się twarze jeńców, Jerzy spojrział na przeciwległy nasyp, zobaczył unoszącą się lekko do góry rękę Wilczura, gdy opadła wawóz wstrząsnął się od wybuchu, lokomotywa ciężko przewróciła się na bok, jednocześnie otworzyli ogień, ilu myśmy tego dnia ludzi uratowali? chyba dochodziło do tysiąca, cały pociąg, Właśnie o to chodzi, proszę panów, żeby działać przeciwko konkretnym posunięciom, jak w tym wypadku, proszę! to było działanie sensowne, odbiliśmy tysiąc akowców, których wywozili do Rosji, powiedziałem panom już dawniej, nie jestem przeciwny walce zbrojnej, ale to musi być walka, która każdorazowo przyniesie nam konkretne rezultaty, tak samo jeśli chodzi o stosowanie terroru, wcale nie mam żadnych obiekcji, ale znowu, trzeba dokładnie wiedzieć czego oczekujemy, na co możemy liczyć, już niech mnie nikt nie oskarża o defetyzm czy zdradę, nie można zabijać ludzi tylko dlatego, że mogą stać się narzędziem, którego się kiedyś użyje przeciwko nam, dla nas, powiedziałem, najważniejszą sprawą jest teraz zminimalizować dotkliwosci nowej okupacji, dać ludziom możność wytchnięcia, niech wreszcie rozpoczną jako tako normalne życie, jeśli ktoś za bardzo się wysługuje Sowietom, tak, wtedy tak, rozwalić go bez ceregieli, albo Urząd Bezpieczeństwa, nikogo się nie zmusza, żeby tam wstępował do służby, jeśli więc wstąpił, to widać, że szuja, sprzedawczyk albo element kryminalny, takiego, rzecz jasna, trzeba zlikwidować, ale panowie, na miłość boską, przecież nie będziemy wprowadzali rozprzężenia w administrację kraju, to byłoby bezsensowne! napiję się, gdzie ja tę szklanke położyłem? no gdzie ja ją? bałwan ze mnie, patrzy i nic nie widzi, drzewa? zaraz, co z tymi drzewami? dlaczego drzewa mi się przypomniały? ach, to ten sen, musiałem go znowu śnić poprzedniej nocy, teraz mi się przypomniął, spod kopyt koni wzbijały się tumany kurzu, rozgrzana słońcem droga włokła się monotonicznie przez pola, po bokach drzewa, właśnie, te drzewa, ale nie takie zwykłe drzewa, jakieś inne, jakby spalone kikuty drzew, jeszcze coś tam było, nie mogę sobie przypomnieć, ten sen za mną chodzi całe życie, pamiętam, jeszcze jak byłem mały, jeszcze coś tam było, to były jakieś niezwykłe drzewa, jakby popalone, ale to jeszcze nie to, na tych drzewach coś, ale co? nigdy się nie dowiedziałem, bo właśnie kiedy dochodziłem do tego momentu i kiedy cała

prawda miała mi się ujawnić, budziłem się z krzykiem na ustach, tak mnie to przerażało, mama przybiegała do pokoju, kładła mi dłoń na głowie, Szszszsz, dziecino, szszszsz, dziecino, drzewa, co było z tymi drzewami? popalone drzewa, tak, to się zgadza, i jeszcze coś, coś straszego, coś co nigdy nie pozwalało dośnić snu do końca, Jerzy podchodzi do okna, chucha, na zamlecznionej szybie rysuje pionową kreskę, przecina ją w górnej połowie krótszą poziomą, krzyż, mogłaby być równie dobrze szubienica, zaraz, coś mi się wiąże w głowie, szubienica, na drzewach, już wiem, na drzewiach wisały trupy! ja krzyczałem, płakałem, mama mi zasłaniała dłońią oczy, uspokajała mnie, Szszszsz, dziecino, szszszsz, dziecino, pamiętam, trupy zwisały z gałęzi drzew, myśmy jechali wtedy z Krzyżtopola do Szaropyszek, na wozie wieźliśmy ciało mojego dziadka, a przedtem jeszcze coś było, mama trzymała mnie na rękach i znowu jedną dłońią zakrywała mi oczy, potem upadła, ja jej wypadłem z rąk na ziemię, uderzyłem się, już wiem, dziadek, to było w Krzyżtopolu, zastrzelili go i następnie powiesili głową w dół na drzewie, ale niemożliwe, żebym to pamiętał, ileż wtedy mogłem mieć? niecałe dwa lata, niemożliwe, żebym pamiętał, może coś kiedyś słyszałem? tak, rzeczywiście, drzewa, a na nich wisały trupy, mama mi zasłaniała oczy, żebym nie widział, drzewa, tak, tak, drzewa, a na drzewach trupy, Niemca wyprowadzono na środek leśnej lewady, Klem stanął przed nim, ręce położył na biodrach, długo mu się przyglądał, Połóż się na wznak, ramiona od siebie! wyjął pistolet, przyłożył lułę do nogi, strzelił, twardy był ten skurwysyn Niemiec, ramiona trzymał od siebie, taki był rozkaz, tylko twarz, nad twarzą nie panował, Klem pochylił się nad drugą nogą, znowu strzelił, to samo z rękami, bez pośpiechu, w środek dłoni, potem powiedział, Teraz dostaniesz pięć minut dla duszy, akurat żeby ci starczyło na uporządkowanie swoich spraw z Bogiem, włożył pistolet z powrotem do kabury, wyjął papierosa, zapalił, jaką mu to sprawiało przyjemność, żeby tak człowieka? Niemiec zaczął jęczeć, wszystkim uczyniło się nieprzyjemnie, żołnierze zaprzestali prześmiewków, w porządku, nikt dla niego nie pragnął litości, Niemiec był specjalistą od tortur, ale to nie było w porządku, trzeba Szkopa zabić, to zabić i koniec, jeden dobry strzał i koniec pieśni, ale znęcać się nad człowiekiem? bydlaka z siebie robić? nawet Samokorski tego nie wytrzymał, wyskoczył na środek polany po drodze wyjmując pistolet, odsunął szorstko Klema, strzelił Niemcowi w głowę i nie oglądając się ruszył z powrotem do ziemianki, widziałem jak mu się wargi poruszały, gadał coś do siebie, przed samym wejściem do ziemianki zatrzymał się, odwrócił, krzyknął gniewnie, Rozejść się! potem gdy Klem

wrócił, Samokorski postukał się w czoło, Tu! tu! co wyście zmysły postradali? powiedziałem rozstrzelać, nie żebyście sobie przedstawienie urządzali! to nie był zły chłop, Samokorski, lubiłem go, dlaczego akurat mnie wyznaczył do tego, żeby zlikwidować tych w miasteczku? nie wiem, może też podejrzewał, że jednak mam jakieś ciągoty komunistyczne i to miało być próbą mojej lojalności? powinien był się domyśleć, że takiego rozkazu nie wykonam, po co prowokował? potem jeszcze sądem wojennym mi groził, A co miałem zrobić? udać, że nic się nie stało? Nie trzeba było przeciągać struny, pan wiedział, że takiego rozkazu lepiej mi nie dawać, pan przecież znał moje poglądy, nie pierwszy raz pan je słyszał! nie, ale można było zrobić inaczej, przyjąć rozkaz, nie wyklócać się z nim, każe, moja rzecz słuchać, biorę pluton, idziemy, obchodzimy miasteczko i wracamy do obozu, Samokorskiemu wytłumaczyłbym, że nie zastaliśmy tych trzech w domu, widocznie zwiędzieli się na czas i uciekli, może to nie byłoby bardzo przekonywujące, ale jakoś bym się był z tego wyłgał, tak trzeba było zrobić, no tak, żeby człowiek był jasnowiedzem! nie, nawet nie jasnowiedzem, wystarczyło ruszyć głową, ja tak zawsze, spóźniony zapłon, no tak, teraz rozumiem, ja jestem winien ich śmierci, mogłem do tego nie dopuścić, no ale Kąkol, ech! Kąkol! ręką machnąć na Kąkole, wątpię czy uśmiechałaby mu się otwarta walka, tak, tylko trzeba było głową spokojnie popracować, nie ulegać nakazowi pierwszego impulsu, tak samo wtedy w krytycznej chwili należało opanować odruch strachu i nie myśleć o sobie lecz o rodzinie, Panowie po kogo przyjechali? Czy pan Jerzy Niesztor? Tak, to ja, Pan pójdzie z nami, wzięliby mnie na Pawiak, no więc co? w najgorszym wypadku zamęczyliby na śmierć, należało mi się, A jakież to prawo ty sobie usurpujesz, żeby własnego ojca sądzić? miłości w twoim sercu nie ma do ojca, tu leży pies pogrzebany, zawsze na mnie krzywym okiem patrzałeś, zawsze! od małości! Jerzy kładzie się na łóżko, ręce podwija pod głowę, coś się stało, nie wiedział co, przez dłuższą chwilę patrzył ze strachem na ciemny sufit, nasłuchiwał, potem zerwał się z łóżka, otworzył drzwi, pobiegł korytarzem, wszędzie było ciemno, serce mu biło, bał się, sen jakiś, już miał otworzyć drzwi do jej sypialni, gdy nagle zrobiło mu się słabo, tam ktoś był, myślałem, że ją bił, dlatego tak postękiwała, zły był, sapał głośno, tarosił ją aż łóżko trzeszczało, ach Boże! oni nie słyszeli jakem się znalazł pod drzwiami, zajęci byli sobą, co tam, że ja pod drzwiami! ja wiem, co on robił, o! niech on sobie nie myśli, że nie wiem! wtedy jeszcze nie wiedziałem, wydawało mi się, że mama płacze, wbiegł do pokoju, wspiął się na łóżko, zaczął go okładać pięściami, Moja mama!

moja mama! zaczął go okładać pięściami, spychać go z niej, płakał, krzychał rozpaczliwie, Moja mama! moja mama! wtedy on przewrócił się na plecy, złapał mnie pod pachami i podniósł do góry, wierząc nogami, pięściami młóciłem powietrze, Moja mama! moja mama! śmiał się, trzymał mnie w powietrzu wysoko nad sobą i śmiał się, mama patrzyła na mnie uważnie, potem powiedziała do niego, Daj mi go, i do mnie, Przecież to twój tatuś, synku, przecież to twój tatuś! nie poznajesz go? nigdy mu tego nie wybaczyłem! nigdy! nigdy mu tego nie wybaczyłem! nigdy! nigdy! Mira się zupełnie nie zorientowała co się stało, ale ja słyszałem trzask odmykanych kluczem drzwi w hallu, przycisnęła dłonie do jej uszu, zamknęła jej usta swoimi wargami, wokół bioder czuł mocny uścisk spinających go nóg, nagle drzwi w pokoju się otworzyły, Mira krzyknęła, Stefan! ojciec zdławił w sobie jakieś słowo, ależ mi wtedy serce biło, myślałem, zabije mnie, a jeszcze nie wiedział, że to ja, Mira, błada jak ściana, zimna jakby zamieniona w kawał lodu i sparaliżowana nadal trzymała mi ręce na łopatkach, nadal mnie obejmowała nogami, teraz! podniosłem się na kolana, kołdra zsunęła mi się z pleców, odwróciłem głowę, ojciec jęknął, Jurek! ty? nigdy mu tego nie wybaczyłem, nigdy! nigdy mu tego nie wybaczyłem! nigdy! nigdy! Jerzy przewraca się na łóżku, przytula twarz do poduszki, żebym ja potrafił siebie zrozumieć, przecież wcale nie chciałem jego śmierci, nieprawda, że nigdy w moim sercu nie miałem miłości do niego, to nie to, to nie ma nic wspólnego z nim, ja wcale nie przeciwko niemu, albo żeby się na nim mścić, na nim? na moim ojcu? nie, wcale nie na nim, więc na kim? nie wiem, coś takiego jest we mnie, co buntuje się przeciwko mnie, nie zgadza się na mnie, nie wiem, nie rozumiem, zatrzymał się nagle na chodniku, ta kobieta, która go minęła, coś w niej, zastanawia się, jakby w niej coś znajomego, rzucił się za nią, tak, to ona, Heła! nie poznajesz mnie? Heła! przecież ja jestem twoim bratem, nie poznajesz mnie? Helena zagryza wargi, jej oczy przesuwają się po nim z wyrazem złe tajonego niesmaku, Pan wybaczy, pan moim bratem? to jakaś pomyłka, ja pana nie znam! nie trzeba mi było wychodzić z więzienia, Obywatelu komendancie, nie przyjmuję amnestii, Wy co? nie przyjmujecie? co to znaczy, nie przyjmujecie? Nie przyjmuję, wolno mi, chcę odsiedzieć cały wyrok, Słuchajcie, Nietzsche, jest dla was amnestia, macie iść na wolność, mnie wasze osobiste zachcianki wiszą, *ponimajecie?* a jak nie będziecie chcieli iść dobrowolnie, to się was siłą odstawi do bramy, da wam się kopniaka i jazda! co wy? co wy?

CZĘŚĆ CZWARTA

23 czerwca 1966

Czasami zdarzało się jednak, że dr Rainert nie trafiał strzykawką w serce, może ręka mu się pośliznęła, bo ludzie, którzy szli na zaszprycowanie, zalewali się potem, drżeli ze strachu, rzucali się, zresztą nie wiem, i wówczas fenol zamiast do serca wlewał się do płuc, w rezultacie czego człowiek stawał się wprost nieprzytomny z bólu, jeszcze pół biedy, jeśli zaraz umierał, ale bywało że przychodził do siebie, niekiedy nawet, mówili ci, którzy pracowali w krematorium, na łopacie, kiedy go wrzucano do pieca, a sam widziałem na własne oczy jak, Panie przewodniczący sądu, proszę wybaczyć, że znowu przerywam, ale już więcej tego nie mogę słuchać, to jest niedorzeczne, świadek kręci, zapuszcza się Bóg wie w jakie dygresje, w ogóle nie wiadomo do czego zmierza, świadek został tu sprowadzony za ciężko zapracowane niemieckie pieniądze, żeby zeznawał w sprawie oskarżonego Wieshoffa, niech zatem mówi o oskarżonym zamiast opowiadać nam o szprycowaniu, to nie ma nic wspólnego z moim klientem, który nie jest lekarzem i nigdy strzykawki w rękę nie trzymał, szła wyprostowana, ściągnięta całą swoją wrażliwością do wewnątrz, przechodnie albo ją na czas wymijali, albo w ostatniej chwili uskakując na bok zderzali się z nią łokciami, nie zważała na to, nie czuła nic, szła prosto przed siebie jak ślepiec, który wie, że nie wolno mu zboczyć z drogi, gdy dojdzie do zapamiętanego miejsca, wyczuje je laską, dłonią, wówczas skręci, ale ona nigdzie specjalnie nie szła, nawet nie patrzyła gdzie, nogi ją same niosły, niech niosą, mnie wszystko obojętne, nieważne, człowiek myśli, że to, że tamto, przywiązuje do tego jakąś wagę, uszeregowuje wszystko w znaczącą hierarchię, to jest moje

życie, ta oto budowla, którą wzniosłam wysiłkiem tyłu a tyłu lat, wydaje mu się, że wspiera się na solidnej podstawie, nigdy jej nie kwestionuje, któregoś dnia wszystko wali się w gruzy, wśród tych gruzów ja sama jedna w świecie, który przestał funkcjonować, jak na drwinę ciągle przy życiu, świadoma tego, co się stało, bezradna, jak sobie z tym teraz poradzić? jak mam teraz żyć? wsłuchiwała się w pulsujące w niej serce, wewnętrznym wzrokiem obejmowała z coraz większym trudem ogrom swojej katastrofy, cały świat, który teraz rozprzestrzenił się wokół niej bezkresną pustynią, gdzie ani kamień na kamieniu, same rumowiska, tu i ówdzie walały się wysuszone piszczele, pękały z suchym trzaskiem kiedy przypadkowo nadeptywała na nie nogami, na odgłos trzasku wzdygała się, przystawała i patrzyła pod nogi z atawistycznym poczuciem winy, to byli kiedyś ludzie, spod spopielonej ziemi wystawały kikuty kominów jak groteskowe drogowaskazy prowadzące do nikąd, kamienie milowe szlakiem przemarszu ostatecznej niesprawiedliwości, rozrzucone bezładnie tu, tam, aż po daleki horyzont, bolały ją nogi obute w zdarte niemal na strzępy pantofle, szpilkowe obcasy zeszlizgiwały się po kamieniach, skóra na pokrwawionych piętach coraz to odzywała się wybuchem świeżego bólu, wkrótce już w ogóle nie będę w stanie iść i przyjdzie mi się chyba czołgać, zatrzymała się i spojrzała przed siebie, nie dojdę, to przechodzi ludzkie siły, gdyby choć trochę cienia! niebo biło w nią niemiłosiernym żarem, puste, ono też przeciwko mnie, zdjęła ją nagła ochota podnieść zaciśniętą pięść i pogrozić, zobaczyła siebie stojącą na pustkowiu, jak jakiś afisz w obronie pokoju, kobieta z dzieckiem uczepionym spódnicy na tle dymiących zgłiszczów, wygrażająca odwiecznym gestem wołającego o pomstę do nieba, nie, nie do nieba, wołającego o pomstę na niebo! tylko wołającego do kogo? przed kim wykląć niebo? opuściła bezwładnie dłoń, na wpół ukształtowane przekleństwo spełzło z obrzękłych warg, i tak to byłoby niecelowe, Panie przewodniczący sądu! Ach, Boże, znowu pan! nie przestanie pan mnie męczyć? no co takiego? Muszę jak najsolenniejsz zaprotestować przeciwko kwestionowaniu przez świadka zawodowej etyki mojego klienta, dr. Rainerta, Co? co takiego? nie rozumiem o co panu chodzi, Świadek tłumaczył nam w sposób długi, zawiły i nie pozbawiony elementów taniego histrionizmu, że przy szprycowaniu więźnia musiało trzymać czterech ludzi, przy tak daleko posuniętych środkach ostrożności, śmiem twierdzić i niewątpliwie opinia biegłych wykaże, że mam rację, było rzeczą absolutnie niemożliwą, aby zabieg się nie udał i więzień był wystawiony na niepotrzebne cierpienia, to jest fakt, w świetle tego faktu nie można lekką rączką oskarżać mojego

klienta o zaniebdywanie zawodowych obowiązków, to bowiem stawia pod znakiem zapytania całą jego, Ależ pan się wybrał, panie obrońco, no! no! niech pan nie każe mi się śmiać, bardzo pana proszę, pan zdaje się zapomniał w jakim kraju i w którym roku żyjemy! Dr Rainert, powtarzam z całym naciskiem, i nie widzę tu nic takiego, co usprawiedliwiłoby śmiech pana przewodniczącego sądu, dr Rainert zawsze przy wykonywaniu swego zawodu, nawet w tragicznych okolicznościach obozu koncentracyjnego, kierował się zasadami humanitaryzmu i pozostał wierny przysiędze, jaką złożył, kiedy wstępował w szeregi, kamień! znowu się potknęła o kamień, nogi ugięły się pod nią, runęła na ziemię kalecząc sobie kolana, torebka wypadła jej z rąk, czarna, połyskująca, z importu, kupiona w Galuxie na Placu Wolności, ostatnia, powiedziała sklepowa, jakby mi łaskę wyświadczyła, jeszcze chciałam nylonową koszulę nocną, mieli poprzedniego dnia, importowane z NRD, ale już nie było, na pewno skłamała, pod ladę dla kogoś schowała, niemożliwe, żeby przez jeden dzień cały transport zniknął, z wnętrza torebki wysypały się kobiece drobiazgi, puderniczka, przecież to ze srebra, gdybym spróbowała sprzedać? za ile to można by spieniężyć? gdzie? na ulicy? Czy pani reflektowałaby przypadkiem na srebrną puderniczkę? sprzedam tanio, bardzo estetyczna, niech pani zobaczy! wyobrażam sobie zdumienie na twarzy takiej Frau, wsunęłaby rękę do torebki i dała mi pięćdziesiąt fenigów na odczepnego, zrobił się z nas naród żebraków, nauczyliśmy się myśleć kategoriami żebraków, Niech mi pani powie coś o zmianach, jakich socjalizm dokonał w świadomości współczesnego Polaka, Przyswoiliśmy sobie mentalność żebraka, Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem po pani, pani Wando, ale prywatnie niestety muszę się z panią zgodzić, obok walał się flakonik z wodą kwiatową, paszport w brunatnej okładce, zeschnie się w słońcu na nic, pognie, wstrętny kolor, w ogóle tandeta, aż wstyd było na granicy pokazywać, urzędnik tylko okiem rzuci, już wie, z Europy Wschodniej, i zaraz staje się uprzedzająco grzeczny, jakby mi chciał dać do zrozumienia, że doskonale wszystko rozumie, to nie moja wina, współczuje ze mną, jakie to poniżające! myślałam, że się spalę z upokorzenia, żeby głupiego paszportu nie potrafili zrobić tak, żeby go na granicy nie trzeba się było wstydzić! albo kryształ, mówili, weź kryształ, polskie kryształy mają markę za granicą, znane na całym świecie, weź, na nich świetny interes, każdy chętnie kupi, rzucą się na to, zobaczysz! i oto teraz stoję na rogu ulicy, w rękach te kryształy, Panie, panowie, no kupcie, zlitujcie się, potrzebuję pieniędzy, brat proszę o koszulę *non-iron*, ja potrzebuję płaszcz ortalionowy, no kupcie! kupcie! tanio sprzedam! przecież nie

mogę wrócić do domu z pustymi rękami, jakto, trzy tygodnie tam byłaś i nic nie przywiozłaś? to coś ty tam robiła, dziewczyno? no a co? kurwą miałam zostać na te trzy tygodnie? Zebraczka, Gdzie? Tam na rogu, Ta z tymi kryształami? Tak, te kryształy to tylko pozór, żeby się nie nazywało, że zebrze, Daj jej dwie marki, ma taką ujmującą twarz, nie jej wina, że musi się uciekać do takich sposobów zdobywania pieniędzy, wiesz jak tam u nich jest, no daj jej dwie marki! trzeba to jednak pozbierać i ruszyć dalej, pobrudzi się wszystko, najdzie piaskiem, będzie do niczego, doprawdy nie mam już sił, czuła narastający w piersiach histeryczny śmiech, podniosła dłonie do oczu, przycisnęła mocno, wgniotła do oczodołów, najchętniej bym zasnęła, właśnie, na zawsze, Tu zasnęła snem wiecznym, nie, nie trzeba ulegać pokusom, opuściła ręce, na ziemi skosem odbiegając od niej leżał twardy cień, W tej chwili dołączyć do kolumny! co to ma znaczyć takie zatrzymywanie się? kto pozwolił? *schnell! schneller!* skuliła się, pochyliła do przodu, Moja torebka, te wszystkie, przecież muszę! przekrzywiła głowę, kątem oka śledziła przesu- wający się cień ręki uzbrojonej w pałkę, Torebka ci się już do niczego nie przyda, w łaźni wszystko trzeba oddać do depozytu, w łaźni! już ja dobrze wiem, jaka to łaźnia! zaraz mnie uderzy, żebym tylko zdążyła przynajmniej paszport, przełamując w sobie ból rzuciła się do przodu i dopadła go obiema rękami, mam! teraz niech bije! zerwała się szybko na nogi, otrzepała spódnice, spojrzała mu wyzywająco w oczy, No bij! bij! czego nie bijesz? własną córkę boisz się uderzyć? zatrzymała się przed witryną sklepu obuwniczego, na środku wystawy kręciła się piramida ułożona z damskich pantofli, ładne, oczy prześlizgiwały się z jednego modelu na drugi, ależ tu bogactwa w tym kraju! na jednej ulicy więcej sklepów z obuwiem niż u nas w całym Poznaniu! nie wiadomo na czym oczy zatrzymać, trzy tygodnie już tu jestem i ciągle wszystko oszałamia i złości, to jak głodnego posadzić za suto zastawionym stołem, lecz niczego nie wolno mu się dotknąć, ile kosztuje ta para? nie na moją kieszeń, ostatecznie mogłabym, ale nie starczyłoby mi potem pieniędzy na hotel, a jeszcze chciałabym trochę czasu tu zostać, prawdę mówiąc nie ma po co, ja wiem, ale coś mnie tu trzyma, sama nie wiem co, okropność tej sytuacji? codziennie patrzę na niego, słucham, i nic nie rozumiem, przecież to jest mój ojciec, mój ojciec, zatem człowiek, taki potwór człowiekiem? a jednak, nawet ma żonę i dziecko, więc ludzkie uczucia nie są mu obce, ale czy mieć żonę i dziecko świadczy już o tym, że się jest człowiekiem? więc co świadczy? jakie jest ostateczne kryterium? codziennie gdy wyjdę z sali rozpraw głowa mi pęka od pytań, od obrazów,

na wspomnienie których oczy powinny ślepnąć, nie można się potem opędnąć od tego, zanim go nawet zobaczyłam na własne oczy, już mi zatruł moje myśli, wyobraźnię, Daj spokój, Zenon, nie chcę! odsunęła jego natarczywą rękę, ściągnęła sukienkę na kolana, Nie chcę! już raz ci powiedziałam, nie wystarczy? koniecznie chcesz, żebym ci jeszcze raz powtórzyła? nie mogłam ścierpieć jego dotyku, Nie dotykaj mnie! nawet mnie nie dotykaj! dotknął mnie i w jednej chwili wszystko, co mama musiała przejść, jakby w głowie zapalił się jakiś ekran i zobaczyłam jak, jakby to mnie bezczeszczono, Zenon przestał nagle być Zenonem, stał się Wieshoffem, a ja, Nie dotykaj mnie! zaczęła odtrącać od siebie jego ręce, odpychać go, wierzgała nogami, tylko mama nie mogła powiedzieć nie, Zostaniesz moją kochanką albo pójdziesz do pieca! wyciągnęła rękę i nie otwierając oczu wymacała głowę Zenona, przycisnęła ją sobie do piersi, Przepraszam cię, Zenek, przebac, przewróciła się na bok, podłożyła dłoń pod policzek, obramowaną oknem tafelę powietrza przecięła jaskółką, w mieście a tyle jaskółek, gdzie one tam wiją gniazda? w Rogowie u tatusia jednego roku za młynem odbywał się sejm bocianów, tatuś mnie trzymał za rękę, patrzyliśmy jak bociany wzbiły się w powietrze i takim korkociągiem wkręcały się coraz wyżej i wyżej jednocześnie się oddalając, Chciałem ci zaoszczędzić cierpienia, to byłby dla ciebie zbyt wielki wstrząs, obawiałem się, że mogłabyś się pod nim załamać, ja wiem, że chciał dla mnie jak najlepiej, podeszła do okna, ścieżką przez ogród stary Marciniak pchał taczkę pełną wypielonego zielska, chmara gołębi nadleciała znad lasu, zakoloowała nad ogrodem i odleciała w stronę stodoł, Któregoś dnia byłbym ci o tym jednak powiedział, bałem się nadejścia tego dnia, odwlekałem go jak mogłem najdłużej, Wierzę, szanuję motyw, ale tatko nie miał prawa tak długo tego przede mną zatajać, już dawno jestem dorosłą osobą, miałam prawo, każde dziecko ma prawo wiedzieć kto jest jego prawdziwym ojcem, tatko powinien był mi o tym powiedzieć, nie żebym się przypadkowo dowiadywała z niemieckiej gazety, zupełnie przypadkowo, a przecież mogłam akurat tego dnia nie pójść do Międzynarodowego Klubu Prasy i Książki, stanęła przy ladzie, poprosiła ekspedientkę o Turgieniewa „Zapiski myśliwego”, książka była na górnej półce, czekając aż ekspedientka przytaska drabinkę zaczęła przerzucać plik niemieckich gazet, sprawozdanie z procesu zbrodniarzy wojennych, tak sobie okiem tylko, pobieżnie, żeby czas czymś zająć, nawet sama nie wiem, jak to się stało, że oko nagle na to trafiło, bo żeby jeszcze nazwisko było wyłuszczone, albo na początku paragrafu, OSKARŻONY OŚWIADCZYŁ, ŻE

W MIARĘ SWOICH MOŻLIWOŚCI, KTÓRE, PRYZNAŁ, BYŁY RACZEJ SKROMNE, STARAŁ SIĘ RATOWAĆ WIĘZNIÓW OD ŚMIERCI, i dwie linijki niżej to nazwisko: Aleksandra Niesztor, kupiła gazetę, usiadła przy stoliku pod oknem, Wieshoff, tak się nazywa, miał z nią dziecko, to znaczy mnie, więc tatuś nie jest moim ojcem, piramida z damskimi pantofelkami kręciła się wokół swej osi z maniakalną jednostajnością, właściwie mogłabym już wracać do domu, nie ma żadnego powodu, żeby tu dalej siedzieć, proces pociągnie się jeszcze całe tygodnie, zobaczyłam Wieshoffa, wiem jak wygląda, co jeszcze mogę zrobić? czego się jeszcze spodziewać? cudu, który by sprawił, żeby tego wszystkiego nie było, trudno, jest moim ojcem, tego nic nie zmieni, ale to mnie do niczego nie zobowiązuje, fakt, że jest moim ojcem jest dla mnie abstrakcją, nie czuję do niego nic prócz żalu, że był taki, że w ogóle człowiek, jakikolwiek człowiek, mógł być taki, Proszę, niech świadek mówi dalej, Któregoś dnia widziałem jak drogą obozową przejeżdżał w kierunku krematorium samochód ciężarowy załadowany po brzegi zwłokami zaszpilowanych, A skąd świadek ma pewność, że to byli zaszpilowani a nie na przykład więźniowie, którzy pomarli na dezynтеріę? Czy pan obrońca przestanie wreszcie przerywać czy nie? W pewnej chwili usłyszałem jakiś krzyk i zobaczyłem jak jeden z „trupów”, który leżał na samej górze, poruszył się, usiadł, zeskoczył na ziemię i zaczął uciekać, w tej samej chwili z jednego z bloków wyszedł Wieshoff, No nareszcie świadek zaczyna mówić do rzeczy! Takie uwagi może pan obrońca zachować dla siebie, my się bez nich zupełnie dobrze obejdziemy, proszę, niech świadek kontynuuje, Wachman, który siedział na samochodzie, złożył się do strzału, ale Wieshoff krzyknął na niego, żeby nie strzelał, podbiegł do uciekającego, zdzielił go pałką po głowie, ten się przewrócił, upadł na plecy, Wieshoff położył mu pałkę na gardle, nastąpił obiema nogami, zakotywał się kilka razy, usłyszałem chrupot łamanych kości, Panie przewodniczący sądu, czy pan nie mógłby wpłynąć na świadka, żeby dla pozyskania sympatii sędziów nie dramatyzował zeznań? Ja pana, panie obrońco, każę wyprowadzić z sali, jeśli pan będzie co chwila wtrącał się ze swymi idiotycznymi uwagami! dwadzieścia trzy marki ta para, wcale nie takie drogie, żeby jeszcze torebkę tego samego koloru, byłoby do kompletu, ale nie, lepiej sobie nie ostrzyżć apetytu, można by pójść do konsulatu francuskiego i poprosić o wizę do Francji, chciałabym zobaczyć Paryż, ostatecznie nie taki znowu kawał drogi, mogłabym autostopem, ale nawet gdybym pojechała autostopem, z czegoś trzeba żyć, pieniądze, cholera, wszystko się rozbija o brak pieniędzy, do Klehr-

kendorfów już nie wypada chodzić, Przecież, moja droga, mówiłem ci, wszystko z nim załatwiłem, dla Hansa to żaden problem, Stryju, nie jestem żebraczką! Ależ, moje dziecko, żadna żebrania, zwykła transakcja wymienna, on na tym zyskuje, ja zyskuję, na drugi rok znowu przyjedzie na Targi, wtedy bym mu zwrócił po cenie czterokrotnie wyższej od oficjalnej, nie było absolutnie żadnego sensu krępować się jakimiś skrupułami, Może! zobaczyć Paryż i umrzeć, nie, to Neapol, albo Rzym, zobaczyć Rzym i umrzeć? chyba jednak Neapol, zresztą nieistotne, ani jednego, ani drugiego nigdy nie zobaczę, Stryjkowi łatwo mówić, bo nie musiał wyciągać ręki! Też gadanie, co znowu za wyciąganie ręki? jesteś przeczulona na punkcie własnego honoru, sprawa była ubita, trzeba było powiedzieć, potrzebuję czterysta marek, pięćset, wszystko jedno, każdą sumę byłby ci dał, Gdybym była wiedziała, że mój pobyt tak się przewlecze, ale przyjechałam z myślą, że na kilka dni, wzięłam dwieście, potem już nie wypadało, Powiedziałem ci, jesteś przeczulona, właściwie ma rację, źle to załatwiłam, nawet zapraszali, żeby się u nich zatrzymać, nie chciałam im się sobą naprzykrzać, co tam będę im się plątała między nogami? ileż to pieniędzy byłabym w ten sposób zaoszczędziła! mogłabym wyskoczyć teraz do Paryża, przynajmniej byłby z tego wyjazdu jakiś pożytek, a tak to co? Wieshoff ma pieniądze, przecież nie pójdę do niego i, wchodzimy do sklepu, w ukłonach podbiega subiekt, sadza nas na fotelach, wyjmuje pudła z pantoflami, cała podłoga zasłana pudłami, przymierzam jedną parę, Jak się szanownej pani podobają? kręcę nosem, owszem, ale, już sięga po nową parę, A te? Owszem, owszem, uśmiech wdzięczności na twarzy subiekta, patrzy na Wieshoffa, on zapłaci rachunek, w jego oczach szuka aprobaty mojego wyboru, zwariowałam, Wieshoff, jak mi to nazwisko przez usta może w ogóle przejść? gdyby mnie tatuś nie był wtedy zabrał z obozu, może Wieshoff byłby się ożenił z mamą, dzisiaj nazywałabym się Wandą Wieshoff, Wanda Wieshoff, jak to brzmi?

Leży Wanda w naszej ziemi, co nie chciała Niemca,

Lepiej zawsze mieć Polaka niżli cudzoziemca — Ja tam bym nie miała nic przeciwko temu, żeby wyjść za cudzoziemca, co za różnica, Polak, czy kto inny? w ogóle powinni znieść granice, narodowości, ludzie są ludźmi, mniejsza o to jakim językiem mówią, Czy ta para pani odpowiada? też pomysły! grosza bym od niego nie wzięła! Jesteś jednak moją córką, może ci się to nie podobać, ale faktu nic nie zmieni, więc dlaczego się krygować? dlaczego nie skorzystać z tego, że jestem bogatym człowiekiem? trzymała w ręku plik banknotów, jeszcze w życiu nie widziała na raz tyle pieniędzy, ile tego może być? Dokładnie

trzy tysiące, moja droga, rozglądała się po ścianach obwieszonych obrazami, same oryginały, to Klee, musiało go kosztować fortunę, salon tchnął spokojem mocno ugruntowanego dobrobytu, może nawet i bogactwa, nie wiem, skąd mam wiedzieć, gdzie się kończy dobrobyt a zaczyna bogactwo? a to Picasso, albo pokradł w czasie wojny, ma małą fabryczkę aluminiowych naczyń kuchennych, powiada, kopalnia złota, widać, Wieshoff wstał z fotela, podszedł do półek z książkami, gruby dywan na podłodze całkowicie tłumiał jego kroki, wybrał książkę, przekartkował, wsunął z powrotem, zafascynowana obserwowała każdy jego ruch, piękne, wypiełgnowane dłonie, jak się czegoś dotknie, to tak delikatnie, tak ostrożnie, myślałbyś, boi się dotknąć, taka świętość, jak mógł tą ręką trzymać pałkę i zabijać ludzi? Ja zabijałem? żartujesz, wystarczy na mnie spojrzeć bez uprzedzenia, czy wyglądam na kogoś, kto byłby zdolny wyrządzić komu najmniejszą krzywdę? za oknem widać było gładko wystrzyżony trawnik, na końcu wysoki żywopłot ucinął dalszy widok, to wszystko jego, ta wspaniała rezydencja, ma jeszcze dom weekendowy w górach i małą willę w Hiszpanii, leci tam gdy go najdzie ochota na słońce, wykąpać się w słońcu, nasiąknąć słońcem, a to wszystko z tych aluminiowych garnków, Z ciężkiej pracy, moja droga, bo my Niemcy pracy się nie boimy, z gospodarskiej skrzętności, grosz do grosza, ja umiem pracować, umiem organizować procesy produkcji, Na pewno, nie wątpię, Wieshoff założył ręce do tyłu, światło wpadające z zewnątrz zaślniło na jego siwych i dystyngowanych skroniach, podobny trochę do jednego z moich dawnych profesorów gimnazjalnych, tylko tamten nie nosił oczywiście takiego eleganckiego ubrania, z konieczności musiał się zadowolić sześćdziesiątką, ten człowiek własnoręcznie przez kilka lat zabijał ludzi, obiema nogami, powiedział świadek, nastąpił na kij i zmiażdżył mu gardło, a ja jestem jego córką, ma dużo książek, to już można by nazwać księgozbiorem, Kocham, powiada, literaturę, zwłaszcza zaś poezję, która wydaje mi się najwyższą emanacją geniuszu ludzkiego, takie rzeczy mówić po tym wszystkim, co zrobił! trzeba być potworem, Niekoniecznie, moja droga, wystarczy być człowiekiem, wcale na potwora nie wygląda, przeciwnie, te obrazy, ma smak, trzeba mu to przyznać, w ogóle całe wnętrza urządzone gustownie, może mu to zrobił jakiś specjalista od wystroju wnętrz? na pewno, jak się ma pieniądze! znowu zerknęła na plik banknotów, które trzymała w ręku, nowe, z opaską, wyjął je z safesu za tym Picassem, za takie pieniądze można by się ładnie urządzać, trzy tysiące, całą garderobę, nawet samochód dla Zenka, nie, poruszyła przecząco głową, mnie tym nie kupi, zerwała opaskę i rzuciła pieniądze na środek pokoju, rozsy-

pały się szerokim wachlarzem na podłodze, niech sobie pozbiera! spojrziała na niego wyzywająco, no niech je pozbiera! nuże! wyobraziła go sobie na klęczkach, z wywalonym na wierzch jęzorem, gorączkowymi ruchami zgarniającego banknoty, widziałam taki film, francuski, zdaje się, tysiące, tysiące banknotów miotanych wiatrem po olbrzymim dziedzińcu, panowie we frakach i cylindrach uganiiali się za nimi, ale to wcale nie było śmieszne, raczej żenujące, żal mi ich było, ale jego nie będzie mi żal, niech się upokorzy przede mną, przed tymi pieniędzmi, dlaczego nie rzuca się na kolana? prędzej! Wieshoff wzruszył ramionami, ot niepoważne dziecko, komu takie dziecko chce na złość robić? wyciągnął rękę za siebie, nacisnął dzwonek we framudze okna, odezwało się dyskretne pukanie do drzwi, weszła służąca w białym czepku na głowie, *Bitte, Herr Wieshoff?* niedbałym gestem wskazał na podłogę, opuścił nisko głowę na piersi, przykro mu patrzeć, taki wrażliwy, subtelny, jak służąca na kolanach łązi po podłodze, nie może znieść widoku poniżenia drugiego człowieka, ale chytrus! nawet nie dał mi tej satysfakcji, żeby go zobaczyć jak, podobny do tych z tego filmu, Na kolana, Wieshoff! nuże! a widzisz! teraz zbieraj! gdzieś się zapodziało kilka banknotów, trzeba zatem poszukać, nie? szukaj! na kolanach! może pod fotelem? nie? pod szafą biblioteczną? pot ścieka mu po czole, po policzkach, wlewa się za kołnierzyk, buraczana czerwień napłynęła mu na twarz, oddycha ciężko, ma kłopoty z sercem, byłaby frajda gdyby teraz wykorkował, zobaczyła, że spod fotela wystaje rozek banknotu, powoli przesunęła się na bok, szpicem pantofla pchnęła go bardziej w głąb, Wieshoff klęczy na środku pokoju, liczy pieniądze, *Mein Gott, aber das ist unmöglich!* wybuchnęła głośnym śmiechem, ach! gdyby teraz mógł siebie zobaczyć, cóż za żałosna figura z niego! Wieshoff podniósł głowę, rzucił na nią rozwścieczone spojrzenie, zerwał się na równe nogi, *Ruhe!* podbiegł do niej z podniesioną pięścią, *Ruhe!* o tak! z tym mu bardziej do twarzy, bardziej teraz podobny do siebie, pokazał twarz zmiętą złością, odwinęte wargi ukazały mocno oślinione zęby, kilka złotych zębów po obu bokach, kazał stopić z tych, które wrywano zagazowanym, chyba połowa ludzi w dzisiejszych Niemczech nosi w szczękach złoto po zamordowanych w obozach koncentracyjnych, *Ruhe!* Krzycz sobie, krzycz! stała przed nim spokojnie, serce biło jej równo, patrzała na niego zimno, śmieszny pajac! trzeba by mu dać do ręki jeszcze pałkę, grubą, sękatą, jak to opisał ten świadek, No więc masz, skoro już tak bardzo chcesz tej pałki, masz! pokażesz teraz co umiesz! pałka stała w rogu pod małym oprawionym w złoczone ramy Monetem, Wieshoff podszedł sprężystym krokiem, wyciągnął pałkę, podrzucił

znajomym sobie ruchem, żeby się dobrze ułożyła w dłoni, Teraz jest się dopiero pełnym człowiekiem, machnął kilka razy dla próby w powietrzu, Jednak człowiek nie wyszedł z wprawy, teraz my z sobą porozmawiamy, ja cię nauczę, myślisz, że córka, to już ci wszystko wolno! wydeła pogardliwie wargi, bydlę! pajac! Wieshoff kołysał się przed nią na szeroko rozstawionych nogach, Ja cię nauczę! jeszcze raz się zaśmiej a, roześmiała się, Ty pajacu, ty! odejdz, bo już mnie nudzisz! niedoczekanie jego, że- bym się miała do niego przymilać o głupie kilkadziesiąt marek, mam te węgierskie pantofle, zupełnie jeszcze przyzwoite, na lato mi starczą, potem zobaczymy, Nie o kilkadziesiąt, moja droga, o trzy tysiące! Odejdz, nie nudź, dobrze? z witryny patrzyła na nią szczupła twarz o mocno zarysowanych kościach policzkowych, to z niego te kości, jego syn ma takie same, minęliśmy się w korytarzu, zwolnił trochę kroku, myślałam, że się zatrzyma, struchlałam na samą myśl, widocznie dostrzegł w mojej twarzy coś, co przykuło jego uwagę, tak jakoś dziwnie spojrzął na mnie, pode mną aż się nogi ugięły, to mój przyrodni brat, po raz pierwszy tak o nim pomyślałam, mój brat, a przecież nie mogę się przed nim do tego przyznać, Przepraszam, powiedział zatrzymując się przed nią, Co pan sobie życzy? wziął ją za rękę i choć się opierała pociągnął ją przed lustro, Proszę spojrzeć! każdy by poznał, brat i siostra! wyprostowała się, twarz stężała jej na chwilę, zrobiła wielki wysiłek i powiedziała, To jeszcze niczego nie dowodzi, Jakto nie? jesteśmy rodzeństwem, Nieprawda! krzyknęła, wyrwała mu się z ręki, wypadła za drzwi do hallu, popędziła w stronę wyjścia, złapała za kłamkę, zamknięte, zaczęła szarpać, muszę się stąd uciec! odwróciła się, oparła się plecami o ścianę, muszę się stąd wydostać! w głębi hallu otworzyły się drzwi, stanął w nich Wieshoff, w rękę podrzucał sękatą pałkę, Ja cię nauczę! jeszcze raz się zaśmiej a, przyłożyła dłoń do policzka, prawdopodobnie mam gorączkę, wcale bym się nie dziwiła, to wszystko się we mnie kłębi, gotuje, co ja tu właściwie robię? to był idiotyczny pomysł, żeby tu w ogóle przyjeżdżać, po co? na co? żeby sobie życie na zawsze zatruć? mnie z tym człowiekiem nic nie łączy, przypadek sprawił, że dał mi początek, przypadek również sprawił, że się o nim dowiedziałam, no i co z tego? niczym nigdy na moim życiu nie zaważy, chcia- łabym jednak poznać jego syna, dowiedzieć się jak mu na imię, A mnie Wanda! śmiała się uradowana przyciskając go do siebie, Ach, Boże, nie wyobrazasz sobie, jak się cieszę, kiedyś cię po raz pierwszy zobaczyła tam na sali, wiary własnym oczom nie chcia- łam dawać, to było tak jakbym miała przed sobą sobowtóra! na ulicy panował wieczorny ruch, chodniki były zatłoczone, reflek-

sy kolorowych neonów spływały po jej twarzy, na jezdni stały samochody, sportowy wóz, cacko taki wóz, te błyszczące nikle, ferrari, nie wiem, albo alfa-romeo, nie znam się na tym, Zenek marzy o sportowym wozie, przy kierownicy siedzi młody człowiek w rozpiętej na piersiach koszuli, obok niego dziewczyna z gołymi ramionami, włosy rozwiał jej wiatr, tyle tych samochodów, widocznie w przodzie powstał korek, albo skrzyżowanie, i czekają na światła, młody człowiek zdjął jedną rękę z kierownicy i położył ją na kolano dziewczyny, przesunął w górę uda, czekali na światła, rzeka samochodów rusza, młody człowiek zdjął dłoń z kolana dziewczyny, objął kierownicę, zaryczał silnik, gdzie ją wiezie? do chaty? w pola? my zwykle tramwajem na Sołacz za basen, a najprzyjemniej gdy czasami pociągiem do Puszczykówka i promem na drugą stronę Warty, pierwszy raz, taki tłok był w wagonie, kolana Zenka dotykały moich, wiedziałam, że mu się oddam, chciałam go, a samochodem można by, no gdzie? gdzieś pod Siekarów, tam lasy, jeziora, Zenon czeka na dole, niecierpliwi się, nic nie szkodzi, jeśli sobie trochę poczeka, w każdym razie podeszła do okna, wychyliła głowę, zobaczyła jego uniesioną do góry twarz, Zaraz schodzę! torebka! gdzie ta? aha! zatrzymała się na chwilę przed lustrem, zwichrzyła włosy, ładniej, wybiegła z mieszkania i na dół po schodach, wokoło wozu zebrała się spora grupka gapiów, obchodzą, dotykają blachy, pukają w opony, zaglądają pod podwozie, taki wóz, co? w dechę! musi być jakiś zagranicznik, ciemne okulary, sygnet na palcu, a ubranie jakie ma! Zenon uśmiecha się na jej widok, przechyla się na bok i otwiera drzwiczki, Dokąd? Wszystko jedno, aby przed siebie, w Polskę! samochód rusza, różowa koszula Zenona rozpięta na piersiach furkocze w pędzie powietrza, Zenon ma mocne ręce, lubię mieć jego ręce na moich piersiach, na brzuchu, między udami, ręce mocno owłosione czarnym włosiem, Wanda czuje na sobie strumienie chłodnego powietrza, które przenikają ją do samej skóry, jadą w górę Głogowską, mijają Górczyn, przejazd kolejowy, na skraju drogi stoją bańki do mleka, tartak po lewej? nie zdążyłam się porządnie przyjrzeć, tak szybko przeszorowaliśmy wzdłuż parkanu, Zenon patrzy uważnie przed siebie, błyszczą chromy, nikle, zapach skórzanych obić opływa twarz, trzeba włożyć ciemki, bo mi do oczu naprószy, zaraz wszystko nabiera bajkowego wyglądu, jestem szczęśliwa, chce mi się śmiać, Zenon nie odrywając wzroku od drogi kładzie rękę na jej kolanie, obraca twarz ku niemu, tak mi z nim dobrze, bierze jego dłoń i podnosi sobie do warg, Zenon uśmiecha się, obejmuje ją przez ramię, teraz tylko oczy zamknąć i dać się unosić pędowi wozu, szosa prosta jak igła, pola, las, polna droga wysadzana

wiśniami, już pierwsze zabudowania wsi, stado kaczek tapla się w bajorku, kościół otoczony wysokimi dębami, ksiądz śpieszy do chorego z wiatykiem, Wanda żegna się szybko, zawsze przejmuję mnie lęk, gdy spotykam księdza idącego z ostatnim namaszczeniem, przeraża mnie myśl, że kiedyś będę musiała umrzeć, albo że się zestarzeję, to jest okropne, dlaczego tak musi być? przytula się mocniej do Zenona, nie trzeba myśleć o tych sprawach, samochód znowu sunie przez pola, po obu stronach drogi kwitną drzewa, jakieś zagajniki tu i ówdzie, Zenon przechyla głowę w jej stronę, przyciska ją do siebie i całuje w usta, kątem oka Wanda dostrzega wysuwający się zza zakrętu chłopski wóz, chce krzyknąć, nie może, Zenon wtoczył swój język w jej usta, Wanda wyrzuca dłoń ku kierownicy, pisk opon, skowyt hamulców, wozem zarzuciło, rąbnięto, jakiś błysk, eksplozja, znowu spokój, teraz patrzyła na siebie, leżała przewieszona przez drzwiczki samochodu, ręce zwisały bezwładnie na zewnątrz, głowa we krwi, tak się umiera, pomyślała, jedna chwila i koniec, nic się nie czuje, Zenona wyrzuciło z wozu do rowu, podnosi się z ziemi, ma trochę krwi na czole, drobne zadraśnięcia, bagatelna, podchodzi do samochodu, kładzie dłoń na jej karku, pochyla się, wsuwa dłoń pod sukienkę szukając serca, nie bije, zdejmuje mnie z wozu, kładzie na trawie, palcami ściąga mi powieki, wyprostowuje się, chłop z biczyskiem w ręku krzyczy lamentliwie, Panoczku, a dyć jo nie chciołem! O Jezusiczku złoty! O Matko Przenajświętsza! a dyć nie chciołem! nie chciołem! przeszedł ją nagły dreszcz, z daleka dobiegło ją złe warczenie psa, bezwiednie przystanęła na chwilę, przed oczami przesuwiał się korowód ciemnych postaci, ktoś ją potrącił, zachwiała się, upadła, ktoś kopnął ją w bok, z ust wyrwał jej się jęk, wokoło zrobiła się ciżba, smród spalin samochodowych drażnił nozdrza, puściła torbę i obiema rękami zasłoniła sobie głowę, bili ją i kopali w milczącym zapamiętaniu, skuliła się podciągając kolana pod brodę, samochody szemrały na asfalcie, z tranzystora ulatywała piosenka Beatlesów, od czasu gdy dowiedziałam się, że Wieshoff, że mama w obozie, często mnie to napada, biją mnie, krzyczą na mnie, grożą czymś, szczują mnie psami, jeszcze mi się rozum od tego pomiesza, stryjek Jerzy dostał pomieszania zmysłów i dlatego popełnił samobójstwo, po jedenastu latach w więzieniu można zblizkować, żal mi go było, taki miły, trochę mruk, ale co tam, w Armii Krajowej walczył, potem dostał dwadzieścia pięć lat więzienia, a tatusia też aresztowali, wtedy gdy ta stodoła się spaliła, w ZMP zaraz na mnie krzywym okiem, ojciec sabotażysta! wróg Polski Ludowej! Mamy wśród nas element klasowo nam wrogci, powiedziała sekretarz, ta małpa Zocha, Trze-

ba, powiedziała, koleżankę Niesztorówną wykluczyć z szeregów Związku! wyrzućcie, mnie zależy? i tak wstąpiłam tylko, żeby być dopuszczona do matury, rzeka samochodów płynęła ulicą, po dachach ślizgały się refleksy neonów i lamp ulicznych, Wtedy, powiedział ten świadek, Wieshoff położył mu pałkę na gardle, nastąpił obiema nogami, świadek był Polakiem, rozumiał po niemiecku, lecz zeznania składał po polsku przez tłumacza, tak mu ten język obrzydł, *Rube! alles raus! schnell! schneller!* ale są jednak w tym języku i piękne słowa,

Und solange du das nicht hast,

Dieses: Stirb und Werde!

Bist du nur ein trüber Gast,

Auf der dunklen Erde — Tak, trzeba umrzeć,

żeby się odrodzić, powinni się Niemcy teraz nad tym zastanowić, Goethe miał szczęście, że żył tak dawno, jego by też przez komin przepuścili, chodnikiem przewaliła się kupa rozbawionej młodzieży, chętnie bym z nimi poszła, dokąd idą? wszystko jedno, poszłabym, nie wierzę, że dzieci ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie rodziców, inna rzecz, że nie chciałabym mieć takich rodziców, Dlaczego papa nigdy nie mówi o swoich przejściach wojennych? wstydi się papa? Myśmy wypełniali tylko rozkazy, rozkaz to jest rozkaz, ale byśmy ładnie wyglądali, gdyby każdy żołnierz, zanim wykona rozkaz miał się zastanawiać czy rozkaz pozostaje w zgodzie z moralnością, raz dwa byśmy wojnę przegrali, A nie przegraliście? *Rube!* AGOGO CLUB, w szum przesuwających się na jezdni samochodów wdarły się nuty muzyki jazzowej, czytałam gdzieś, że tu mają takie nocne lokale, gdzie wszystkie stoliki są połączone z sobą telefonem, Tak, słucham? Od dłuższej chwili obserwuję panią, widok pani sprawia mi wielką przyjemność, Wanda rozgląda się, z którego to stolika? trudno stwierdzić, wszystkie telefony zdają się być w użyciu, w każdym razie ma przyjemny głos, Pani milczy, Bardzo mnie cieszy, że patrzenie na mnie jest dla pana do tego stopnia przeżyciem estetycznym, Po głosie poznaję, że pani jest cudzoziemką, Francuzka? Angielka? dlaczego pani nie odpowiada? Polka, A! Polka! znam Polskę, bardzo ładny kraj, byłem tam w czasie wojny, z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki, facet chce ze mną flirtować i nie ma czym lepszym się pochwalić niż tym, że w czasie wojny był w Polsce, w charakterze kogo? nie, ci ludzie są pozbawieni najbardziej elementarnego wyczucia taktu, w wejściu do klubu stało kilku chłopców i dziewczyna, przekomarzali się, dziewczyna zamachnęła się na jednego torebką, zrobił unik, złapał ją za przegub dłoni, wyszarpnęła mu się i zaczęła dając się rozcierać sobie skórę, boli, popatrz co zrobiłeś, niech się głupio

nie droczy, nie chce z nimi iść, niech nie wystaje pod drzwiami, za witryną sklepową piętrzyły się maszyny do pisania, maszyny do liczenia, maszyny do tego, do owego, nawet nie wiem do czego służą, jakieś techniczne sprawy, wszystko tu mają, bogaty kraj, podobno oni przegrali wojnę, *Jawohl, aber* Niemcy wiedzą jak się przyłożyć do pracy, my też wiemy, ale ja bym chciała widzieć, jak oni by wyglądali, gdyby nimi rządził Gomułka, też by z torbami poszli, Niemcy umieją się przyłożyć do roboty, no tak, *Arbeit macht frei!* wiadomo, takie napisy umieszczali nad bramami obozów koncentracyjnych, *Es gibt einen Weg zur Freiheit*, przez komin! gdy tatuś po trzech miesiącach wrócił z aresztu, był wieczór, padał deszcz i pani Bożena płakała, potem tatuś przez kilka tygodni pozostawał w łóżku, kiedy się go pytałam, co mu jest, odpowiadał, że noga mu dokucza, ale ja wiedziałam, że to nie noga, bili go, wszystkich, których zaciągają na Urząd Bezpieczeństwa, biją, niektórzy w ogóle już stamtąd nie wracają, pani Bożena płakała, ja też płakałam, nie mogłam zrozumieć, jak można bić dorosłego człowieka, dziecku można dać klapsa, nawet skórę mu można solidnie złożyć jak coś nabroi, potem mu się daje całusa i w porządku, z powrotem do zabawy! ale dorosłego człowieka? z czasem jakoś samo się wszystko wyjaśniło, tak musi być, jak można prowadzić politykę bez bicia? może w kapitalizmie można, ale w socjalizmie? albo bez groźby, że któregoś dnia przyjdą, zawloką gdzieś do piwnicy i zmasakrują na miazgę? przecież nigdy by inaczej tego socjalizmu nie zbudowali, w Rosji dziesiątki milionów pomordowali, żeby zdusić opór, nawet Chruszczow o tym mówił, oczywiście na Stalina wszystko zwałił, zapomniał już o tym jak sam mordował, Leninowi się upiekło, bo gdyby żył tak długo jak Stalin, to Chruszczow o zbrodniach Lenina by mówił na XX Zjeździe, komu oni chcą oczy mydlić? nam? Czy świadek widział kiedy, jak oskarżony Wieshoff rozstrzeliwał więźniów? Sam nie widziałem, ale wiem, że rozstrzeliwał, jedynymi, którzy na własne oczy to oglądali, byli ci, których zatrudniano przy usuwaniu trupów, a tych wcześniej czy później zabijano, żeby nie pozostawiać świadków, Może świadek zechce nam wytłumaczyć, co rozumie mówiąc, że wiedział? Kilka razy widziałem, jak oskarżony wychodził z 11-tego bloku po rozstrzeliwaniach z karabinkiem w rękę, No dobrze, ale skąd świadek miał pewność, że tam dokonywano rozstrzeliwań i że oskarżony Wieshoff brał w nich udział? Słyszał było strzały, nie? a poza tym zaraz po egzekucji zajeżdżały ciężarówki i chociaż bramę bloku zaciągano kocami, to jednak przez szpary widzieliśmy jak wrzucano zwłoki na samochody, Świadek to widział? Nie jeden raz, dziesiątki razy, niemożliwością było nie

wiedzieć o tym i z tej przyczyny, że z takiego auta krew ściekała rynsztokiem do otworu kanalizacyjnego, który znajdował się tuż przy naszym bloku i zawsze po odjeździe transportu wychodzili leichtenraegerzy, zmywali krew sprzed bramy i czyścili rynsztok, to odbywało się na oczach wszystkich, z tego nie robiono w obozie żadnej tajemnicy, Tak, ale to jeszcze nie dowodzi, że mój klient brał osobiście udział w tych akcjach, mógł się tylko przypatrywać, *nicht wahr?* Cały obóz doskonale zdawał sobie sprawę kiedy Wieshoff pracował przy rozwałce, bo potem wracał do siebie, upijał się i pijany znowu przylatywał do obozu, krzyczał, biegał od jednego baraku do drugiego, bił każdego, kto mu tylko włożył pod rękę, często na śmierć, kiedyś trafił na nasz blok i zbił jednego więźnia tak, że mu pękła czaszka i umarł na miejscu, wówczas Wieshoff stojąc nad trupem ryknął, „To siedemdziesiąty pierwszy dzisiaj, kto z was chce zostać siedemdziesiątym drugim?”, wszyscy wiedzieliśmy, co miał na myśli, Nieprawda! nieprawda! kino, dawno już nie byłam w kinie, stanęła przed wywieszonymi na zewnątrz fotosami, pusta plaża, z lewej morze, z prawej wydmy z rzadka porośnięte trawą, w górze ogromne niebo, ani jednej chmurki, dziewczyna w kostiumie bikini mierzyła z rewolweru do czołgającego się przed nią człowieka w spodniach i koszuli, o wiele starszy od niej, brzydki, ale to może tylko strach tak mu wykrzywił twarz, czuła w sobie ogromną siłę płynącą z trzymanego w ręku rewolweru, jestem panią życia i śmierci, wystarczy nacisnąć spust, żeby zabrać drugiemu człowiekowi życie, takie to łatwe, on chyba wie o tym najlepiej, mężczyzna poczołgał się o krok naprzód, podniosła lewą dłoń, Stój! kilka metrów obok fala jednostajnie oblizywała brzeg plaży, Wieshoff zdawał się być w ostatnim stadium wycieńczenia, ledwie potrafił się utrzymać na drżących w łokciach ramionach, uniósł ku niej poszarzałą twarz, zobaczyła, że z oczu mu płyną łzy, płacząc bełkotał coś, zapewne błaga o litość, bom uzbrojona w rewolwer! a gdyby rewolwer mi się zaciął, zaraz by się rzucił na mnie z pazurami, Ta przeklęta dziewczyna, niech no dostanę ją w swoje łapy! ale nie dostanie, zawiął wiatr i suche badyle zaszeleściły smętnawo na diunach, z daleka odezwała się syrena auta sanitarnego, Masz się tylko przyznać, żeś czynił źle, dla twego własnego dobra jest konieczne, żebyś sobie z tego zdał sprawę, nic więcej od ciebie nie żądam, tylko niech mnie nie prosi o przebaczenie, ode mnie go nie uzyska, pozostawmy to Bogu, Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią, ale on wiedział, Wiedziałeś? Wieshoff zwolna potaknął głową, to mu się zapisze na plus, rozmawiajmy dalej, jeśli więc wiedział, co czyni, musiał również wiedzieć, że czyni źle i że mu tego nie wolno było

robić, Do końca, mówi Wieshoff, w pełni poczucia własnego tragizmu, spełniałem mój obowiązek wobec Boga i historii! zniechęcona spojrzała na rewolwer, zastrzelić go? nawet Bóg nie mógłby mi tego poczytać za grzech, nie potrafię zabijać ludzi, nie nauczyłam się skłaniać głowy przed mołochem historii, Powiedz, przyznaj, proszę cię, żeś czynił źle, podam ci wówczas dłoń, kubkiem wody zaspokoje twoje pragnienie, uznam w tobie mojego brata w Chrystusie, czekała na odpowiedź, Do końca wypełniałem mój obowiązek wobec Boga i historii, ręce opadają, doprawdy, co z takim człowiekiem zrobić? z rozmachem wyrzuciła rewolwer daleko w morze, Wieshoff w mgnieniu oka stanął na równe nogi, rzuciła się do ucieczki, w zalanym światłem hallu kina minęła oddzwiernego w niebieskim mundurze ze złotymi galonami, w głębi oszklonej budki kasjerka nudziła się nad kolorowym magazynem, nad jej głową wisiał kalendarz z reprodukcją Statuy Wolności, może by pójść do kina? to zdaje się ciekawy film, zatrzymała się przed następną gablotką, dziewczyna w kostiumie bikini stała przyparta do białego muru, przed nią dwóch mężczyzn mierzących do niej z rewolwerów, nieprzyjemna sytuacja, co im zrobiła? na sąsiednim fotosie dziewczyna zaczynała ściągać z siebie górną część bikini, aha! o to im idzie! ten z prawej to ten sam, co tam się czołgał przed nią, nie udało jej się uciec, a tu już jest naga, mężczyźni pożerali oczami widok jej piersi, Rosjanie też gwałcili kobiety, Stalin im pozwolił, powiedział im, że jak tylko wkroczą do Europy, wszystko będzie należało do nich, Możecie bezkarnie gwałcić kobiety, ja, *batuszka*, wam na to zezwalam, należy wam się nagroda za wasze cierpienia, za łagry, za wywózki, za czystki, za pomordowane w służbie budowy podstaw komunizmu miliony naszego ludu, No zdejmuj! rozkazał Wieshoff, założyła ręce do tyłu i rozpięła haftkę spinającą górną część kostiumu, oczy Wieshoffa zaszyły jakby mgłą, oblizał się, ręką, w której dzierzył rewolwer, wykonał rozkazujący ruch, *Schneller!* no dobrze, niech mają! ich lepkie oczy przypadły do jej nagich piersi, Dalej! rozkazał Wieshoff, nie mają prawa tego ode mnie żądać! Czego się ociążasz? wetknęła oba kciuki za gumkę podtrzymującą majtki i zaczęła je powoli spychać w dół, nagle się otrząsnęła, nie! niech strzelają! cofnęła się spod kina, nie wiem, co z sobą zrobić, za wcześniej wracać do hotelu, jezdnią przesunął się autobus, żółtawe światła przeskoczyły po jej twarzy, ta właścicielka, zdaje się, wynajmuje pokoje na godzinę, na pewno burdel, zresztą słychać przez ściany, i ciągle roznosi świeże ręczniki, ale gdyby to był burdel, nie przyjęłaby mnie, może chodzi o zachowanie pozorów na wypadek, gdyby się zjawiła policja i zażądała wglądu do książki meldunkowej,

zaraz, po co mam ginąć? każą się rozebrać, dobrze, rozbiore się, ściągając majtki w dół schyliła się, szybko zagarnęła ręką piasku, rzuciła im go w oczy, teraz w nogi! zanim przestaną przecierać oczy, będę daleko, sukienka leży przy koszu, tylko ją w biegu podebrać i dalej! nie dogonią! no i wybrnęłam z bardzo nieprzyjemnej sytuacji, okazuje się, że siła nie zawsze jest górą, gdyby byli mądrzy, trochę sprytu gdyby mieli, to jeden by mnie pilnował, drugi by mnie sam rozebrał, trzeba główką, panowie! ostatecznie mnie nie śpieszno umierać, świat jest piękny, jestem młoda, moja mama była starsza ode mnie zaledwie o dziesięć lat gdy umarła, ksiądz nie chciał jej pochować jak przystoi na cmentarzu, samobójczyni, niech leży pod płotem! O nie! powiedział mój tatuś, moja żona zostanie pochowana po chrześcijańsku w poświęconym miejscu, tatuś był w angielskim oficerskim mundurze, na rękawach miał naszywki z napisem „Poland”, a z Polakami nie ma co żartować, o tym wie każdy Niemiec, ksiądz przestraszył się i zapomniał o obiekcjach, Cieszę się, powiedział na to mój tatuś, żeśmy się łatwo porozumieli, widać nie zanikł jeszcze duch chrześcijański w tym narodzie, no i tak mama leży na poświęconym porządnie miejscu, cmentarz jest na wzniesieniu, z którego widać park, jaki powstał tam, gdzie dawniej był obóz koncentracyjny, teraz tam dużo drzew, brzozy, topole, świerki, po alejach i chodnikach biegają dzieci, pomyśleć, że ja się tam urodziłam, w centralnym punkcie stoi wysoka iglica i dwa mniejsze pomniki, jeden z napisem w języku hebrajskim, dziś już nikt by nie poznał, że w czasie wojny tam zamordowano więcej niż milion ludzi, Wieshoff mieszkał poza obozem w jednym z tych ładnych domków w ogrodach, rano przez okno było słychać świergot ptaków, ja mamy o nic nie winię, nie miała wyboru, miała pójść na druty tylko dlatego, że ten esesman chciał z nią spać? może nawet ją kochał? któż to może wiedzieć? świadek ciągnął zeznania rwącym się głosem, nagle przestał i na salę runęła cisza, wszyscy znieruchomieli, powietrze pękało od zgrozy, przewodniczący sądu siedział w zadumie z brodą opartą na dłoniach, pióro oskarżyciela skakało po papierze, świadek stał przed stołem sędziowskim i płakał, Wieshoff uderzył pięścią w pulpit, krzyknął, Nieprawda! świadek łże! świadek chce się mścić! przewodniczący sądu ocknął się, uniósł czujnie głowę, nastroszył brwi, Ja oskarżonego każę wyprowadzić z sali, jeśli oskarżony się nie uspokoi, już mam tego dosyć! chciałabym umieć zrozumieć tego człowieka, co trzyma go w tym uporze? tak się bronić wbrew wszelkim dowodom? Bo mi się należy sprawiedliwość! wszyscy robią tu ze mnie jakieś monstrum! krzyczą tylko o tym co robiłem złego, a o tym, co zrobiłem dobrego? dlaczego nie

zjawi się nikt z tych, którym uratowałem życie? nie było takich? na pewno byli, moja mama na przykład, ale jedna mama nie przeżyłaby szali, nie o to poza tym chodzi, niechby tylko jednego człowieka zabił, wystarczy, Uratowałem przecież jej życie, słusznie, uratowałem, mógł ją odesłać do pieca lub kazać jej zaaplikować zastrzyk fenolu, znalazł w niej jednak coś takiego, że życie bez niej nie miałoby już żadnej wartości, Tak jest, ona stanowiła dla mnie przystań, w której znajdowałem prawdę, dobroć i piękno, w głowie się od tego miesza, nie wyrzucił jej nawet gdy zaszała z nim w ciężę, w nocy kładł się obok niej, brał ją w ramiona, *Ich liebe dich*, przez dzień zabijał ludzi, pod wieczór wracał do domu, brał kąpiel, zmywał z siebie krew, nacierał mocno wodą kolońską, szedł do łóżka, gdzie ona czekała na niego, moja mama była piękna, takiej urody łatwo się nie traci i nawet w obozie, no nie, tu już przesadzam, widziałam zdjęcia, kroniki filmowe, zabrał ją chyba wprost z transportu, wpadła mu w oko w czasie selekcji na rampie, kazał ją wywołać z szeregu, dobrze ją sobie z wszystkich stron obejrzał, uznał, że dokonał trafnego wyboru, Niech ją odprowadzą do kancelarii i niech tam czeka póki nie przyjdę, bo najpierw musiał skończyć selekcję na rampie, trudno, *Arbeit ist Arbeit*, wracał do domu, brał gorącą kąpiel, potem tulił ją do siebie, gdzie wtedy przebywała jego pamięć? możliwe, że wspomnienie popełnionych mordów, zapamiętany odór krwi, podsycaly jego namiętność, to są rejony, do których mój rozum nie sięga, czym więcej we mnie zła, tym większa moja potrzeba miłości, jestem wobec tych spraw bezsilna, żeby mi to ktoś potrafił wytłumaczyć! brał ją w ramiona, przyciskał do siebie, żądał od niej miłości, *Sag mir, dass Du mich liebst*, i nie chcę, żeby to były tylko słowa, chcę, żebyś mnie naprawdę kochała, rozumiesz? czasami w nocy zrywał się ze snu, budził ją, pytał czy go kocha, Naprawdę? nie mówisz tego tylko dlatego, że boisz się, iż jutro mógłbym cię posłać do pieca? żeby mi to kto potrafił wytłumaczyć, szła chodnikiem, światła kolorowych neonów muskały jej twarz, dopóki nie wiedziałam, że urodziłam się w obozie koncentracyjnym, wojna, okupacja, wszystko to, cała ta rzeź, to nie robiło na mnie specjalnego wrażenia, książki, filmy, no tak, ale to są tylko książki, tylko filmy, jak daleko człowiek sięgnie wstecz, wszędzie i zawsze działy się straszne rzeczy, w czasie pierwszej wojny światowej w Turcji wymordowano dwa miliony Ormian, rząd wydał rozkaz, na piśmie, a jakże! że wszyscy Ormianie mieszkający w Turcji mają ulec eksterminacji, po prostu dlatego, że byli Ormianami, zawsze na świecie działy się okropne rzeczy, i co z tego? nic, życie jest okrutne i chodźmy na lody, dopiero gdy z tej niemieckiej gazety skoczyło

mi do oczu imię i nazwisko mamy, tak, wtedy tak, dosięgła mnie, jak to się mówi, ręka historii, teraz wiem, co to znaczy, dlaczego ludziom tak trudno żyć z sobą? Pan Bóg powinien był uczynić wzajemnie obcowanie ludzi między sobą czymś łatwiejszym, a nie tak, Stworzyłem was, teraz radźcie sobie jak umiecie najlepiej, chciałabym widzieć taką matkę, która by coś podobnego powiedziała swemu dziecku! prawda, wyposażył nas w zdolność do miłości i nawet nakazał nam, abyśmy się wzajemnie kochali, ale jednocześnie nadważył nas uległością wobec zła, bardzo trudna sprawa, może w ogóle niemożliwa do rozwiązania, z aut, na które ładowano ciała rozstrzelanych, krew ściekała rynsztokiem do otworu kanałowego, zaraz po ich odjeździe wypędzano nas do mycia betonu przed bramą i czyszczenia rynsztoku, używało się do tego szlauchu gumowego, takiego jak w ogrodzie do podlewania grządek, który czerpał wodę z ulicznego hydrantu, trzeba było się szybko zwijać przy pracy, w przeciwnym razie odbierało się solidne bicie, od rana do wieczora mówią o krwi, o sposobach zabijania, może świadek opisze dokładnie w jaki sposób, potem się spierają z oskarżonym, który zarzuca świadkowi stronniczość, z dumą nieledwie deklaruje, że zabijał humanitarnie, tłumaczy obszernie jak, wnika w techniczne szczegóły, tak przez cały dzień, czasami mi się już wydaje, że sama zaczynam krwawić śmierdzieć, trzeba było rano wziąć kąpiel, pociągnęła nosem, niemożliwe, no nie, jeszcze chyba nie zwariowałam, to te wyzwawy samochodowe, nie trzeba sobie niczego wmawiać, obejrzę wystawę, palto z wielbłądziej wełny, kto to miał takie? a tak, ten na trzecim roku, przywiózł sobie z Paryża, toż to musi kosztować ciężkie pieniądze takie palto, szkoda, że nie ma karteczki z ceną, szalowy sweter, trzymiesięczna pensja jak nic, byłby w sam raz na narty, coś mi wpadło do oka, zatrzepotała powiekami, potarła palcem, zdaje się, że już, przytknęła rękę do nosa, śmierdzi, wtedy ze szkołą poszliśmy na zwiedzanie rzeźni, przez tydzień nie mogłam się domyć, otworzyła torebkę, wyciągnęła flakonik z wodą kwiatową, zwilżyła sobie dłonie, obwąchała, oczywiście to jest czysty nonsens, zło jest pojęciem metafizycznym, od metafizyki się nie cuchnie, dziwna rzecz człowiek, głowa nad chmurami, nogi na ziemi, czy taką istotę można w ogóle zgłębić? w końcu zawsze dochodzimy do punktu, gdzie się zaczyna tajemnica, której rąbka niesposób nawet odsłonić, stąd nasz zawód, nasza złość na, bo ja wiem, na kogo? nie chce mi się wracać do hotelu, chętnie bym z kimś porozmawiała, od kilku dni prawie do nikogo nie otworzyłam ust, to musi być straszne, gdy człowiek jest naprawdę samotny, może pojechać do Klehrkendorfów? nie wiem, przystanek, można by, czemu nie, którym to autobusem? mam gdzieś

zapisane, zeszała na bok, wyjęła z torebki notes i zbliżyła do oczu, ładnie pachnie ta woda, nie za mocno, dziewiętnastką, tylko czy to z tego przystanku? nie, trzeba przejść do następnego, jeśli stamtąd też nie, to zrezygnuje, Wieshoff powinien Bogu dziękować, że go nie sądzą w Polsce, u nas dawno by gryzł ziemię, ile mu wlepią? dożywocie? ależ skąd, wątpię, dostanie najwyżej dwadzieścia lat, a i to pro forma, żeby nikt się nie mógł przyczepić, że z wojny nie wyciągnęli żadnej nauki, odsiedzi dziesięć, pięć, potem go wypuszczą, zły stan zdrowia, Niniejszym zaświadcza się, że Herr Oswald Wieshoff cierpi na, tu dwie linijki po łacinie, ponieważ dalsze przebywanie w więzieniu mogłoby spotęgować chorobę do stanu krytycznego, zaleca się natychmiastowe zwolnienie, następuje sześć zamaszystych podpisów, No i co, panowie? radźmy, co zrobić? Nie możemy lekceważyć opinii największych biegłych naszego świata lekarskiego, Tak, jestem tego samego zdania, A pan? Ja również, ostatecznie jesteście cywilizowanymi ludźmi, nie barbarzyńcami, mamy sumienie, i tak już swoje odcierpiał, Zresztą, proszę panów, nie można tych spraw przeciągać w nieskończoność, to demoralizuje całe nasze życie polityczne, sprawiedliwość nie powinna się kierować tak niskimi pobudkami, jak chęć zemsty, Albo chęcią zjednania sobie przychylności Rosji i krajów wschodniej Europy, które, jak wiadomo, mają bzika na punkcie karania tak zwanych zbrodniarzy wojennych, Bardzo słusznie, już Chrystus powiedział „Miłujcie nieprzyjacioły wasze!”, Bardzo trafnie pan to zauważył, panie radco, a zatem? Zatem decyzja zapada jednomyślnie, dziękuję panom! następna scena rozgrywa się na placu przed więzieniem, tłum ludzi, powitania, kwiaty, pstrykają aparaty fotograficzne, kamery telewizyjne nawijają na siebie suchy szmer, Czy pan zechciałby nam udzielić wywiadu? przedstawiciel dużego wydawnictwa proponuje mu napisanie autobiografii, Oddamy do pana dyspozycji willę w górach, zapewnimy panu należyty opiekę lekarską, postaramy się, żeby nie psuli panu krwi wścibscy dziennikarze, Ile? Trzysta tysięcy marek, Trzysta? Wieshoff zastanawia się, Trzysta, co? no dobrze, Proszę podpisać umowę, u nas sprawa byłaby prosta, kara śmierci, następnego dnia zwięzły komunikat w prasie, że wyrok wykonano, tylko literatura pamiętnikarska wyszła by na tym stratna, nie wiadomo, co na dłuższą metę lepsze, Polska? a to bardzo ładny kraj, byłem tam w czasie wojny, z gniewem odłożyła słuchawkę, w czasie wojny był w Polsce! bezczelność! przede mną się chwali, że w czasie wojny był w Polsce! Ależ nie rozumiem, dlaczego pani tak się unosi, przecież to była wojna, zupełnie co innego teraz, mamy pokój, powinniśmy żyć z sobą w przyjaźni! on nie rozumie! ach, jakie to wszyst-

ko zniechęcające, albo ten, Nieprawda! krzyczy, świadek łże! świadek chce się mścić! oni wszyscy jednakowi, pies ich drapał, przyjdzie ten autobus dzisiaj czy nie? oczywiście wyłączam młodych, wina ojców nie przechodzi na dzieci, to jest jasne, samo przez się zrozumiałe, *selbstverständlich*, jego syn, w nim musiało coś się załęgnąć, tak dziwnie spojrział na mnie, jakby mnie przeniknął do samej duszy, myśli o mnie, nie daje mu to spokoju, nie może się oprzeć ciąglemu wspomnianiu tego spotkania, przecież ona taka do mnie podobna, przystaje znieruchomiały, powtarza jeszcze raz, do mnie podobna, ta myśl zaczyna w nim huczeć, przyspiesza rytm serca, wywołuje falę gorąca na policzkach, podbiega do lustra, patrzy, tak, te same oczy, nos, tu, zarys brody, kości policzkowe, na pewno, pamiętam, ale jak? jak to jest możliwe żeby zupełnie obca dziewczyna? i znowu wraca do tej chwili kiedy mijając się w korytarzu o małośmy się nie zatrzymali, widziałam jak nagle się szarpnął, ja też, w tej samej sekundzie, i wtedy nasze oczy się szepiły, wtedy mnie rozpoznał, nie, jeszcze nie rozpoznał, wtedy to się w nim załęgło, przeczucie, że ja jestem jego siostrą, nadjechała dziewczętnastka, wsiadła, wykupiła bilet, zajęła wolne miejsce przy oknie, prawdę mówiąc wcale mnie do tych Klehrkendorfów nie wabi, ale skoro już wsiadłam, jutro przystąpię do niego i po prostu powiem, Jestem twoją siostrą przyrodnią, ty jesteś więc moim bratem, nie podobna, żeby się odwrócił ode mnie plecami, na pewno też o mnie bez przerwy myśli, Mam siostrę, ona jest moją siostrą, ta dziewczyna, którą minąłem na korytarzu, no dlaczego to nie miałyby być ona? ojciec wspominał na rozprawie o pewnej Polce, miał z nią dziecko, ale teraz trzeba mu potwierdzenia, idzie do więzienia i prosi o widzenie, *Vater, kürzlich traf ich ein Mädels in Gang die genau wie ich aussah*, Co? podobna do ciebie, powiadasz, *das ist unmöglich*, mało to ludzi na świecie, między którymi można się doszukać zadziwiającego nieraz podobieństwa rysów? czy z tego należy wyciągać wniosek, że są z sobą spokrewnieni? chociaż prawda, wszyscy jesteśmy z sobą spokrewnieni, pochodzimy bowiem od wspólnych prarodziców, to miał być żart, ale kiepskim żartem nie wymiga się od odpowiedzi, *Du musst mir die Wahrheit sagen, dies ist mein Recht*, zbyt głośny śmiech przestaje Wieshoffowi parskać z warg, siada na skraju pryczy i patrzy naburmuszony na syna, takie niedopatrzenie, jak to się teraz mści! trzeba było szczeniakiem rąbnąć o mur, byłby święty spokój, No czego się na mnie boczysz? przecież tobie w każdym razie nie wyrządziłem żadnej krzywdy, no przestań, już, bo nie lubię jak na mnie tak patrzysz! i na koniec sam opuszcza oczy pod nieustępliwym oskarżycielskim wzrokiem, no jakżeż mu na

imię? Hans? Kurt? Heinrich? kto miał Heinrich na imię? Heine! tak, Heine miał na imię Heinrich,

Ich weiss nicht, was soll es bedeuten,

dass ich so traurig bin — Heinrich, to ładne imię, dla mnie będzie więc Heinrichem, przynajmniej dopóki się nie dowiem jak mu naprawdę, Jak na imię? Heinrich, Nie! Przecież ci mówię! nie posiadała się z radości, to wprost niewiarogodne, co za zbieg okoliczności, wyraźnie widać w tym działanie ręki boskiej, bo jak to inaczej wytłumaczyć? od kilku dni się zastanawiam, jak ci może być na imię, wreszcie zdecydowałam, że Heinrich, nie pytaj, dlaczego, intuicja? nie wiem, a mnie Wanda, A to ja wiem, Wiesz? skąd wiesz? Bo któregoś dnia po wyjściu z rozprawy poszedłem za tobą do hotelu i jak weszłaś na górę, to wstąpiłem do recepcji i pod zmyślonym pozorem zajrzałem do książki meldunkowej, No pomyśl, jakie to wszystko dziwne, więc ty też domyśliłaś się, że coś nas łączy? Tak, od tego spotkania na korytarzu, Tak się cieszę, ach Boże, nie wyobrazasz sobie, jak się cieszę, chodź, przedstawię cię Joasi, Joasiu, na chwileczkę! rzeźbiście oświetlone witryny sklepowe, tych neonów wszędzie tyle, dwóch mężczyzn pod latarnią, grubas, wąsy ma jak Bismarck, dziewczyna, ojej! pantofel jej spadł z nogi, podniosła, powinna zdjąć drugi i na bosaka! a ten prowadzi psa na wieczorny spacer, odwrotnie, pies jego prowadzi, Bismarck miał takie sumiaste wąsy czy Hindenburg? zapomniałam, Zenon będzie wiedział, mnie też wtedy pantofel spadł z nogi, potknęłam się i byłabym upadła, gdyby mnie Zenon nie był podtrzymał, ale obcas odleciał, Zdejmuj drugi, powiedział, zamiast skakać na jednej nodze, ciepło przecież, na ziemi sucho, dzieckiem zawsze biegałam na bosaka, przyjemnie, bosymi nogami po rosie, albo po kałużach w deszczu, tatuś zawsze kazał uważać pod nogi, żeby nie nadepnąć na żmiję, potem usiedliśmy na ławce przed Biblioteką Raczyńskich i całowali się, dzień przecierał się na niebie, cienie pierzchały w zakamarki kamienic, Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za mąż? Oj, Zenek, jaki z ciebie nudziarz! Dlaczego nie chcesz, odpowiedz na pytanie! To nie to, że nie chcę, po prostu mi się nie śpieszy, czy tak jest nam z sobą źle? Wcale nie twierdząc, ale, No więc? może jak skończę doktorat, ale też nie przyrzekam, lepiej z góry tak daleko naprzód się nie angażować, nie wiadomo co jeszcze może się zdarzyć, mogą mi dać stypendium na wyjazd do Ameryki, Nie dadzą, tobie nie dadzą, nawet sobie tym nie zaprzataj głowy, Nie wiadomo, profesor ma chody w Ministerstwie, kolumna wozów krytych płóciennymi budami ciągnie przez prerie, woźnice pokrzykują donośnie na spienione muły, trzaskają rzeźmienne bity, na okolicznych wzgórzach kryją się Indianie, bez

przerwy czujemy na sobie ich przenikliwe oczy, czasami widać na nich wysokie słupy dymu, trzeba wtedy się mieć na baczności, w każdej chwili być w pogotowiu, może przygotowuje się atak, zbliża się noc, furgonami zatoczmy koło i stworzymy obóz warowny, jedziemy do Kalifornii, przed nami jeszcze długa droga z potężną barierą Gór Skalistych, wielu nas zginie zanim dotrzemy na miejsce, ale śmierć dla nas nie nowizna, od Atlantyku groby znaczą nasz szlak, nic nas nie zmoże, bowiem pcha nas naprzód niezłomna wiara, że tam po drugiej stronie gór znajdziemy Ziemię Obiecaną, Ziemię Mlekiem i Miodem Płynącą, kraj wypieszczony okiem Boga i zachowany w swoim pierwotnym dziewictwie dla nas, wygnańców z rodzinnych krajów, uciekinierów spod prześladowań i nędzy! to musiały być piękne czasy! dostanę stypendium i na rok pojedę do Ameryki, zwiedzę Nowy Jork, zobaczę Złotą Bramę w San Francisco, Sunset Boulevard w Los Angeles, oczywiście pojedę do Harvard, w Waszyngtonie pokłonię się prochom prezydenta Kennedy'ego, w ogóle wszystko, naturalnie że większość czasu zejdzie mi na prowadzeniu pracy naukowej w, nie wiem jeszcze, do którego uniwersytetu mnie przydzielą, zresztą to obojętne, a potem? któregoś dnia dzwonek u drzwi, Słucham pana, Rząd amerykański ofiaruje pani możliwość pozostania w Stanach na stałe, Czuję się niezmiernie zaszczycona propozycją, Ale musi pani się zdecydować natychmiast, Pan za dużo ode mnie wymaga, to nie jest decyzja, jaką można powziąć pochopnie, mam rodzinę w Polsce, narzeczonego, który wyczekuje mojego powrotu, nie wiem jak postąpić, jestem w rozterce, ach, żeby świat był mniej skomplikowany! Pani nienawidzi komunizmu, więc sprawa wyboru nie powinna być trudna, Nie w tym rzecz, proszę pana, nie bądźmy prymitywni, ja kocham mój kraj, to nie ma nic wspólnego z, Niemniej musi się pani zdecydować natychmiast, Niestety to jest niemożliwe, Przykro mi, rozumiem pani sytuację, żegnam więc, poszedł, taką szansę zaprzepaścić! ale może jeszcze wróci? w rzeczywistości, przypuszczam, daliby mi kilka miesięcy do namysłu, Statua Wolności przy wjeździe do Nowego Jorku szeroko otwiera swoje ramiona, Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie, ja ukoję wasze serca, pomogę wam zrzucić wasze kajdany, coś w tym sensie, bardzo chwytające za serce, w Ameryce na każdą rodzinę przypadają dwa samochody, każda osoba może mieć własny pokój, wszystkim wolno krytykować rząd, pisać przeciw rządowi w gazecie, krytykować na głos, urządzać demonstracje, to ja rozumiem, mogłabym pikietować Biały Dom, nie wsadziliby mnie za to do więzienia, to ja rozumiem, to jest demokracja, w Ameryce nie trzeba się meldować na policji kiedy się wyjeżdża na wczasy,

zdjęcie w gazecie, pod zdjęciem taki tekst: „Miss Wanda Niesztor, która niedawno rozwiodła się ze znanym milionerem playboy'em, panem XY, na chwilę przed odlotem do Miami, gdzie zamierza spędzić wakacje, oświadczyła naszemu reporterowi, że nie odpowiada prawdzie podana przez wczorajszą prasę wiadomość, jakoby nosiła się z zamiarem wytoczenia swemu byłemu mężowi procesu o odszkodowanie. „Pozostajemy z sobą”, oświadczyła, „nadal w wielkiej przyjaźni. A jeśli chodzi o pieniądze, mnie nie zależy na jego pieniądzach, sama potrafię zarobić na swoje utrzymanie. Zresztą bardzo możliwe że wkrótce ponownie wyjdę za mąż”. Tyle nasz reporter. Z naszej strony zaś chcielibyśmy przypomnieć czytelnikom, że od pewnego czasu Miss Niesztor widywano często w towarzystwie pana AB, znanego milionera naftowego z Texasu, który, nawiasem mówiąc, odleciał do Miami dwie godziny wcześniej niż Miss Niesztor, co daje dużo, ale to bardzo dużo, do myślenia”, Zenek by się zmartwił, gdyby przeczytał coś takiego, Proszę! a nie mówiłem? jeszcze gorzej niż mówiłem, przez rok zdążyła podłapać aż dwóch mężów, za każdym razem milionera, a tak mnie zapewniała, nie, nie ma mowy, żeby tam miała zostać! ale niech się nie męczy, wróć, Nie, daj spokój, nie dzisiaj! odepchnęła gwałtownie jego rękę i ściągnawszy w dół spódniczkę zasłoniła sobie kolana, Zostaw, słyszysz? nie bądź taki nachalny, powiedziałam ci raz, że nie chcę, nie rozumiesz? koniecznie chcesz, żebym jeszcze raz powtórzyła? ja wiem, byłam dla niego niesprawiedliwa, ale te jego ręce, ciągle by mnie tylko macał, powiedziałam raz: nie chcę, to mu powinno wystarczyć, miałam inne rzeczy na głowie, A skąd ja miałam o tym wiedzieć? trzeba było mi o wszystkim powiedzieć jak tylko wróciłaś z domu, zamiast to dusić w sobie i potem żółć na mnie wylewać, Wcale na ciebie żółci nie wylewałam! Wylewałaś! Nie wylewałam! To my widocznie mamy dwa bardzo różne wyobrażenia o tym co, Nie kłóćmy się, Zenon, dobrze? chodź, przedstawię ci mojego brata, Brata? No czegoś tak nagle zdębiał? Heinrich, możesz tu przyjść na chwilę? to jest Heinrich, mój brat, on jest Niemcem, co się tak dziwisz? brat, mówię, mój brat, jego ojciec jest również moim ojcem, Tak, ale ja, ja zawsze myślałem, że twój tatuś, Ja też tak myślałam, lecz okazało się, że zaszła pewna pomyłka, zresztą to wcale niczego nie zmienia, Brat, powiadasz, no to teraz już wszystko rozumiem, nie mogłaś mi wcześniej tego powiedzieć zamiast dusić to w sobie i na mnie swą żółć wylewać? Wcale na ciebie żółci nie wylewałam, Wylewałaś! Nie wylewałam! To my widocznie mamy dwa radykalnie różne pojęcia o tym, co stanowi wylewanie żółci, Przestań, Zenon, dobrze? jednego dnia nie ma, żebyś się ze mną

nie klócił, Ja? ja się z tobą klóczę? no wiesz! A teraz co robisz? nie klóć się? nie klóć się? No już dobrze, dobrze, córuchno! Proszę mnie nie nazywać córuchną, nie jestem twoją córką! wstał z fotela i powolnym krokiem przemierzył pokój na ukos, zatrzymał się przy oknie, Gdybym się nie była przypadkowo natknęła na tę gazetę, nigdy bym się od ciebie nie dowiedziała prawdy, jego przeświecone słońcem uszy stanęły w ogniu, wydał mi się nagle śmiesznie słaby i bezbronny, ale zamiast żeby mnie to do niego usposobiło życzliwie, on bowiem też cierpiał, może nawet więcej niż ja, stanął wobec możliwości utraty córki, nie wiedział co ostatecznie postanowię, złapała mnie jakaś cholerna złość, wściekłość niemal, ta jego barania bezbronność! on to wszystko po prostu przyjmował, znosił, wcale nie usiłował się bronić, i jeszcze bardziej mnie to rozjuszyło, za co? za co tak się nad nim pastwiłam? za to, że mnie kochał? dziś to już zupełnie nie rozumiałem jak mogłam być dla niego tak okrutną, nigdy sobie tego nie wybaczę, Przez tyle lat mnie okłamywałeś! dlaczego? o mnie ci chodziło? na pewno nie! okłamywałeś mnie, bo się wstydiłeś, że twoja żona z takim człowiekiem, z takim, z każdym jej wysyknętym z siebie słowem jego plecy garbiły się jeszcze niżej, ramiona zaokrąglały się, związały się w sobie, jakby go smagała batem, co? nie, nie mogę nawet powiedzieć na swoją obronę, że nie zdawałam sobie sprawy co mówię, byłam w pełni świadoma, że przekraczam jakąś granicę, jakbym się dopuszczała świętokradztwa, ale to była rozkosz widzieć go tak, rozkosz wiedzieć, że mogę go tak zranić, pierwszy raz w życiu miałam nad kimś taką moc, nie przeczuwałam nigdy, że we mnie coś takiego tkwi, Tak? tego się wstydiłeś? że twoja żona w obozie się zhańbiła? obrócił się nagle i uderzył ją mocno w twarz, Tego ci, córko, nie wolno było powiedzieć! zaniemówiła z wrażenia, z szoku, podniosła dłoń do palącego policzka, autobus zwolnił, zatrzymał się, od przystanku na prawo, jeśli dobrze pamiętam, w porządku, za tym klombem trzeba skręcić, niedaleko, kilka minut, w ciemnościach nieprzerwanym ciągiem płynęła szeroko rozlana rzeka ludzkich cieni, po bokach naszczekiwały psy, poszczekiwała broń, co chwila w ciszy eksplodowały ostre rozkazy, daleko w przodzie reflektory na wieżach strażniczych przeczesywały teren, ktoś ją popchnął, upadła, z wypuszczonej z rąk torebki wysypały się jej kobiece drobiazgi, pudełko z pudrem, szminka do ust, pilnik do paznokci, paszport, poharatane kolana przeszyły ją przenikliwym bólem, wyrzuciła przed siebie ręce, jak ślepiec zaczęła macać wokoło z paniką w sercu, ludzie! pozwólcie! ludzie! zadcpczą mnie! gdzieś z tyłu zaterkotał karabin, w powietrze uleciał przeciągły krzyk mordowanego człowieka, mój paszport! gdzie mój

paszport? nagle wokoło niej powstało zamieszanie, rozległy się wrzaski, jęki, ludzie, jeden napierając na drugiego, chowając głowy przed spadającymi na nich ciosami pałek, rozbiegli się na boki, zbliżył się chaotyczny chrzęst żwiru gniecionej ciężko podkutymi butami, raptem zapalona latarka elektryczna omiotła jej postać, Co to ma znaczyć? do kolumny! *schnell! schneller!* w tej chwili dołączyć do kolumny! *schneller! schneller!* ale była jak sparaliżowana, skurczyła się, wsunęła głowę głębiej w ramiona, zaraz mnie uderzy, otrząsnęła się, tak, to tu, przed nią wznosił się nowoczesny blok mieszkaniowy, z latarni umocowanych na betonowych słupach światło rozpylało się na zieleń trawników, skręciła na ścieżkę prowadzącą do głównego wejścia, zza oszklonych drzwi ziało pustką żółto oświetlonego hallu, jej metalowe szpilki zaklaskały na wykafelkowanej posadzce, cicho tu, że skonać można, zaczęła wstępować na drugie piętro, z jakiegoś mieszkania niósł się płacz dziecka, z bardzo daleka doleciało kilka taktów muzyki, Mozart, *Eine kleine Nachtmusik*, poznaje, siedział na niskim fotelu z twarzą skrytą w dłoniach, zatrzymała się na progu, czekała, może podniesie oczy i spojrzy na nią, prawdopodobnie nawet nie zauważył, że drzwi otwarte, taki mnie ból przeszedł wtedy na jego widok, jeszcze chyba nigdy, zaczęłam się słać na nogach i musiałam się oprzeć o drzwi, wyglądał jak człowiek przygnieciony ogromnym ciężarem, wtedy spostrzegła, że mu się trzęsą ramiona, przypadła do niego, rzuciła się na kolana, Tatuś! tatuś! przycisnęła głowę do jego kolan, objęła go ramionami, Tatuś! tatuś! po chwili poczuła jego dłoń na swoich włosach, powoli poruszyły się palce i nieśmiało zaczęły ją lekko drapać po głowie, rozplakała się, Nie trzeba, córuchno, nie trzeba, już wszystko jest dobrze, głos mu się rwał od wzruszenia, Szszszsz, dziecino, szszszszsz, dziecino! Ach, tatuś! jak ja mogłam, ja nigdy, ja nie chciałam! Szszszsz, dziecino, szszszsz, dziecino! to te drzwi, E. Klehrkendorf, to „E” to skrót od czego? Ewald? Eugeniusz? jak jest po niemiecku Eugeniusz? nacisnęła guzik, zupełnie tu inaczej te dzwonki niż u nas, wszystko z takimi szykanami, jak mosiężne kościelne dzwony, dzwony są z mosiądzu? nie ze spizu? spiz to jakiś stop, tylko czego z czym, to nie wiem, *Na Anioł Pański biją dzwony*, jesienią pojedziemy z Zenonem do Szklarskiej Poręby, będziemy po kolana brodzili w liściach, złota polska jesień, babie lato w powietrzu, dymy kartoflane wloką się nisko nad polami,

Piękna nasza Polska cała,

Piękna, żywna i niemata — Zdaje się, że niepotrzebnie się tu fatygowałam, nie ma nikogo, co teraz robić? problem, a może Euzebiusz? Euzebiusz Klehrkendorf, ej chyba

nie, Euzebiusz, trzeba mieć króliki w głowie, żeby dziecku takie imię na chrzcie dać, poszli do kina, na dansing, Czy panią można prosić do tańca? uśmiechnęła się do siebie, znała już ten głos, ale jeszcze nie podnosiła głowy, niech jeszcze raz powtórzy, Czy można panią? wstała, spojrzała na niego roześmianymi oczami, Od kiedy to brat zwraca się do siostry per pani? nie ma sensu tu sterczeć pod drzwiami, nie ma ich, to nie ma, nic nie szkodzi, to miała być tylko grzecznościowa wizyta, żeby nie uchybić powinnościom dobrych obyczajów, prędko, ślizgając się dłonią po balustradzie, zbiegła na dół, jutro, jeśli będzie na rozprawie, w czasie przerwy podejść do niego, a jeśli nie będzie go jutro, to pojutrze, A skąd wiedziałeś, że mi na imię Wanda? Dowiedziałem się, Jak? Któregoś dnia po zakończeniu posiedzenia sądu poszedłem za tobą, Aha, słusznie, już mi mówiłeś, teraz już wiem dlaczego tu musiałam przyjechać, domyśliłeś się, że jestem twoją siostrą? Od razu za pierwszym razem kiedy mineliśmy się tam na korytarzu, pamiętasz? A następnego dnia, kiedy cię znowu zobaczyłem na sali, Następnego dnia? ależ, Heinrich, przecież ciebie następnego dnia na rozprawie nie było, Byłem, Ależ, Heinrich, niemożliwe, jak mogłeś być, skoro ciebie nie było? wiem, bo rozglądałam się wszędzie za tobą, A bo ja usiadłem tak, żebyś mnie nie zauważyła, specjalnie, bo chciałem cię obserwować, No powiedzmy, więc byłeś, i co? I wtedy już nabrałem absolutnej pewności, że jesteś moją siostrą, Po czym? Nie wiem, po prostu tak się stało, nagle powstała we mnie absolutna i niezachwiana pewność, że jesteś moją siostrą, tak, jutro przystąpię do niego, zaczekać na powrotny autobus? nie chce mi się, taka przyjemna noc, ciepła, dobrze, że nie zastałam Klehrkendorfów, nudziłabym się znowu jak mops, Może jeszcze jedną filiżaneczkę kawy? i ciasteczko? przystąpię do niego i od razu, bez żadnych ogródek, niech się dzieje co chce, jaka jasna noc, tyle gwiazd, jutro, nie wolno mi z tym dłużej zwlekać, przyspieszyła kroku, ależ się tatuś uraduje, i Joasia, nie będę nawet nic pisała, tym większa będzie niespodzianka, już widzę jego twarz, Boże drogi, zobaczysz, Heinrich, jak się wszyscy ucieszą, bije ci serce? mnie też, jeszcze tylko kilka kroków, podjazd świecił pustkami kiedy z walizkami w ręku weszli na ganek, wiklinowy stół i fotel połyskiwały w świetle rozgwieźdzonego nieba, drzwi do hallu stały w pół otwarte, znajomy zapach dobrze napuszczanych podłóg uderzył jej powonienie, Nie bój się, wszystko będzie dobrze! postawili walizki na podłodze, Ładnie tu, przytknęła palec do ust, Sza! ani słowa! na czubkach butów przeszli przez hall i zatrzymali się u wejścia do salonu, spoza drzwi napływały przytłumione odgłosy spokojnie prowadzonej rozmowy,

To tatuś i Joasia, szepnęła, popatrzała jeszcze raz na niego i ujęła go za rękę, Odwagi! wszystko będzie dobrze, zobaczysz! zapukała i nie czekając pchnęła drzwi, Tatuś, to jest Heinrich, mój brat.

Reading, styczeń 1966 - kwiecień 1968.

SPIS TREŚCI

<i>Część pierwsza</i>	7
<i>Część druga</i>	51
<i>Część trzecia</i>	85
<i>Część czwarta</i>	118

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 JUILLET 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1968

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

Cena 12 F. (dol. 2,50)